

De-III.1

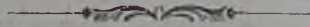
Tom CXCVII.

Zeszyt 590.

**BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM.



ROK PIĘCDZIESIĄTY.

SERYA V.

LUTY.

1890.

TOM I.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWAT Nr. 41.

1890.

## T R E Ś Ć.

Str.

|   |     |
|---|-----|
| <p>I. Wojna Rzeczypospolitej polskiej z Turcyą w latach 1672 i 1673-im.<br/>(Upadek Kamieńca. — Pogrom Tatarów. — Zwycięstwo pod Chocimem).<br/>Przez Konstantego Górskiego. . . . .</p>  | 163 |
| <p>II. Stanley i Emin. Przez Eugeniusza Lipnickiego. . . . .</p>  | 184 |
| <p>III. Najstarszy dom poprawy w Warszawie. Przez Z. Z. . . . .</p>   | 214 |
| <p>IV. Wzmianka o bibliotece ś. p. Juliana Biergiela, pastora w Słucku.<br/>(Biblioteka J. Biergiela. — Szkoły słuckie. — Leopold Wannowski. — Fara<br/>słucka. — Hieronim ks. Radziwiłł. — Ks. Stanisław Szantyr, eks-jezuity).<br/>Podał Aleksander Jelski. . . . .</p>   | 222 |
| <p>V. O miastach i mieszczaństwie w Królestwie Polskiem. (c. d). . . . .</p>  | 239 |
| <p>VI. Z krwawych dni. Nowela. Przez K. G. . . . .</p>  | 250 |
| <p>VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Lelewel<br/>w Brukselli“ przez Henryka Merzbacha. — „Pater“ (Ojciec nasz!) dramat<br/>Franciszka Coppée. — „Joanna d'Arc“, misterjum Juliusza Barbier z muzyką<br/>Gounoda. — „Pamiętniki Talleyranda“. — „Kwiaty zimowe“, przez Ernesta<br/>Legouvé. . . . .</p> | 268 |

### VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

|  |     |
|--|-----|
| <p>Połączenie Rusi Czerwonój z Polską przez Kazimierza Wielkiego.<br/>Napisał Kazimierz J. Górczycki. Lwów, nakładem Drukarni polskiej<br/>1889. Przez Dr. Zygmunta Lisiewicza. . . . .</p>  | 293 |
| <p>Dr. Witold Załęski. Zasady Ekonomiki (nauki gospodarstwa na-<br/>rodowego). Dzieło wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących<br/>na polu naukowym imienia Dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa 1889 r.<br/>str. 389. Przez J. K. Dworzaczka. . . . .</p>  | 298 |
| <p>IX. Kronika miesięczna. Rzut oka na ważniejsze wypadki polityki mię-<br/>dzynarodowej. — Zatarg angielsko - portugalski. — Polityka finansowa rządu<br/>bułgarskiego wobec dyplomacyi europejskiej. — Fizyognomia republiki fran-<br/>cuzkiej. — Budząca się opozycja raprezentatów narodu w sejmie niemieckim.<br/>— Ugoda Czechów z Niemcami o konstytucyjny modus vivendi obydwóch<br/>narodowości w granicach korony Św. Wacława. — Czeska Akademia Umie-<br/>jętności w Prądze. — Włochy nieustające w walce z Kościołem katolickim:</p> |     |



De. II. 1.

# Wojna Rzeczypospolitej polskiej z Turcyą

w latach 1672 i 1673-im

PRZEZ

Konstantego Górskiego.

Upadek Kamieńca.—Pogrom Tatarów.—Zwycięstwo pod Chocimem.

W pięćdziesiąt z górą lat, po straszliwym napadzie hord tureckich, które się rozbiły o mężną pierś rycerstwa polskiego i kozackiego pod Chocimem w r. 1621-im, przedsięwzięli Turcy drugą nie mniej groźną wyprawę do Polski. Z potężną armią, którą w roku 1621 Polacy wyprowadzili w pole i z tak śmiałym wodzem, jakim był Chodkiewicz, mogli oni Turków na wszystkie wiatry rozproszyć i do nogi wytepić, ale gdy bohatera z pod Kirchholmu, jakby jakiego niedorostka, opatrzone w radę wojenną, walka musiała się skończyć na biernej obronie. Zamiast świetnego zwycięstwa, które byłoby koniecznym następstwem wrodzonej naczelnemu wodzowi śmiałej inicjatywy, Polacy, odbijając jedynie razy nieprzyjaciela, odnieśli tryumf tylko połowiczny. Turcy ponieśli wprawdzie znaczne straty, ale jeśli nie zwyciężyli, to i zwyciężonymi nie zostali.

Od czasu ostatniej wojny stosunek między Turcyą a Polską zmienił się znacznie na niekorzyść Polski.

Lubo Turcyą w skutek swawoli janczarów, oraz buntu gubernatorów prowincyi, ulegała niekiedy okropnym wstrząśnieniom, a intrygi dworskie i zepsucie w sferach urzędniczych zapowiadały zbliżający się koniec jej potęgi; to przygasający ten wulkan wybuchał jeszcze od czasu do czasu straszliwym żarzewiem, przejmującym śmiertelnym dreszczem sąsiednie narody. Skoro tylko wstąpił na tron.

żądny sławy i przedsiębiorczy Sułtan, lub też stanął u steru rządu zdolniejszy wezyr Wielki, wszystko wracało w karby porządku i posłuszeństwa a piekielna machina państwowa, do robienia podbojów utworzona, zaczynała funkcyonować na nowo, ciskając krocie tysięcy wojowników, którzy nieśli pożogę, śmierć i spustoszenie w ziemie sąsiednich narodów z zamiarem ich ujarznienia i zagłady.

W chwili, o której mówić chcemy, lubo Mahomet IV. nie przenoślił miary zwyczajnego człowieka, marzył jednak o podbojach wielki zaś wezyr jego, Achmet Kieprzyli syn i następca mądrego Mahometa Kieprzylego, nietylko wykazał wysokie zdolności administracyjne i niepospolitą bystrość polityczną, ale i w zawodzie wojskowym, przy zdobyciu Kandyi, złożył dowody wielkiej zręczności, wytrwałości i energii. Po tém świeżem zwycięstwie nad kwiatem rycerstwa europejskiego, przyjechała znowu Porta Otomańska groźną postawę i zaczęła marzyć o nowych zdobyczach, a Polska, osłabiona i omdlała po niedawnych burzach i wstrząśnieniach „potopu“ wojennego, dręczona rozterkami wewnętrznymi, zdała się jęj dojrzałym owocem, po który dość było wyciągnąć rękę, aby go zerwać i spożyć <sup>1)</sup>. Nie mówiąc o coraz większym upadku bohaterskiego ducha, miłości ojczyzny, gotowości do poświęceń, a nawet moralności w klasie rządzącej, na której Rpta był swój opierała, najważniejszą różnicę w obecnim jęj położeniu, w stosunku do stanu przed poprzednią wojną stanowiły: panujący teraz rozdźwięk, niezgoda, brak jedności i partye, które od czasu wolnej elekcyi tworzyły się przy każdym nowym obiorze króla. W chwili obecnej, istniały w Rzptęj dwa stronnictwa. Do jednego z nich należała cała prawie szlachta z królem na czele, którego obrała i pokochała niezmiernie, znalazłszy w nim prawdziwego „Piasta“, pana dostępnego i bez dumy, a przytém panującego, który nie będąc ani politykiem ani wojakiem, nie mógł myśleć o reformach i wojnie, a więc ani jęj wolnościom ani kieszeni nie zagrażał. Do drugiej partyi, zwanęj malkontentami, zaliczali się ci, co popierając kandydata z ramienia rządu francuzkiego i nie osiągnąwszy zamierzonego celu, nie mogli się pogodzić z miernością, jaką był król Michał na tronie. Partya ta była wprawdzie mniej liczną, ale na jęj czele stały takie osobistości jak: Prymas Prażmowski, Marszałek i hetman w. k. Sobieski, wojewoda krakowski, Aleksander Lubomirski, wojewoda kijowski, Jędrzej Potocki, podskarbi kor. Andrż. Morsztyn i w. i.

Walka między stronnictwami tamowała zupełnie bieg spraw

---

<sup>1)</sup> Kochowski Wespazyan „Roczników polskich, Klimakter IV (Z łac. tłumaczył 1-szą 2-gą ks. J. D. 3-ią do 5-tęj Aug. Mosbæch. Lipsk 1853. Wyd. J. N. Bobrowicza). Str. 74 opierając się na liście Panajota utrzymuje, że już od ukończenia wojny o wyspę Kandyę przygotowywali Turcy wojnę przeciwko Polsce.



publicznych. Chcąc dowieść monarsze niedoleństwa, oraz utrudnić mu i omierzić panowanie, malkontenci zrywali lub zabagniali sejmy, wprowadzając pod obrady exorbitancje publiczne, albo też sprawy prywatne a usuwając interesa najważniejsze, a nawet takie, od których zależało bezpieczeństwo i całość Rptěj. Ile razy przychodziła na porządek dzienny sprawa o obronie od Turków, to albo zakrzykiwano mówiącego, albo wszczynano jakieś kłótnie i zwady, lub też podnoszono kwestye drugorzędne i nawet natury zupełnie prywatnej, a nareszcie sejm zrywano. Panowała też między rycerstwem jakaś obojętność i niewiara w możebność tej wojny z Turkami, krążyły o nią rozmaite niedorzeczne wieści, a między innemi jakoby to był wymysł malkontentów dla postrachu króla i szlachty i dla wyciśnienia poborów. Ze Porta już od kilku lat groziła wojną, ale jēj nie rozpoczynała, poczęto lekceważyć pogróżki i ostrzeżenia nawet i teraz, gdy już oczekiwania i obawy miały się urzeczywistnić, uparcie nie wierzono najpewniejszym relacyom i wiadomościom, nietylko przez hetmana W. K., ale nawet i od tronu podawanym.

Ważną też różnicę stanowiło i to, że gdy podczas poprzedniej wojny, kozacy stali po stronie polaków, dziś tylko niewielką ich część udało się pozyskać dla sprawy Rptěj. W nieuspokojonej jeszcze nalezicie Ukrainie, po burzach i wstrząśnieniach, przez bunty Chmielnickiego spowodowanych, zjawił się nowy agitator w osobie Doroszenki. Idąc w ślady swego poprzednika, dążył on także do autonomii, a gdy tej osiągnąć nie mógł, do oderwania Ukrainy od Polski; niepolegając zaś na własnych siłach oddał się pod protekcją Turcyi. Otrzymawszy z jēj rozkazu pomoc tatarów, wystąpił w r. 1667, w liczbie około 100,000 (80,000 tatarów i 24,000 kozaków) przeciw Polsce. Sobieski, hetman polny naówczas, bez zaciągów i pieniędzy, miał ratować Rptą. Nieszczędząc własnej kieszeni, zaledwie w 8,000 wojska zajął stanowisko pod Podhajcami, a dokazując cudów waleczności i wytrzymawszy oblężenie ogromnych sił nieprzyjaciela od 4-go do 16-go października, gdy nieprzyjaźny Doroszeńce Sierko z Zaporozcami rzucił popłoch na Tatarów przez najazd Krymu, wymusił na ordzie i kozakach układ przyjaźnych na przyszłość stosunków. Sejm jednak z 1668 roku, ani tych układów nieutwierdził, ani podatku na wojsko nie uchwalił <sup>1)</sup>.

Ukraina i znaczna część Podola pozostawały faktycznie w rękach Doroszenki. Sobieski radził ująć go sobie i postąpionemi według jego zamiaru kondycyami do poddania się królowi i Rptěj

---

<sup>1)</sup> Ambr. Grabowskiego „Ojczyste Spominki w pismach dziejów dawnej Polski“. Daryusze, relacje, pamiętniki i t. p. Krak. 1845 T. II str. 334

pociągnąć. Rada ta jednak nie zgadzała się z widokami dworu wiedeńskiego <sup>1)</sup>, wywierającego przeważny wpływ na rządy króla Michała, bo i podkanclerzy Olszowski, który kierował polityką państwa w imieniu słabego króla, myślał, że postępuje arcyzręcznie stawiając przeciwko Doroszeńce rywala w Haneńce <sup>2)</sup>, człowieku małego znaczenia i wpływu. Mianowanie Haneńki hetmanem pobudziło Doroszeńkę do nowych nieprzyjaznych przeciwko Rptęj kroków. Szczęście jednak tą razą przechyliło się na stronę polaków: Sobieski w r. 1671 odebrał kozakom częścią siłą, częścią przez dobrowolne poddanie się: Umań, Braclaw, Winnicę, Mohylew, Raszków, Sciana, Stanisławów <sup>3)</sup>, i byłby niezawodnie i pozostałą część Ukrainy do posłuszeństwa przywiódł; ale wojsko jego kor., przez wydzielenie załóg do miast i zamków znacznie uszczuplało, wojsko zaś litewskie, na którym nadzieję pokładał, zamiast przyjść w pomoc, zwinięte zostało <sup>4)</sup>.

Porta Ottomańska, po poddaniu się Doroszeńki, uważała Ukrainę za swą własność a wkroczenie polaków na jej terytorium za obrazę swego majestatu. Ztąd wojna 1671 roku i powodzenie Sobieskiego zdecydowało ostatecznie Turków, do przeprowadzenia, już dawniej powziętych względem Polski planów, do skutku <sup>5)</sup>.

Dolewał też oliwy do ognia pełniący wówczas obowiązki posła w Konstantynopolu, po śmierci Radziejowskiego, Wysocki, który przy każdej zręczności stawiał się ostro i nawet z pogardą względem, Porty i jej pierwszego Wezyra <sup>6)</sup>. Na posłuchaniu 30 maja 1671 r. oznajmił on Porcie o wstąpieniu na tron króla Michała a na audyencji 26 lipca tegoż roku wymagał, ażeby do nowej kapitulacji o pokoju wciągniętą była i Ukraina, jako prowincya Polska. W. Wezyr odpowiedział, że nie ma nic przeciwko pozostaniu Ukrainy przy Polsce; ale nie może odmówić pomocy Doroszeńce, który się oddał pod protekcyą Turcyi. Wysocki w uniesieniu wykrzyknął: że chociażby król i Rpta przystała na ustąpienie Ukrainy, to on, jako szlachcic polski, nigdy na to nie pozwoli <sup>7)</sup>. Nie przestraszył jednak tą pogróżką, ani przekonał o konieczności pokoju Porty Ottomańskiej, która już postanowiła wojnę i rozpoczęła przygotowania do niej <sup>8)</sup>.

<sup>1)</sup> Ambr. Grabowskiego „Ojczyste Spominki w pismach dziejów dawnej Polski“. Dyaryusze, relacje, pamiętniki i t. p. Krak. 1845 T. II str. 334.

<sup>2)</sup> Konfederacya gołąbska (X. L. Wyrwicza). Poznań 1853. Str. 52.

<sup>3)</sup> Ibid. str. 51.

<sup>4)</sup> Ojczyste Spom. T. II. 341.

<sup>5)</sup> Hammer „Histoire de l'Empire ottomane trad. d'Allen.“ p. Heller. Paris. 1838. T. LXI, str. 380.

<sup>6)</sup> Ojczyste Spom. II. 189.

<sup>7)</sup> Hammer l. c. 364.

<sup>8)</sup> Ib. 365.

Nastąpiła potem wymiana listów między sultaniem i królem. Lecz gdy sultan wystawiał siebie za obrońcę ucisnionego narodu ruskiego i za protektora Doroszeńki, a król polski nazywał kozaków buntownikami i utrzymywał, że Ukraina jest jego ziemią dziedziczną, porozumienie i zgoda nastąpić nie mogły.

W radzie królewskiej wieść o nieprzyjaznych zamiarach Turków, zrodziła wielką trwogę i niepewność, co począć. Niektórzy radzili: Ukrainy, która tyle krwi kosztowała, ustąpić i tą ofiarą pokój i spokojność okupić <sup>1)</sup>. Zważywszy jednak, że podobnego ustępstwa nigdyby naród nie przebaczył królowi, tudzież i to, że do wojny żadnej gotowości nie było, postanowiono zwołać sejm na 24 stycznia 1672 roku <sup>2)</sup>.

Posiedzenia izby poselskiej rozpoczęły się na tym sejmie od wrzawy i kłótni, z powodu obioru marszałka, które kilka dni trwały. Gdy nareszcie zgodzono się na wybór Marcina Oborskiego, starosty liwskiego, rozpoczęły się zwady pomiędzy kanclerzem W. litewskim i podkanclerzym koronnym Olszowskim, o łaskę i względy króla, a nim się te swary uciszyły, powstał zacięty spór zupełnie prywatnej natury pomiędzy Michałem Działyńskim, miecznikiem ziem pruskich, a Branickim marszałkiem nadwornym. W tych zwadach i kłótniach czas uchodził, a z ich powodu sprawa obmyślenia obrotu Rptej, dla której właśnie sejm zwołano, pod obrady trafić nie mogła. Zabierali wprawdzie głosy cenniejsi senatorowie, atoli nie w kierunku, prowadzącym do jedności i zgody. Prymas wyrzucił w żywe oczy królowi jego nieudolność do rządów i radził mu zrzec się korony, a kanclerz W. litewski srożył się na podkanclerzego koronnego. Udało się nareszcie królowi uspokoić strony powaśnione i stan rycerski nakłonić do przedłużenia sejmu, który już dobiegał zakreślonego terminu sześciotygodniowego.

Przed uspokojoną w ten sposób izbą poselską odczytano votum Sobieskiego, który nie mogąc stanąć osobiście na sejmie z powodu choroby, wyłożył je na piśmie <sup>3)</sup>. Z rad, w tém votum zawartych, okazuje się, że Sobieski mało liczył na oporność nieoprawionego i nieopatrzzonego Kamieńca i wołał stawić czoło nieprzyjacielowi w otwartém polu, gdzieś za Dniestrem, podobnie jak to uczyniono w r. 1621. Stany przychylnie przyjęły votum Sobieskiego i zgodziły się na zaciąg 34,000 wojska, oraz na podatek, dla utrzymania tych żołnierzy niezbędny. Atoli przy wyznaczeniu stopy poborowej, głosy się podzieliły i pierwszej nim nastąpiła zgoda, Górzyński wojewódzic rawski sejm zerwał <sup>4)</sup>, a gdy marszałek sejmowy umawiał izbę po-

1) Konf. gołąbska, str. 52.

2) Ibid. 55.

3) Ibid. pg. 64.

4) Konf. gołąbska, str. 66.



selską, ażeby głos Górzyńskiego za nieważny uznała, oparł się temu starosta Braclawski, Piaseczyński, a posłowie podolscy podtrzymali go skutecznie t. j. ci właśnie, którzy najwięcej na niebezpieczeństwo i zgubę narażeni, w kilka miesięcy później pod jarzmo tureckie popadli <sup>1)</sup>).

Po tym niedoszłym sejmie został zwołany jeszcze jeden na 18 maja. Na ten sejm przybył Sobieski, ale nie sam, lecz w orszaku 13 chorągwi jazdy. Przyjazd jego z takim pocztem napełnił trwogą posłów przeciwnej partyi a nawet i samego króla, przy którym strażę podwojono. Żołnierze hetmańscy, rozłożeni w okolicach Warszawy, dopuszczali się swawoli, a oficerowie i towarzystwo, mając zagrożane głowy, wdzierali się na posiedzenia sejmowe i przeciwnym wodza swego posłom mowę przerywali, słowa podchwytywali i z nich szydzili, a na innych odzywali się z pogroźkami <sup>2)</sup>).

Wypadałoby tu obwinąć hetmana o ciężkie przewinienie przeciwko dyscyplinie wojennej, gdyby było rzeczą dowiedziono, że wojsko, którego użył, chociażby dla postrachu swych przeciwników, należało do Rptej, ale w tym właśnie względzie zachodzi wątpliwość. Z awizów z Warszawy <sup>3)</sup> wypada atoli wnosić, że to były chorągwie jego własne i jego politycznych przyjaciół, mianowicie wdów krakowskiego, ruskiego i kijowskiego. W Polsce zaś każdy szlachcic mógł utrzymywać poczty nadworne i używać ich do swych celów.

Ten drugi sejm 1672 r. został, podobnie jak pierwszy, zerwany, ale już przez stronnictwo królewskie, które będąc zniecierpliwione upartą opozycją malkontentów, wymogło na królu zwołanie pospolitego ruszenia, jako jedyne go środka ratowania ojczyzny, tronu utwierdzenia i niezgód wewnętrznych umorzenia <sup>4)</sup>). Chociażby jednak ten sejm, który się skończył 30 czerwca, doszedł do pożądanego skutku i obronę uchwalił, byłaby ona już spóźnioną, albowiem przy powołaniu się żołnierstwa polskiego, a szczególnie w braku pieniędzy, które tak prędko zebrane być nie mogły, nie dołączyłoby ono podażyc na spotkanie nieprzyjaciela, który już na wiosnę 1672 r. był zupełnie przygotowany do wojny, a 5-go czerwca wyruszył w pochód.

Mahomet IV, podobnie jak niegdyś Osman II-gi, zgromadził na tę wojnę siły z całego swego cesarstwa. Były tu lenne drużyny spahów Anatolii, Karamanii, Siwaszu, Diarbekiru, Mareszu, Halebu, Adany, Rumelii i Bośni; byli też janczarowie i spahowie czerwonej i złotej chorągwi, do których później przyłączyły się zwykle kontyngensy Multan i Wołoszy, oraz Chan Krymski i Doroszenko.

24-go marca odbyła się zwykła przed wojną ceremonia rozdawania wyższym urzędnikom Porty chałatów, szabel i jataganów.

<sup>1)</sup> Ibid. pg. 69.—<sup>2)</sup> Ib. pg. 105.—<sup>3)</sup> Akta histor. do objaśnienia rzeczy polsk. służąco. T. 11 Pisma do wieku i Spraw Jana Sobieskiego. T. I Cz. 2-ga od 1672—1674. Krak 1881. l. c. pg. 982. — <sup>4)</sup> Konf. goląbska pg. 201.



Potem 30 kwietnia, po wywieszeniu przed dworcem Cesarskim końskiego ogona, przeniósł się Sułtan do obozu, a 5-go czerwca udał się w pochód <sup>1)</sup> i kierując się na Jamboli, Aidos, Babadag, przybył do Isakczy. Tu zbudowano most na 700 szkatkach, sprowadzanych z Gradymski i Pożegi, po którym armia turecka Dunaj przebyła <sup>2)</sup>. Przeprawiwszy się przez rzekę, wyruszył cesarz do Jass, gdzie rozdał janczarom, spahom i topedżyjom zwykle podarki, w ilości 1000 piastrów na każdego żołnierza dla zagrzania do gorliwości służebnej i podniecenia męstwa, <sup>3)</sup> a w dalszej ku Chocimiu drodze, odebrał przyjemną wiadomość o klęsce, zadanej przez tatarów i kozaków Polakom pod Ładyżynem <sup>4)</sup>.

Już w zimie z 1671 na 1672 r. zaczął dogrzewać Doroszenko załogom polskim, siedzącym po zamkach na Ukrainie i Podolu, a załogę truścianiecką prawie w pień wyciął. Trzymali się jednak Polacy, pomimo skąpego zaopatrzenia w żywność i potrzeby wojenne aż do lata. Gdy atoli cała horda tatarska wspólnie z Kozakami wystąpiła w pole, niepodobna było ze słabymi siłami pochodu jęj powstrzymać i należało jak najspieszniej na Rusi i do Polski ustępować <sup>5)</sup>. Zamiast tego—kasztelan podlaski Łużecki, naznaczony przez Sobieskiego, na żądanie króla, regimentarzem, pomimo ostrzeżeń Marszałka, ażeby się miał na baczności, bo to nie zagon a wyprawa, wdał się w bitwę <sup>6)</sup> i został 18 lipca pod Ładyżynem zniesiony <sup>7)</sup>. Wojsko polskie poniosło znaczne straty. Zginął cały regiment pisarza polnego K-go i regiment Linkhauzow tudzież innych 20 rot z regimentów Dönhofa i Bokuma <sup>8)</sup>.

<sup>1)</sup> Hammer l. c. pg. 376. <sup>2)</sup> Ibid. 381. <sup>3)</sup> Ibid. pg. 382. <sup>4)</sup> Ibid. 383. <sup>5)</sup> Ojcz. Spom. T. II. pg. 166. <sup>6)</sup> Akta l. c. pg. 1030. <sup>7)</sup> Ciekawy jest szyk bojowy, przyjęty przez wojsko polskie pod Ładyżynem.

*Lewe skrzydło:**Front:**Prawe skrzydło:*

Pułk K-cia JM. Ostrogskiego; Tabor zaporozski; Pułk JMP. W-dy Kijowskiego i JMP. W-dy Braclawskiego.

*w posiłku:**w rezerwie:**w posiłku:*

Pułk JMP. Marszał. W. k.; Pułk króla Imci Pułk k-cia JM. Hetm. Polnego na 2 partye na 2 partye na 2 partye

*Tabor:**Tabor:*

Dragoński regiment  
Pisarza polnego i regiment  
Starosty Dolifskiego.

Dragoński regiment  
P. generała Kąskiego  
i Regiment p. Markicza.

W porównaniu z szykiem, w którym stały wojska przed Braclawiem 26 sierpnia 1671 r. pod komendą Sobieskiego, ta zachodzi różnica, że rezerwa znajdująca się za frontem, nazywa się korpusem, za którym dopiero w trzeciej linii znajduje się rezerwa, nazwana odwodem i to jest właśnie normalny szyk polaków z właściwą terminologią. Kochowski l. c. str. 189 utrzymuje, że Łużecki był wielki gorączka, co nie przystało wodzowi i człowiek porywczy. <sup>8)</sup> Ojcz. Sp. T. II 166.

Gdy Turcy zbliżyli się do Chocimia i obozowali w odległości jednej mili, nad jakimś strumykiem, załoga Zwaniecka opuściła zamek, który z rozkazu sułtana został natychmiast zajęty <sup>1)</sup>.

Po przybyciu pod Chocim, przystąpiono do budowy mostu na Dniestrze. Dla osłony tej roboty przepawiły się 7-go sierpnia na drugą stronę rzeki na promach oddziały Kalila baszy Oczakowskiego i Murada baszy Kungrskiego. Gotową już przeprawę zabezpieczono szańcem przedmostowym i bateriami, usypanemi na prawym brzegu Dniestru. A gdy to wszystko ukończono, przeszli janczarowie, a za nimi i sam sułtan przez rzekę i już na ziemi polskiej, na polach Rudzkich i Chodorowskich stanął obozem <sup>2)</sup>.

15 sierpnia kajmakan, wezyrowie, baszowie Bośni i Halebu, w towarzystwie kilku alajbegów i komendanta artylerji, rozpoznawali położenie twierdzy kamienieckiej, a 18-go cała armia turecka, po dwu miesiącach i 11 dniach czasu i 38 dniach marszu przybyła pod Kamieniec.

Dawna twierdza kamieniecka stoi, na skalistym stożkowatym półwyspie <sup>3)</sup>, utworzonym przez rzekę Smotrycz, która płynąc z północy na południe, wpada do Dniestru. Tylko wązki pasek ziemi, w kształcie przesmyku łączy Kamieniec z łądem, z innych zaś stron oblewa go woda rzeki Smotrycza, z niezmiernie stromemi, a niekiedy pionowo jak ściana podnoszącemi się brzegami. Brzegi te przedstawiają jakby naturalne szkarpy i przeciwszkarpy tak, że z zawierającym się między nimi łożyskiem rzeki, do 200 sążni szerokiém, tworzą kolosalną fosę, zabezpieczającą miasto od eskalady i szturm.

Kamieniec był atoli nietylko twierdzą samorodną, przez dziwny cud natury utworzoną, opasywały go prócz tego dokoła potężne wieże, baszty i mury, przez które dwa tylko wejścia, z przesmyka i z za rzeki prowadziły do miasta. Za przysionki niejako do tych wejść służyły dwie bramy, zwane: ruską i lacką. Pierwsza z nich (E), znajdowała się w południowo-zachodnim kącie miasta; druga zaś (D) z zachodniej równie strony, ale na północ od pierwszej. Imieniem tych dwu bram nazywały się całe forty, czyli kompleksy wież i innych budowli, obok siebie stojących, o grubych murach, podnoszących się z łożyska rzeki i spojonych z urwistemi ścianami skał, podpierających twierdzę kamieniecką. Ogień z luk armatnich i strzelnic, w które były opatrzone te kasztele, mógł być skierowany, czy to do obrony przejścia przez rzekę, czy też do bokowego ostrzeliwania prze-

<sup>1)</sup> Hammer l. c. pg. 383. <sup>2)</sup> Ojcz. Sp. T. II, st. 167.

<sup>3)</sup> Załączony tu plan Kamieńca jest kopią z kopii, udzielonej mi przez p. doktora Rollego. Oryginał był sporządzony przez Cyprjana Tomaszowicza, radnego m. Kamieńca, podobno ormianina, w r. 1672, dla biskupa krakowskiego i kosztem jego wydany. W opisanii Kamieńca korzystałem też z pracy p. Rollego pod tytułem „Zameczki Podolskie“, a prócz tego zwiedziłem osobiście szczegółowo miejscowość samą.

smyku; mury bowiem bram złamane były w ten sposób, iż umożliwiałały rzucanie ognia w różne strony.

Brama laska posiadała dwa wejścia: jedno ze strony przesmyku (przeciw D), a drugie z za rzeki, po moście, przez Smotrycz przezuconym. Most ten miał kształt krytej galerii, z której przez otwory dla broni ręcznej, można było ostrzeliwać ogniem bokuwym przejście przez rzekę i sam przesmyk. Przez laską bramę nie wchodziło się jednak bezpośrednio do miasta. Po przejściu przez nią, trzeba się było wspinać jeszcze wysoko w górę, żeby się dostać do drugiej bramy, zwaną bramą Batorego (17), która otwierała wstęp do miasta. Górną tę bramę podobnie jak dolną otaczała znowu cała grupa budowli, opatrzonych w strzelnice i luki działowe; ale ogień ztamtąd służył jedynie do ostrzeliwania miejscowości zarzecznój. Podobnie druga górna brama odpowiadała wejściu przez ruską bramę.

Prócz krzyżowego ognia z bram broniła przesmyku znajdująca się na górze przeciwko niemu potężna baszta (C), z której za pomocą moździerzy można było działać po przykopach nieprzyjaciela, w razie gdyby się kuśił postępować tą drogą; chociaż i bez tego napotykał on tu liczne przeszkody, a mianowicie: potężną wieżę (widoczną na planie), potem kanał (24), służący do upustu zbytłej wody w czasie powodzi, a w końcu pionowo piętrzące się ściany skały kamienieckiej.

Z tego opisu widzimy, z jaką to troskliwością starali się inżynierowie zabezpieczyć od napadu jedyny słabszy punkt w obronie Kamieńca. Ale i to nie wszystko. Dla utrudnienia nieprzyjacielowi dostępu z pola, zbudowano w widłach, utworzonych przez Smotrycz i małą rzeczulkę, do niego wpadającą, dwa zamki, zwane starym i nowym. Z tych stary zamek (B), cały z muru, składał się z ośmiu wież, połączonych blankami; nowym zaś zamkiem (A) nazywano dzieło fortyfikacyjne, znane w inżynierii wojennej pod imieniem hornwerka. Składało się ono z wału ziemnego, formującego dwa półnarożniki, połączone zasłoną, poprzedzonego fossą, opatrzoną w murowane szkarpy i przeciwszkarpy i służyło do wzmocnienia starego zamku. W rogaczu tym spotykamy na szkarpach, w wierzchołkach rogów wieżyczki, czyli strażnice zupełnie takie, jakie dają się widzieć na szkarpach Wawelskich. Czoło hornwerku zamykało zupełnie przystęp do przesmyku, przypierał on bowiem bokami swymi do urwistych brzegów rzek wspomnianych i był z tych stron zupełnie niedostępny.

Niepodobna tu pominąć jeszcze jednego sztucznego środka, który obronność Kamieńca znacznie podnosił, mianowicie: szluzów czyli batardów, z których jedna była urządzona u mostu, służącego dla komunikacji laskiej bramy z zarzeczem, a druga u ruskiej bramy. Za pomocą tych szluzów poziom wody w Smotryczu mógł być podniesiony i całe zarzecze wodą zalane.



Z historii powstawania twierdzy kamienieckiej posiadamy kilka tylko wzmianek. Na początku miała ona, zdaje się, takie przeznaczenie jak cytadela warszawska i lwowska, oraz koszary na mogile Kościuszki. Poświadcza to napis, znajdujący się na planie, tudzież i ta okoliczność, że podczas rewizyi w r. 1494 <sup>1)</sup>, niektóre działa w wieżach, przyległych do bramy starego zamku, stały obrócone w stronę miasta. W tym pierwotnym stanie jedna lub dwie wieże starego zamku, od przesmyka najbliższe, tworzyć mogły zamek. Atoli już w czasie wspomnianej rewizyi większa część tego zamku była zbudowana, brakowało mu tylko przedniej ściany, w pole obróconej, która przed następną rewizją w r. 1544, przez Starzechowskiego, kasztelana Bełzkiego, sporządzoną, już była gotowa <sup>2)</sup>. Oprawił wówczas stary zamek, jak widać ze szczegółowego opisu wszystkich robót, we wspomnianej rewizyi zawartego, inżynier J o p, prusak. Nowy zamek został zbudowany za Zygmunta III; kiedy zaś powstały wieże, baszty i mury, otaczające miasto Kamieniec, których opis bardzo szczegółowy, umieścił w swych „Zameczkach Podolskich“ dr. A. J. Rolle, nie wiadomo.

Co do ruchomej obrony, — to w działa i amunicją opatrzony był Kamieniec, za staraniem generała artylerji Kąckiego, dość obficie; atoli puszkarzy, którzyby obsługę przy armatach należycie rozumieli, liczyło się ledwie czterech; zapewne dla tego, że nając ich, w tak krótkim czasie było trudno. Załoga składała się tylko z 1100 żołnierzy, mianowicie: biskupa krakowskiego Trzebickiego 500, załogi zwykłej kamienieckiej 200, pułk Łączyńskiego 200 i pułk referendarza koronnego 200, a do tego mieszczan i chłopów około 500. Prosił wprawdzie Sobieski króla, ażeby do twierdzy była wyprawiona piechota łanowa, pisał także do Łużeckiego, ażeby resztki swego wojska, zostawiwszy tylko załogi w Mohylewie i Bracławiu, sprowadził do Kamieńca; ale starania te nie odniosły pożądanego skutku.

Czego jednak Kamieńcowi najwięcej brakowało, to dzielnego komendanta, któryby moc twierdzy i istotę jej obrony rozumiał i znajdujących się w jego rękach środków użyć potrafił. Kto zaś podczas oblężenia pełnił obowiązki komendanta, z pewnością powiedzieć nie można. Znajdowali się podówczas w twierdzy następujący dygnitarze: biskup kamieniecki, Wawrzyniec Lanckoroński, stolnik podolski Rzewuski, sędzia Gruszecki, chorąży Humiecki, podkomorzy Maciej Lanckoroński i podstarości Als, starszym nad armatą był major Hekling. Obowiązki komendanta w Kamieńcu, na mocy konstytucyi sejmowej spoczywały na staroście <sup>3)</sup>. Był nim wów-

<sup>1)</sup> Przegląd Bibliograficzno-archeologiczny T. III. 1882 r.

<sup>2)</sup> Ateneum T. III. 1886 s. 345.

<sup>3)</sup> Vol. leg. T. IV. f. 933.



czas Mikołaj Potocki, syn hetmana Mikołaja Potockiego; ale ten, lubo przyobiecał zostawać w Kamieńcu <sup>1)</sup>, nie tylko że się na miejscu nie znajdował; lecz ani z królem, ani z hetmanem o opatrzaniu i oprawieniu fortecy wcale się nie znosił <sup>2)</sup>, również i żywności, chociaż odebrał na zakup ję 20000 złotych, przez biskupa Trzebieckiego ofiarowanych, nie przysposobił. Dopiero w ostatniej chwili, gdy już wróg był prawie na karku, lamentuje i błaga Sobieskiego, aby mu przysłał przynajmniej 2000 piechoty i kilkanaście chorągwi jazdy, któreby śpieszyły dniem i nocą do Kamieńca, bo inaczej powiada: „Strzeż Boże quid sinistrum, to nie moja wina“ <sup>3)</sup>. Urząd tedy komendanta musiał pełnić tytularnie, w zastępstwie starosty, podstarości Als, który też przy poddaniu Kamieńca, klucze wezyrowi, oddawał. A że Als był prawdopodobnie człowiekiem małym i bez znaczenia, wypada wnosić, że obrona Kamieńca spoczywała w rękach rzeszy dostojników szlacheckich i istotnego kierownika nie miała. Do tegoż wniosku przychodzimy i ze słów biskupa Lanckorońskiego, w liście do Prusinowskiego: „ani głowy, ani praesidium nie masz“ <sup>4)</sup>.

Miejscowość, otaczająca Kamieniec, znacznie nad nim góruje i w skutek tego miasto przez dzisiejszą artylerją mogłoby być łatwo zbombardowane i w gruzy obrócone. Czy mogli to uczynić Turcy, trudno powiedzieć, nie wiedząc ile i jakiej artylerji mieli. Sądząc jednak z tego, że zdobycie takich zamków jak: Buczacz i Jazłowiec szło im opornie, że nad Złoczowem 6 dni stracili i że nie mogli rozbić z bliskiej odległości murów klasztoru bernardyńskiego, podczas oblężenia Lwowa, wypada wnosić, że artylerja turecka tak bardzo straszna dla Kamieńca nie była. Przypuściliśmy jednak, że powiodłoby im się wyłamać breszę w murach miejskich, to wedrzeć się do miasta, po stromych ścianach skały, przy znacznej ich wysokości, pewnieby nie zdołali. A że i minami, za pomocą których przeważnie opanowali Kandyą, trudno byłoby coś zdziałać przeciwko ogromnej skalistej massie, słusznie więc mógł być uważany Kamieniec za twierdzę, w owe czasy niezdobytą. Atoli i najmocniejsze warownie, przy niedołącznej obronie, stają się łupem zwycięzcy, co też potwierdza i upadek Kamieńca.

Po przybyciu pod twierdzę kamieniecką, rozłożyła się armia turecka na ogromnej przestrzeni, między Zabińcami i Ciolkowicami. W środku zajął stanowisko W. wezyr z janczarami i wojskiem rumelijskiem, a obok niego z prawej strony: faworyt sułtański Mustafa basza z wojskiem anatolijskiem i Zagaradzibaszwie (naczelnicy janczarów), z lewej zaś kajmakan Kara Mustafa basza i Samsondzilewszwie <sup>5)</sup> (także dowódcy janczarów). Tatarzy podzielili się na

<sup>1)</sup> Akta s. 1020. <sup>2)</sup> Tamże s. 1028. <sup>3)</sup> Tamże s. 1034. <sup>4)</sup> Oy. Sp. T. II, s. 164. <sup>5)</sup> Ham. 385.

dwa oddziały. Część jedna, przybyła z sultanem, stanęła u huńskiego studni, t. j. ku wschodowi, inna zaś z Doroszenkiem z Ukrainy sprowadzona, jak równie Lipkowie, co przez Uście wpadli na Podole i uprzedzili wkroczenie Turków, rozłożyli się na stepie Orynińskim, jako osłona oblegającego wojska, ze strony nieprzyjaciela.

Podług szacunku Sobieskiego, opartego na porównaniu zeznań różnych języków, a szczególnie tych, co się dobrowolnie предаwały, wojsko Mahometa W. miało wynosić <sup>1)</sup>:

|  |         |
|--|---------|
| Zaciężnych janczarów i spachów . . . . .   | 100,000 |
| Służących, których każdy basza, wedle porocyi powiatu, którym rządzi stawić powinien . . . . . | 30,000  |
| Pospol. ruszenia (wojska lennego) z Azji i Europy . . . . .                                    | 60,000  |
| Wołoszy i Mułtanów . . . . .   | 8,000   |
| Tatarów litewskich . . . . .   | 2,000   |
| Kozaków Doroszenki . . . . .   | 12,000  |
| Tatarów krymskich . . . . .  | 50,000  |
| Tatarów dobruckich i białogrodzkich . . . . .  | 15,000  |
| Razem . . . . .  | 277,000 |

Zdaje się, że w tym rachunku naliczono za wiele janczarów i spachów, a za mało tatarów krymskich. Na wyprawie Chocimskiej znajdowało się janczarów 30,000 i spachów 25,000; tatarów zaś z chanem wychodziło zwykle 100,000. Sam Sobieski, na innym miejscu liczy ich 80,000 <sup>2)</sup>.

Zaraz po obsaczeniu Kamieńca rozpoczęto przykopy, przeciwko nowemu zamkowi i w 5 dni przyszańcowano się do rowu. Nakazano potem zebranie worków, których każdy z lenników miał dostarczyć liczbę odpowiednią do swoich dochodów <sup>3)</sup>. Zamyślano zapewne budować baterye wyłomowe przeciw wałom, a zarazem pod szkarpy podłożono miny w miejscach (8); lecz gdy załoga opuściła wały, szzańcowano się dalej, po wnętrzu nowego zamku ku staremu i za pomocą min wysadzono w powietrze, już na 9-ty dzień oblężenia, bramę tego zamku <sup>4)</sup>. Jednocześnie ostrzeliwano z dział zamek i miasto, a jeden granat, wpadłszy do kaplicy luterskiej, znajdując się w jednej z wież starego zamku (18), gdzie były złożone granaty, zapalił je, co sprawiło wielki łoskot i wstrząśnienie <sup>5)</sup>. W mieście także wszczął się ogień, na dachu kościoła św. Katarzyny, a cerkiew św. Jerzego zupełnie spłonęła.

Tegoż dnia przypuścili Turcy szturm do wyłomu w bramie, ale

<sup>1)</sup> Akta s. 1051. <sup>2)</sup> Tamże s. 1067. <sup>3)</sup> Ham. s. 385. <sup>4)</sup> Grab. Oycz. Sp. T. II. s. 169. <sup>5)</sup> Ibił. s. 170.

zostali odparci, ze stratą 2000 ludzi. Z polskiej strony padł chorąży Humiecki.

26 sierpnia wysadzili Turcy jeszcze kawał muru i podłożyli miny pod cztery wieże, co gdy oblężeni postrzegli, wywiesili natychmiast białą chorgiew i posłali parlamentarzy do obozu tureckiego, dla zawarcia kapitulacyi co do poddania miasta.

27 sierpnia, gdy już się kończyły namowy z nieprzyjacielem, wyleciała w powietrze z wielkim łoskotem, wieża starego zamku (19), w której prochy złożone były. Przyczynę tej katastrofy różnie tłumaczą, ale powszechnie uznawano za jej sprawcę starszego nad harmatą, majora Heklinga. Biskup Lanckoroński podaje za pobudkę tego kroku dysgust p. majora za częste jego karcenie, z powodu nierządu i mankamentów w cekauzie; a komendant lwowski, Łącki, przypisuje jego postępek rozpachy ztąd pochodzącej, że w skutek nieładu między szlachtą, Kamieniec poddać się musiał. Zginęło przytém do 500 osób, w znaczniejszej części żołnierzy, a w tej liczbie i rotmistrz Wołodyjowski, którego biskup Hektotrem nazywa.

Warunki poddania twierdzy były bardzo łagodne. Żołnierzom pozwolono wyjść z bronią w rękę, pod warunkiem zostawienia dział na własność zwycięzcy. Mieszkańcom Kamieńca pozwolono wyjechać z dobytkiem, pozostałym zaś zapewniono bezpieczeństwo osobiste i własność majątków. Gwarantowano także wolność religijną, a domy szlachty miały zostać wolne od postoju.

Tak lekkie koudycye mogłyby być chyba wynikiem łaskawego usposobienia i wesołego humoru, w który wprawiło turków tak łatwe opanowanie twierdzy, uważanej zapewne przez nich samych za niezdobytą. Ledwie że poczynili pierwsze kroki i zagrozili zburzeniem starego zamku, gdy załoga już struchlała i prosiła o miłosierdzie. Rzecz oczywista, że w pośród rzeszy szlacheckiej nie znalazło się ani jednego męża z inicjatywą i energią, któryby potrafił wlać otuchę i mężstwo w żołnierzy i prowadzić obronę do końca. Możliwy byłoby myśleć, że ludność kamieniecka wzięła serca załogi. Ze tak nie było, dowiadujemy się ze słów biskupa Lanckorońskiego, który mówi: „iż gdy chciał prosić Turków o armistitium, to pospółstwo, baby zwłaszcza, rozumiejąc, że to już o poddaniu zamyślają, bardzo go źle traktowało, jako zdrając“.

Załoga widocznie przywiązywała za wielką wagę do starego zamku, który w istocie miał podrzędne znaczenie, służył bowiem tylko do obrony wejścia na przesmyk, o obronie zaś samego miasta, które właśnie przedstawiało największą siłę oporu, ani pomyślała. Niepotrzebnie też złożono w starym zamku znaczną ilość prochu, który powinien był znaleźć dla siebie miejsce w lochach i podziemiach miasta.

Po zdobyciu zamku, turcy musieliby prowadzić dalsze roboty po przesmyku, a że ten był wązki, przecięty kanałem i bronio-



ny prostym i krzyżowym ogniem z różnych stron, oplacaliby każdy krok krwią i śmiercią, a w końcu napotkaliby nieprzebytą skałę. Z listu biskupa Kamienieckiego widać, że turcy approsze i do bram prowadzili i że byli już bardzo blisko bramy ruskiej. Zbudowali oni nawet tam baterią, za pomocą której mogli popsuć szluzę. Atoli i przy zwykłym poziomie Smotrycza, szanćowanie się po jego łożysku było połączone z niezmiernymi trudnościami. Zdobycie nawet bram dolnych jeszcze nie oddawało nieprzyjacielowi w ręce Kamieńca, gdyż, jak widzieliśmy, do murów miasta ztamtąd było jeszcze daleko i trzeba było się do nich drapać wysoko w górę. Załoga, lubo była słaba tak dalece, że ledwie pojedynkiem brustwerki okryła, a na 6 strzelnic przypadał jeden tylko strzelec <sup>1)</sup>, ale to przy obronie dłuższej linii wału nowego zamku. Broniąc przesmyku musiałaby się skupić na jednym punkcie, na którym i nieprzyjaciel nie mógł znacznych sił rozwinąć. Niewiadomo czy były przewidziane środki do gaszenia ognia, oraz w jakiej ilości znajdowała się żywność i na jak długo starczyć mogła, w każdym jednak razie, szlachta przodująca załodze, powinna była trzymać się do ostatecznego wyczerpania sił i środków; lecz ję chodziło, jak się zdaje, więcej o własne głowy i mienie, aniżeli o całość i honor ojczyzny; na tronie zaś siedział król niedołężny. Na niego też i jego doradców spada w znacznej części odpowiedzialność za marną utratę Kamieńca. On bowiem powinien był dbać o jego stan należyty i opatrzenie, a co najmniej powinien był wyznaczyć czujnego, zabiegliwego, energicznego i świadomego sztuki inżynierskiej komendanta, któryby obroną kierował i porządek oraz dyscyplinę w twierdzy utrzymał potrafił. Dopominał się tego wielokrotnie Sobieski. W liście do kasztelana Podlaskiego pisze: „Wyjechałem z Warszawy nie mogąc się doprosić i biednego na Kamieniec komendanta, a dopiero o ludziach, prowiancie, municyi, fortyfikacyi i myśleć nietylko mówić darmo było“ <sup>2)</sup>. Ale król, równie jak jego doradcy, ani o wojnie ani o twierdzach, ani o ich potrzebach pojęcia nie mieli, a prócz tego prawdopodobnie ani wojska ani wojskowych nie znali; powierzyć zaś wybór Sobieskiemu obawiali się, ztąd też i działalność jego częstokroć paraliżowali, wkraczając nawet w atrybucyę władzy hetmańskiej. Skarży się on na to w liście do podkanclerzego: „ale i bez tego uie byłoby po chrześcijańsku, wszystko hetmanom z rąk wyjąwszy, same im tylko zostawić kłopoty“ <sup>3)</sup>.

Takim sposobem, przez nieudolność króla i jego doradców, przez niesnaski i rozdwojenie między stanami, przez niedbalstwo starosty kamieniockiego, Potockiego, a w końcu przez słaboduszność szlachty, rezydującej w Kamieńcu, dostała się prawie za darmo w ręce wroga ta groźna i niedostępna twierdza, którą jakby sama

<sup>1)</sup> Akta s. 1069. <sup>2)</sup> Ibid. s. 1028. <sup>3)</sup> Ojez. Sp. T. II. s. 340.



natura przeznaczyła na strażnicę granic Rzpltej. Turcy lepiej umieli ocenić moc i znaczenie Kamieńca, bo dostawszy go w ręce, nie dali sobie wydrzeć, pomimo wszelkich usiłowań ze strony Polaków. Był to jednakże ostatni ich nabytek <sup>1)</sup>. Odtąd gwiazda ich szczęścia wojennego blaknąć i granica niezmiernych podbojów w tył się usuwać zaczęła, co w dalszym następstwie trwa aż do naszych czasów.

Po zdobyciu Kamieńca, nakazał Mahomet dziękczynne modły po całym swém państwie za darowane mu zwycięstwo. W obozie tureckim panowała wielka radość. Strzelano z dział i broni ręcznej, urządzano rześiste illuminacye a wyżsi dostojnicy udarowani zostali pięknymi złotogłowiami, futrami sobolowemi i chylatami.

Najbliższym po Kamieńcu łupem dla wojska cesarskiego mógł być Lwów. To też dla zdobycia tego miasta wyprawił sułtan, Selim Gireja i Kapłana baszę Haleba, z beglerbejami Rumelii, Anatolii i Karamanii, przydawszy im Doroszenkę z kozakami, tudzież Mułtan i Wołochów. Sam nie przyjął udziału w tym pochodzie, lecz udał się do Zwańca, gdzie w ciągu kilku dni bawił się łowami <sup>2)</sup> i dopiero w początkach września wyruszył do Kalandore (?) (może Kudryniec nad Zbruczem), a ztamąd do Buczacza, w którego okolicach między wsiami: Nowostawce, Niedźwiedziowce, Pieszkowce i Trybuchowce rozłożył się obozem <sup>3)</sup>. Zamek Buczacki z niemałym trudem zdobyty został przez defterdara baszę Achmeta, przy pomocy Abdibaszy, agi janczarów. W tymże czasie Hussein basza, gubernator Aduny, dobywał Jazłowca <sup>4)</sup>. Pochodem tym zakreślił sobie monarcha turecki rejon posiadłości, który miał zatrzymać przy Kamieńcu od strony Rusi.

Chan tymczasem, minąwszy około 10 września Husiatyn <sup>5)</sup>, posuwał się z Kapłanem baszą ku Lwowu, pałac i niszcząc wszystko po drodze. Niektóre miasta i zamki otwierały im swe bramy, inne zaś, które się poddać nie chciały, pomijano, w nadziei, że po zdobyciu Lwowa, same do rąk im przyjdą. Złoczów zatrzymał trochę Turków. Bronił go komendant Strym w ciągu 5 dni, ale w końcu musiał uleść przemocy <sup>6)</sup>. Do Lwowa przybył Kapłan basza 24 września, chan zaś stanął tamże już 20-go września <sup>7)</sup>.

Lwów, co do swego położenia nie może się równać z Kamieńcem. Gdy tamten stoi wysoko, na niedostępnej skale, Lwów leży w głębokiej kotlinie, otoczonej zewsząd wzgórzami i ze wszystkich stron daje łatwy dostęp nieprzyjacielowi. Prócz tego obrona Kamieńca, na który zawsze zwrócona była uwaga, znajdowała się w dość dobrym stanie. Lwów zaś, jako leżący w głębi kraju, nie doznawał żadnej prawie opieki i fortyfikacye jego zostawały w wiel-

<sup>1)</sup> Cantemir Demetr. „Histoire de l'Empire Ottoman“. Paris. 1743. T. I. ks. III. pg. 52. <sup>2)</sup> Ham. 388. <sup>3)</sup> Akta l. c. 1105. <sup>4)</sup> Ham. 388. <sup>5)</sup> Akta 1074. <sup>6)</sup> Ojcz. Sp. T. II. s. 349. <sup>7)</sup> Ibidi. pg. 179.

kiém zapuszczeniu. Mury i wały były zrujnowane <sup>1)</sup>, fossy zasypane śmieciami, domy i inne budowle przedmieści łączyły się prawie z miastem, prowiantu wcale nie przysposobiono i drożyzna chleba panowała okropna, gdyż z powodu opóźnionego roku żniwa jeszcze nie były skończone <sup>2)</sup>. Załoga składała się z pułku Łąckiego, z pułku wojewody ruskiego, z suplementu pułku Morsztyna, z piechoty województwa ruskiego około 400 ludzi, z dwóch chorągwi jazdy, przez Sobieskiego przysłanych <sup>3)</sup> z 1000 mieszczan, w oręż należycie uzbrojonych i nieco chłopstwa z rozmaitem narzędziem <sup>4)</sup>. Łącki, generał kwatremistrz wojska <sup>5)</sup>, przeznaczony był na komendanta. On też zaraz gorliwie się zajął przyprowadzeniem twierdzy do obronnego stanu. Kazał oczyścić fossy, poprawiać wały, przedmieścia spalić i jak tylko pokazali się i zaczęli się posuwać pod miasto tatarzy, kazał dać ognia, co ich zmusiło jak najprędzej umykać i za góry się chować <sup>6)</sup>.

W nocy z 20 na 21 września zrobiono wycieczkę, składającą się z milicyi miejskiej i znajdujących się w twierdzy dwu chorągwi jazdy, pod dowództwem setnika Fryderyka Megelina. Ludzie ci, sprawiwszy alarm w obozie nieprzyjaciela, cofnęli się do miasta, jada jednak już więcej nie wróciła <sup>7)</sup>. Nie jedyny to przykład braku dyscypliny w wojsku polskiem, szczególnie własnego narodowego zaciągu, składającego się z braci, a co najgorsza, że ta niesubordynacja uchodziła zwykle bezkarnie.

W ciągu 22 i 23 września, przybywało coraz więcej tatarów, a 24 przyciągnęli i turcy ze sprzymierzeńcami. Armia oblężnicza rozłożyła się w ten sposób: turcy zajęli stanowisko od wschodu, mułtanie i wołosi od południa, tatarzy od zachodu, ze strony Gródka, a kozacy pomiędzy S-tym Łazarzem i Maryą Magdaleną <sup>8)</sup>. Z tego rozstawienia sił nieprzyjacielskich pokazywało się, że największe niebezpieczeństwo groziło od Wschodu t. j. ze strony Turków, którzy i działa burzące posiadali i umieli chodzić koło zdobywania fortec. Ztąd też przeciwko nim postawiono większe i wyborowe siły, pod dowództwem Ferdynanda Lechnera <sup>9)</sup>, z innych zaś stron zajęli stanowiska: od południa oddział Urbana Czechowicza, a od zachodu i północy Jan Stadnicki ze swemi ludźmi, obaj ławnicy miejscy. Odwód, pod wodzą Andrzeja Szymonowicza, także ławnika, pozostawiono na rynku <sup>10)</sup>.

25-go wódz turecki wezwał miasto do poddania się. Wysłano do niego poselstwo z podarunkami, których on przyjąć nie chciał, a żądał kluczy od twierdzy; gdy zaś posłowie wzbraniłi się uczy-

<sup>1)</sup> Akta 1046. <sup>2)</sup> tamże. <sup>3)</sup> tamże 1051. <sup>4)</sup> Zubrzycki „Kronika miasta Lwowa“. Lwów 1844, str. 422. <sup>5)</sup> Ojez. Sp. T. II, s. 336. <sup>6)</sup> Oj. Sp. T. II, s. 176. <sup>7)</sup> Zubrz. 422. <sup>8)</sup> Akta s. 1102. <sup>9)</sup> Koch. Klim. IV, s. 222. <sup>10)</sup> Zub. I. c. s. 422.





Plan du Camp de Cotrichum

Nester

Fleuve

Дозволено цензурою: Одесса, 12-го Сентября 1889 г.—Лит. П. Францова, Пушкинский ул., д. № 20, вл. Одесей.

Kozijowata Katarzyna Koronelli.



nić zadość temu żądaniu, wymawiając się, że na to potrzebują rozkazu króla swego i błagali o cierpliwość, nim posłowie Rzpltej, do zawarcia pokoju przeznaczeni, nie przybędą, kazał się im oddać i natychmiast z różnych, po okolicznych pagórkach rozmieszczonych bateryi, posypały się kule na miasto, co cały dzień i noc następną trwało.

W nocy z 25 na 26 podsunął nieprzyjaciel działa większego kalibru dla łamania murów, usypał baterye na górze Szembekowej i pod Ś-ym Jurem, z których przez następne dni strzelano do miasta.

Dnia 27 ciągnęli turcy dalej okropną kanonadę ze wszystkich bateryi, a tymczasem rozpoczęli dwa podziemne podkopy, z których jeden od klasztoru Karmelitów ku wałom miasta, a drugi z Gliniańskiej ulicy ku Bernardynom. Janczarowie zdobyli klasztor panien Bernardynek, terażniejszą komorę celną i ztamtąd razili broniących klasztor Bernardynów mężki.

W nocy z 27 na 28 zrobiła załoga wycieczkę, która sprawiła popłoch w obozie nieprzyjacielskim; lecz to nie polepszyło stanu miasta.

28-go turcy podsunęli działa burzące pod mury klasztoru Bernardynów i byłoby w nim wyłom uczynili, gdyby trafiali w jedno miejsce. Tegoż dnia zajął nieprzyjaciel Wysoki zamek, z kąd nasi sprowadzili załogę miejską, składającą się z 20 ludzi; Turcy zaś, zaciągnąwszy tam dwa działa, bombardowali ztąd miasto.

Położenie Lwowa stawało się coraz drażliwsze, chociaż miasto mogło się jeszcze jakiś czas trzymać, gdyż nawet wyłom w klasztorze Bernardyńskim, o który tak się obawiano, nie utworzyłby nieprzyjacielowi drogi do twierdzy, była to bowiem wielka i trwała budowla, do kasztelu podobna, której zdobycie przedstawiałoby większe trudności, aniżeli jakiegoś innego punktu, bo prócz silnej budowy znajdowała się ona jeszcze zewnątrz murów. Na szczęście jednak lwowian dnia następnego (29 września) przybyli do obozu nieprzyjacielskiego komisarze Rzpltej, do traktowania o pokój w osobach: Jana Franciszka Lubowickiego, kasztelana wołyńskiego i Jana Szumowskiego, podskarbiego nadwornego. Ci panowie, położywszy za warunek przystąpienia do pertraktacji pokojowych, zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich przeciwko Lwowu, wyjednali za pośrednictwem wezra chańskiego u Chana i Kapłana baszy przerwanie działań wojennych, co też i Łącki ze swój strony uczynił <sup>1)</sup>.

Podczas następnych dni ciągnęły się dalej rokowania o warunki pokoju i chociaż barbarzyńcy srożyli się z początku, grożąc, że siłą Lwów zdobędą, a potem pójdą w głąb kraju, to w końcu przystali na okup w ilości 80,000 złotych. Gdy jednak z powodu ujęcia z miasta bogatszych i wywiezienia kosztowności z kościołów, tak wielkiej

<sup>1)</sup> Grab. Oycz. Sp. T. I. s. 186.



sumy zebrać było niepodobieństwem, zgodzili się na zapłacenie zaraz 5,000 złotych, za resztę zaś wydało miasto dwunastu zakładników <sup>1)</sup>.

Z pierwszego wejrzenia dziwną zdaje się rzeczą, że nieprzyjacieli, mogąc tak łatwo Lwów zdobyć, wypuszczają go z rąk i jakby dobrowolnie zrzeka się swego niechybnego łupu; ale trzeba wziąć na uwagę, że w obozie pod Lwowem Chan był osobą decydującą, dla niego zaś Ruś była folwarkiem, z którego jego poddani ciągnęli zyski i dochody. Gdyby prowincya ta dostała się pod władzę Sultana, dostęp do niej tatarom zostałby zupełnie wzbroniony. Woleli tedy zachować ją dla siebie. Dziwnem niemniej zdaje się, że Sultana, który po opanowaniu Lwowa, zostałby panem Rusi, nie tylko że nie żywi żadnej urazy do Chana za niedojście oblężenia do skutku i za bezużyteczny spacer swego wojska; ale jeszcze zaleca komisarzom wdzięczność dla niego za to, że za jego pośrednictwem pokój sklejony został. Zapewnie ucieszył Selim Girej Sultana znacznym, bo 75,000 zł. wynoszącym okupem ze Lwowa, którego zresztą Sultana nie otrzymał; atoli głównym motywem do pobłażliwości Sultana było to, że chociaż Chan był lennikiem, to tak potężnym, że wyprowadzał na wojnę, czy to z polakami, czy też z cesarzem niemieckim 100,000 wojowników, a takiego lennika każdy monarcha musiałby cenić wysoko i na niektóre jego uchybienia przez szpary patrzeć.

W skutek takich stosunków, Lwów uniknął niewoli; ale za to Ruś musiała za niego ciężki okup tatarom zapłacić. Drapieżne te ptaki nie chciały opuścić nadającej się wyborniej dla czambułu sposobności; tém więcej, że poseł Chański, który do króla Michała, przebywającego naówczas w Janowcu jeździł, zapewnił tatarów, że wojska polskiego nigdzie nie widział <sup>2)</sup>. W nadziei tedy, że rabunek ujdzie bezkarnie, gdy już namowy między komisarzami polskimi z jednej a Chanem i Kapłanem baszą, z drugiej strony, zbliżyły się ku końcowi, sultanowie, agowie i murzowie tatarscy zbiegli się tłumnie do chańskiego namiotu dla naradzenia się nad wycieczką na czambuł. Komisarze polscy, którzy to widzieli, nie wiedząc jaki był cel tego zbiegowiska, posłali przenajętych szpiegów, a dowiedziawszy się od nich o co rzecz chodziła, obrócili się zaraz do wezyra chańskiego, dopominając się o danie słowa, że więcej zagonów rozpuszczać nie mieli. Atoli żadne prośby i obietnice nie zdołały ich powstrzymać od tej okrutnej igraszki: zaraz 2 września, rozdzieliwszy wojsko na zagony, rozsypali się w różne strony: ku Wiśle, Sanowi, Dniestrowi i ku góróm <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Grab. Oycz. Sp. T. I. 186, 187 — Akta s. 1103. <sup>2)</sup> Akta 1103.

<sup>3)</sup> Oycz. Sp. T. I. 189.

I znowu zapłonęły wsie i miasta, a powietrze napełniło się jękami nieszczęśliwego ludu, zabijanego i uprowadzanego w niewolę. Cóż robili rzekomi obrońcy ojczyzny, król i szlachta, gdy srogi wróg za dawał jój cios po ciosie, gdy całe prowincje pod swe panowanie zagarniał, gdy ziemię rodzinną plondrował, palił, rabował?

Po otrzymaniu złowrogięj wieści o naddciąganiu Turków i Tatarów powstała powszechna trwoga, płacz, lament i podnoszenie rąk do nieba. Wszystko co żywo opuszczało domy i uciekało, gdzie o czy niosły; a panowie wybierali się na Szląk i do Gdańska <sup>1)</sup>. Z tego powodu pisze do biskupa Krakowskiego, dn. 6 sierpnia Sobieski: „Appropinquavit tandem hora zguby naszěj... A to najcięższa, w tém nieszczęściu naszém, że nam oto jeszcze za złe miano, żeśmy przestrzegali i żeśmy się bali tego, czego się wcześniej bać było potrzeba. Tak bowiem wielcy ludzie i sławni wodzowie czynić powinni, aby się zdaleka bać, a zbliżka lekceważyć nieprzyjaciela“. <sup>2)</sup> Tu się działo zupełnie naodwrot.

Naznaczone było rycerstwu zebranie się na 15—20 sierpnia, w pospolitém ruszeniu <sup>3)</sup>. Ale ono ani myślało gromadzić się na termin. Długo uważano wieści o Turkach za zmyślone „a znaleźli się nawet pułkownicy (?) (może kasztelanowie), którzy wazyli się okólnikami obwieszczać, że niebezpieczeństwo od Turków już minęło i potrzeba wsiadania na koń upadła“ <sup>4)</sup>.

Z Poznańskiego i Kaliskiego województw ściągnęło się było trochę szlachty pod Uniejów na 12 sierpnia, ale odłożywszy sobie termin zбору do 3-go września, w którym mieli zebrać się pod Sędziszowem za Puławami, powrócili do domów. Sieradzianie umówili się stanąć w obozie 28 sierpnia, Krakowianie i Sandomierzanie zaczęli popis 25 sierpnia i wprędce potem mieli wyruszyć w drogę <sup>5)</sup>.

Król Michał wyjechał z Warszawy 12 sierpnia <sup>6)</sup> w zamiarze udania się do Lublina, aby tam stanąć na czele pospolitego ruszenia; lecz dowiedziawszy się, że nikt z pospolitych jeszcze na miejsce nie przybył, zatrzymał się w Janowcu, zkąd rozpisał listy, nawołujące rycerstwo, aby się co rychlęj pod Gołąb kwapiło. Wojsko koronne, rozrzucone po różnych miejscach, stało za Wisłą. Król nie śmiał go zgromadzić i stanąć na jego czele, otrzymał bowiem ostrzegające listy od pułkownika lekkich swych chorągwi, Kłodnickiego, tudzież od jakiegoś nieznajomego z Glinian, że i Swoi i Tatarzy czyhają na jego zgubę i chcą go korony pozbawić <sup>7)</sup>. Przeceniając tedy znaczenie swęj osoby dla Rptěj, myślał już tylko o zachowaniu jēj dla szczęścia swych poddanych. W tym celu Łużeckiego i Hanenkę, zamiast skierować na Ruś i ku obronie Kamieńca, jak tego chciał Sobieski, powołał bliżęj ku sobie do Hrubieszowa <sup>8)</sup>. Pie-

<sup>1)</sup> Oy. Sp. T. II. 172. <sup>2)</sup> Akta s. 1042. <sup>3)</sup> Akta s. 1028. <sup>4)</sup> Konf. Goł. s. 152. <sup>5)</sup> Akta 1057. <sup>6)</sup> Tamże 1050. <sup>7)</sup> Konf. Goł. s. 153. <sup>8)</sup> Akta 1072.

choty łanowej niewiadomo jak użył, dość że do Kamieńca jęj nie puścił <sup>1)</sup>. Proch, darowany przez Kurfirsta, który Sobieski kazał przewieść do Kamieńca, polecił zostawić w Warszawie, czy też odwieść do Zamościa <sup>2)</sup>. Nareszcie utrzymywał przy sobie 3000 wojska, a w tej liczbie 500 dragonów przez Kurfirsta Brandemburskiego przysłanych <sup>3)</sup>.

Wśród powszechnej trwogi i odrętwienia, jeden tylko Sobieski za wszystkich czuje, myśli i działa. On to gorliwie i usilnie troszczył się o Kamieniec i byłby go należycie opatrzył w załogę, gdyby król, jakeśmy już widzieli, rozporządzeń jego niepokrzyżował. Dnia 10 go sierpnia znajdujemy Marszałka w Krasnobrodzie, ostrzegającego uniwersałem współobywateli, aby się mieli na baczności w obec nadciągającego w wielkiej sile nieprzyjaciela <sup>4)</sup>. Z Krasnobrodu jedzie do Lwowa i opatruje to miasto, ile było w jego mocy, w załogę <sup>5)</sup>. Nareszcie, powróciwszy ztamtąd do swego Jaworowa, śledzi przez podjazdy za ruchami i działaniami Turków, a zatym jak sam powiada: „omni militari destitutus apparatusu w pole wyjść, a resistere tak potężnemu nieprzyjacielowi, żadnego już nie widzę sposobu prócz samej tylko opatrności Bożej“ <sup>6)</sup>. Pod władzą Sobieskiego znajdowało się podówczas tylko 10 chorągwi husarzy i trochę kozaków <sup>7)</sup>. Chorągwie te stały 4 sierpnia pod Husiatynem. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela, musiały one ustąpić i odeszły naprzód do Trębowli, a potem i dalej w głąb kraju <sup>8)</sup>.

Druga część wojska kwarcianego, pod Łużeckim, knem Podlaskim, wyruszyła z Hanenkiem 9 sierpnia z Ładyżyna i okolną drogą na Białęcerkiew, przybyła do Hrubieszowa <sup>9)</sup>. Wojsko to jednakże przez długą wojnę i konsystencyą w głodnym kraju zrujnowane i przez dwie porażki pod Truściańcem i Ładyżynem osłabione, było bardzo nieliczne i znajdowało się w oplakanyim stanie.

U Haneńki, kwaterującego w Zamościu było niewięcej nad 2000, część bowiem jego kozaków rozbiegła się <sup>10)</sup>.

Znajdowało się jeszcze, jak wiemy, 3000 wojska przy królu, lecz to strzegło nietykalności jego osoby.

Właściwie na służbie Rzptęj powinny były znajdować się wyprawy powiatowe. Według konstytucyi 1670 roku „dla obwarowania Rptęj od wszelkich niebezpieczeństw, Województwa, ziemie i powiaty obowiązały się, za pieniądze tyle drugie, jakie wówczas płacili, wystawić najdalej primis diebus Mai, chorągwie w pewnej liczbie. In casu zaś pertractationis belli, zachowywały sobie województwa sposoby dalszego utrzymania, albo też, będzieli się zdało, wedle potrzeby przyczynienia tego żołnierza“ <sup>11)</sup>.

<sup>1)</sup> Akta 1039. <sup>2)</sup> tamże 1042. <sup>3)</sup> tamże 1057. <sup>4)</sup> tamże s. 1046.

<sup>5)</sup> tamże s. 1053. <sup>6)</sup> Ibid. 1040. <sup>7)</sup> Ibid. 1046. <sup>8)</sup> Akta 1038. <sup>9)</sup> Ibid. 1056.

<sup>10)</sup> Ibid. s. 1063. <sup>11)</sup> Vol. leg. IV s. 55.



Mamy kilka świadectw, z których się pokazuje, że te wyprawy przyjmowały udział w wojnie Sobieskiego z kozakami i tatarami w r. 1671 <sup>1)</sup>. Musiały one na zimę powrócić do domów, były bowiem pozbawione prawa do chlebow zimowych.

W r. 1673, w czasach najkrytyczniejszych od wtargnięcia nieprzyjaciela w granice Rptój do zdjęcia oblężenia Lwowa nie spotykamy nigdzie chorągwi powiatowych. Trudno odgadnąć, czy województwa, zastrzegłszy sobie nie tylko utrzymanie, ale w potrzebie i przyczynienie tego żołnierza, nie uznawały obecnej, tak krytycznej chwili za odpowiednią do spełnienia swych zamierzeń, czy też nie chciały oddać wypraw swoich, w ręce Sobieskiego, dość że występują one w pole dopiero wtenczas, gdy rycerstwo wyrusza do obozu pod Gołąb. Współczesny powiada, że te chorągwie sprowadzili oni z sobą „aby tym prędzej z pospolitego ruszenia wyfiglować się wyprawą mogli“ <sup>2)</sup>. Niewiem jak to rozumieć, ale chyba tak, że dla tego sprowadzili z sobą chorągwie powiatowe, aby wyręczyć się niemi, w razie gdyby wypadło iść przeciw Turkom. Zaciągi te jednak nie weszły pod władzę hetmana W. koronnego, a miały osobnego regimentarza w osobie Stefana Czarnieckiego, pisarza polnego, który był Marszałkiem konfederacyi Gołąbskiej. Wyrodny ten potomek Wielkiego bohatera chciał zagarnąć pod swą władzę i całe wojsko kwarciane, ale król na to nie pozwolił <sup>3)</sup>.

*C. d. n.*

---

<sup>1)</sup> Oycz. Spom. T. II. str. 343 i 345. <sup>2)</sup> Akta str. 1126. <sup>3)</sup> Konf. Gołąbska str. 175.

# STANLEY I EMIN.

Przez

Eugeniusza Lipnickiego.

---

„Przedewszystkiem jestem zupełnie zdrow i znajduję się w usposobieniu robotnika, który spełniwszy pracę całego tygodnia, w sobotę wieczorem powraca do domu, z zapłatą w kieszeni, szczęśliwy, że nazajutrz niedziela. Właśnie trzy lata temu, wygłaszając po drugiej stronie oceanu, w nowej Anglii, wykłady, otrzymałem wezwanie, abym wyruszył do Wadelai, celem wyswobodzenia Emina. Jak na te pocziwe zwierzęta ładunkowe, obok głównego ciężaru, wkładają jeszcze mnóstwo mniejszych paczek i drobnostek, tak téż oprócz głównej misyi, powierzono mi mnóstwo drobniejszych, z których jednak każda wymagała równych starań i zręczności. Dziś rzucając wzrokiem w stecz, czuję się zadowolnionym. Możemy sobie powiedzieć, że dzięki dobrej woli i wytrwałości, przemożliśmy, jak można było, trudności“.

„Pominąwszy spełnienie naszego głównego zadanie, zrobiliśmy ważne odkrycia geograficzne. Bieg rzeki Aruwimi jest teraz znany; skonstatowaliśmy nad Kongo ogromne lasy, pokrywające przestrzeń tak rozległą, jak cała Francya i Hiszpania; góry księżycowe otrzymały na karcie właściwe swe miejsce; zbadaliśmy boki ich najwyższego szczytu, śnieżnego Ruwenzori, odkryliśmy łącznik jezior Alberta i Alberta-Edwarda; w skwarze równikowym chłodziliśmy się kryształową i lodową wodą z gór śnieżnych. Nasz przyrodnik opowie o różnych nowych gatunkach zwierząt, ptaków i roślin, które odkrył. Nigdy nie spodziewałem się tak obfitego plonu. Z wszystkich moich wypraw afrykańskich, ta ostatnia jest najnadzwyczajniejszą“.

„Tylina straż wyprawy, zamiast w sierpniu wyruszyć w ślad za nami, zatrzymuje się w Jambudze, gdzie trzecia część załogi ginie od trucizny, dowódzca jest zabity, zastępca jego umiera z choroby i zgryzoty... W téj samej chwili, o 150 mil na wschód, dowódzca przedniej straży zabląkał się w lasach i paraził swój udział na zdziesiątkowanie od strzał zatrutych. Tego samego 17

sierpnia, ale w rok później (1888), spotykam jedyne go pozostałego oficera tylniej straży w Bonalyi i dowiaduję się od niego o samych katastrofach. I tegoż dnia, 600 mil na wschód, Emin, tudzież wysłaniec mój Jephson stawają się więźniami dzikich rokoszan. Ocaliwszy Boniego i powróciwszy po raz drugi nad jezioro Alberta, słyszymy, że Emin i Jephson przygotowują się na śmierć.

„Dopiero, gdyśmy wszyscy byli zebrani w obozie (nad jeziorem) i gdy zbiegowie egipscy stanęli pod naszą opieką, zrozumiałem, że byłem poprostu wykonawcą wyższego planu. Mój własny plan niweczyły zawsze nieszczyśliwe okoliczności. Usiłowałem przeprowić się najkrótszą drogą: wrogie żywioły sprzeciwiały się. Byłem przekonany, że czystość moich zamiarów zasługiwała na powodzenie, ale czułem, że koniec tego wszystkiego spoczywał w innym ręku. Ani jeden z oficerów nie zapomni strasznej nędzy, jaką przechodził, a jednak wszyscy ci, którzy wyruszyli zemną w przedniej straży, są zdrowi. Porucznik Stairs, którego zatruta strzała ugodziła pod samo serce, jednak żyje. Jephsona, uwięzionego, przez cztery miesiące otaczali stróże o nabitych karabinach,— jeżeli żyje, nie zawdzięcza mnie tego. Oficerowie ci czasem jednego dnia przebywali 18 rzek, brodzili w błocie, żyli całymi miesiącami w atmosferze, którą medycyna uważa jako śmiertelną. Dla czego nie ulegli? Pospólstwo nazwie to szczęściem, niedowiarek przypakiem; ale w głębi wszystkich serc spoczywa uczucie, że naprawdę jest w niebie i na ziemi wiele więcej rzeczy, aniżeli myśli czeza filozofia popopolita!“

„Heroiczna rezygnacya naszych murzynów, męskość, która się w nich ukrywa, czułość serca tych osób bezimiennych, poświęcenie, posłuszeństwo i szacunek tych wrzekomych barbarzyńców, ożywionych, jako my, żądzą spełnienia szlachetnie obowiązku i dumą przewyciężenia wszystkich trudności,—wyższe są nad wszystkie pochwały...“

Temi słowami, przybijając prawie po trzech latach do zachodniego brzegu Afryki, dnia 28 listopada r. 1889, Stanley streścił owoce swej ostatniej wyprawy, zaznaczając powszechnie znaną czytelnikom jego dawniejszych opisów, silną wiarę w opatrność. Stanley jest mężem niepospolitego hartu, przykładnej wytrwałości, ścisłej konsekwencyi, dażącej zawsze wprost do celu, jest on ze swemi żelaznemi nerwami niejako Bismarckiem pomiędzy nowoczesnymi konkwistadorami afrykańskimi, i z tego względu obudzałby tylko podziw i zdumienie, gdyby właśnie owa głośno i zawsze wyznawana wiara w opatrność, nie łagodziła realizmu sławnego anglo-ameerykanina, zapewniając mu nietylko podziw, lecz także sympatyę powszechną.

Istotnie ostatnią wyprawą zasłużył sobie ze wszech miar na te uczucia. Zanim z zapowiedzianego już dokładnego opisu, ogół



downie się o wszystkich dramatycznych szczegółach tej nadzwyczajnej wyprawy, na podstawie ogłoszonych dotąd listów i innych źródeł, podajemy poniżej treściwy obraz jej celu i przebiegu.

## I.

Celem podjętej przy pomocy króla belgijskiego i kedywa w imieniu londyńskiego „Emin Pacha Relief Comitee“ wyprawy Stanleya było odszukanie odciętego od kilku lat od wszelkiej komunikacji z Egiptem, a zatem też z Europą gubernatora prowincyi równikowej Emina baszy, czyli dr. Schnitzera.

Z tych wszystkich paladynów, którzy się grupują obok niesłychanie wybitnej postaci Gordona, z których każdy łączy w sobie wodza z uczonym albo misyonarzem i, nominalnie w imieniu Kedywa, rzeczywiście zaś w imię cywilizacji europejskiej, osiada nad górnym Nilem, w końcu jeden Emin utrzymał się na swem stanowisku, i jeżeli go nie zabierze choroba, która go nawiedziła już w chwili, gdy miał opuszczać brzegi Afryki, on jeden z nich wszystkich powróci do Europy.

Dopiero w r. 1874 wojsko Kedywa Izmaïła, zwyciężywszy hordy sułtana darfuru, utorowała Egipcyanom, względnie wpływom europejskim drogę na południe wzdłuż zachodniego ramiona życiodajnej arteryi Egiptu, tak zwanego Białego Nilu, czyli Bahr-el-Aliad, który powstaje z połączenia się Bahr-el-dźebel i Bahr-el-Gazal (mniej więcej na  $9\frac{1}{2}$  stopnia półn. szer.) a pod Kartumem zlewa się z wschodniem, modrym Nilem (mniej więcej  $15\frac{1}{4}$  stopnia półn. szer). Właśnie wtedy, w roku 1873, Karol Gordon, ur. 1833 roku, od r. 1852 oficer armii angielskiej, ranny pod Sebastopolem, w roku 1860 wysłany do Chin, gdzie stanął na czele wojska chińskiego, które miało poskromić rokosz, następnie znowu oficer armii angielskiej, z rangą podpułkownika — wstąpił do służby egipskiej, w roku 1877 został mianowany gubernatorem Sudanu. Gdy w roku 1879 w skutek zatargów z rządem egipskim opuścił to stanowisko, w Sudanie niebawem nastąpi najgroźniejsze wypadki. Gordon przeniósł się ponownie do Chin, w roku 1882 przebywał jako misyonaryusz w Palestynie, w r. 1889 ponownie wysłany przez rząd angielski do Egiptu nie zdołał już naprawić nieszczęścia i dnia 26 stycznia r. 1885 ginie w Kartumie, zdobytym przez wojska Mahdiego.

Gordon jest najoryginalniejszym, najciekawszym i najszlachetniejszym prototypem tych konkwistadorów europejsko-egipskich, którzy z kolei zmarnieli w walce z odświeżonym fanatyzmem arabskim.

W r. bowiem 1881, generalny kontroler Sudanu Mohamed Achmed, wystąpił jako Mahdi, czyli obiecany mesyas, który speł-

ni dzieło Mahometa, niewiernych nawróci albo wytepi i sprowadzi równy podział dóbr, w r. 1883 zdobył stolicę Kordofanu El Obeid, 3 listopada zniszczył wojsko Hiksa baszy pod Kaszgil, i posuwając się nieustannie naprzód, 26 stycznia 1885 r. zdobył Kartum, gdzie dopiero od niedawna dowodził Gordon, który, gdyby nie był opuścił w r. 1879 Egiptu, byłyby może zdołał stłumić w zarodku rokosz Mahdiego. Wprawdzie, wkrótce po Gordonie umarł także Mahomed Achmed, ale miejsce jego zajął nowy prorok. Upadek Kartumu sprowadził także upadek innych osad egipsko-europejskich nad górnym Nilem i gubernatorów, mianowanych przez Gordona za pierwszej epoki swego pobytu w Egipcie.

Jednym z najstawniejszych, wojownik i geograf, był Włoch Gressi, urodzony r. 1829 w Rawennie, oficer austriacki, potem powstaniec w Wenecyi (1848), który w r. 1876 z polecenia Gordona zmierzył dokładnie Nil (Bahr-el-dżebel) od stacyi Dufile aż do źródła, to znaczy do jeziora Alberta. w r. 1880 został mianowany gubernatorem prowincyi Bahr-el-Gazal, a umarł 1 maja r. 1881 w Suez na febrę. Miejsce jego zajął Lupton (o którym poniżej).

Także Emin z woli Gordona został gubernatorem wysuniętej najdalej na południe prowincyi z stolicą Lado.

Emin czyli Schnitzer urodził się 28 marca 1840 r. w Opolu na Szląsku, z ojca kupca Ludwika Schnitzera, którego rodzice pono przenieśli się z Galicyi na Szląsk, z matki Pauliny z domu Schweitzer, która umarła w październiku r. z., właśnie gdy nadeszły wieści o wyswobodzeniu syna. Nauki gimnazyalne pobierał w Nisie, od r. 1858 studyował medycyny a zszczególném zamiłowaniem zoologii i ornitologii na wszechnicach wrocławskiej, królewieckiej i berlińskiej, gdzie w r. 1864 uzyskał stopień doktora medycyny.

W tymże roku wstąpił do służby tureckiej jako lekarz wojskowy i był kilka lat lekarzem portowym w Antiwari, gdzie oddawał się pilnie studyum botaniczném i orintologiczném. Że uczonym kołom nie znikł zupełnie z oczu, świadczy o tém fakt, iż w r. 1870 został mianowany członkiem korespondującym tutejszego stowarzyszenia ornitologicznego. W tymże roku przeniósł się do Skutari w Albanii, i w towarzystwie gubernatora Ismaila Kalli, odbył podróż do Syryi i Arabii. Nauczył się tymczasem języków francuskiego, angielskiego, włoskiego, kilku słowiańskich, tureckiego, arabskiego i perskiego i tak się przejął wschodniemi zwyczajami, że nie było prawie poznać po nim europejczyka. Po śmierci swego protektora Ismaila, który pod koniec r. 1874 umarł w Epirze, dr. Schnitzer w r. 1875 zwiedził po raz ostatni Europę (w ściślejszem znaczeniu wyrazu).

W roku następnym pod nazwą Emina efendego wstąpił jako lekarz do egipskiego wojska Gordona, był niebawem mianowany naczelnym lekarzem prowincyi równikowych i używany często do

missyi dyplomatycznych; wreszcie w r. 1878 otrzymał tytuł beya i urząd mudira, czyli gubernatora prowincyi równikowej.

Już jako lekarz naczelny r. 1876, wybrał się z Gordonem do jeziora Ukerewe (Wiktoryi) i zbadał jezioro Alberta, udał się do Rubagi, stolicy potężnego cesarza murzynów Mtesy, który panował na północnym brzegu Wiktoryi (porównaj Stanleya: „Przez ciemny kontynent“). W r. 1879, zwiedził nieznany przedtém zachodni brzeg jeziora Mwtan (Alberta) i t. d.,—słowem rozwinął czynność naukową na największą skalę.

Tymczasem nie zaspął także swych obowiązków administratora. Zapewniają, że wkrótce prowincya jego była najlepiej rządzoną w tych stronach, że się nawet zwiększała i że gubernator dbał sumiennie o dobro swych czarnych poddanych, strzegąc ich mianowicie od napaści arabskich handlarzy niewolnikami. Umiał także utrzymać w karbach posłuszeństwa urzędników i oficerów egipskich, co było rzeczą nie łatwą, zważywszy, że składali się oni po większej części z przestępców, wysłanych na karę w te odległe strefy równikowe.

Kiedy Mahdi rozpoczął swój pochód zwycięzki ku północy, Emin wprawdzie, ponieważ prowincya równikowa była Mahdiemu z drogi, nie doznał losu sąsiednich gubernatorów, ale po ich upadku, został odcięty od wszelkiej komunikacji z Egiptem. W styczniu r. 1884, ostatni parowiec egipski, wyprawiony na jesień poprzedniego roku z Bahr-el-Gazal, dotarł do Kartumu; odtąd ta droga została przeciętą przez wojska Mahdiego. Niebawem także ustała komunikacja z Zanzybarem. Albowiem następca zmarłego w r. 1884 Mtesy, cesarz Ugandy Mwanga, tudzież inni kacykowie plemion, zamieszkujących północne i wschodnie brzegi jeziora Wiktoryi, zajęli wobec europejczyków wrogie stanowisko.

Ciekawy przyczynek do dziejów upadku panowania egipsko-europejskiego w Sudanie, stanowią trzy listy Luptona, gubernatora prowincyi Bahr-el-Gazal, a więc zachodniego sąsiada Emina, do tegoż z kwietnia r. 1884.

„12 Kwietnia r. 1884. Drogi Eminiel! Wojska Mahdiego zbliżyły się na 6 mil. Dwóch derwiszów przybyło z żądaniem, abym im poddał zamek. Będę walczył do końca. Ustawiłem działa moje w forcie, i jeżeli zdobędą zamek (Mudireh czyli pałac gubernatora), wypędzę ich armatami. Jeżeli stracę bitwę, natychmiast wybiorę się do ciebie. Strzeż się więc i czuwaj. Może to ostatni list, który piszę do ciebie. Położenie moje jest rozpaczliwe. Znaczna część żołnierzy przeszła do nieprzyjaciela. Nazywają mnie teraz Abdullah. Zwycięzę, albo umrę. Bądź więc zdrow. Ukłony dla dr. Junkera. Gdyby parowiec dotarł do was, napiszcie do moich przyjaciół i doniescie im, że umieram bez wyrzutu. F. Lupton. Adres ich: 58 Leadenhall street lub High House, Blakheath London“.



„20 Kwietnia. Drogi Eminie beju! Większa część moich żołnierzy przeszła na stronę Mahdiego, zwłaszcza Nazir Bucho i Nazir Liffa ze swemi oddziałami, jako też mieszkańcy stacyi Guddja, gdzie są składy zboża rządowego. Jak to się skończy? Wysłałem Wazy Ullera do obozu Mahdiego, skoro powróci, napiszę do was. Nieprzyjaciel jest uzbrojony w karabiny Remingtona i liczy 4—5 kompanii regularnego wojska, tudzież 8 do 10.000 arabów z puszczy i kupców. Dokładniejsze szczegóły odkładam na później. Slatin (gubernator najdalej na zachód posuniętej prowincyi Darfuru) przysłał mi list, który nie zawiera nic nad słowa: „Posyłam ci nosiciela Hadzi Mustafa Kismillah“. Nazywa on się teraz emirem Abd'el Kader. Twój oddany F. Lupton“.

„25 Kwietnia. Kochany Eminie! Wszystko tu dla mnie skończone. Wszyscy moi żołnierze przeszli do Mahdiego, który pojutrze zajmie pałac. Nikt nie zdołał sobie wyobrazić, ile w tych ostatnich dniach wycierpiałem. Jestem opuszczony od wszystkich. Goniec ci to opowie. Dowiedziałem się, że nigdy wojsko nie doznało porażki tak strasznej jak Hiks. Z 16.000 żołnierzy pozostało tylko 52, a ci wszyscy są ranni. Co do was, miej się na baczności, 8 do 10.000 dobrze uzbrojonych żołnierzy pomszczą się na tobie. W nadziei, że się kiedyś zobaczymy, twój oddany F. Lupton“.

Przypuszczenie jednak Luptona co do zamiarów Mahdiego, nie ziściło się. Wojska bowiem proroka wyruszyły nie w południowym, lecz w północnym kierunku—do Kartumu.

Zdaje się w ogóle, że dopiero w jesieni r. 1888, już po nadejściu Stanleya i po rokoszu wojskowym przeciwko Eminowi, wojska Mahdiego zabrały się stanowczo do zdobycia prowincyi równikowej. Wódz nowego proroka, Omar Saleh: zbliżając się do Lado, północnej stacyi Emina, który już dawniej rezydencją swą przeniósł więcej na południe do Wadelai, na wyspie Nilu, wysłał do Emina list, który zawiera także kilka ważnych szczegółów, dotyczących się Mahdismu. Generał przemawia w imienniu „najpotężniejszego Mahumed-el-Mahdi, syna Abdulli“, przypomina jego świetne zwycięstwa, bo „któżby się zdołał oprzeć wojownikom, którzy wiedzą, że ponosząc śmierć, składają Bogu ofiarę, a zwyciężając, czynią to w imię Boga?“ Omar dodaje, że o Eminie słyszał wiele dobrego, że „umie słuchać dobrych rad i jest rozumnym“, i zapewnia go łaski Mahdiego. Wyliczywszy zwycięstwa Mahdiego, podnosi porażkę baszy Hiksa, „męża sławnego, który miał przy sobie generalnego gubernatora Sudanu Al-ed-dina, liczne wojsko i działa Kruppa“. W godzinę całe wojsko Hiksa było zniszczone, i wszystkie fortece egipskie aż do Kartumu dostały się pod władzę proroka. Następnie wylicza oficerów, którzy polegli z Gordonem w Kartumie, lub dostali się do niewoli, zastępca Gordona basza Stewart i kilku uwięzionych konsulów umarli w Wady-Kama. Były

gubernator Darfuru Slatin, gubernator Bahr-el-Gazal Lupton, gubernator Kordofanu Ibrahim, tudzież inni więźniowie Mahdiego są zdrowi.

Oto, jakoby epilog krwawych zapasów w Sudanie. Z sławnych 7 paladynów <sup>\*)</sup>. wszyscy polegli, albo dostali się do niewoli derwiszów — wyjąwszy jednego Emina, gubernatora prowincyi równikowej.

Do stolicy jego Wadelai niebawem zawitali dwaj exploratorowie, odcięci także od Egiptu ruchem Mahdiego, dr. Junker i kapitan Casati.

Urodzony r. 1840 w Moskwie Wilhelm Junker studyował medycyny w Berlinie i Getyndze, zwiedził Islandyę, potem wyruszył 1876 z Suakinu, odbył naukową podróż po modrym Nilu. W r. 1879 podjął się nową wyprawę, na której zbadał rzekę Nepoko, domyślając się słusznie, że wpada ona do Aruwimi. Wracającego w r. 1883 zaskoczyła wieść o powstaniu Mahdiego. Udał się zatem w styczniu r. 1884 do Emina do Wadelai. Tam spędził dwa lata; dopiero w styczniu r. 1886 wyruszył do Zanzbaru, dokąd dotarł w grudniu, pokonawszy szczęśliwie ciężkie niebezpieczeństwa, grożące od wrogich kacyków na brzegach jeziora Wiktoryi, na wiosnę r. 1887 przybył do Europy i opisami swemi przyczynił się nie mało do poparcia usiłowań, zmierzających do przesłania Eminowi posiłków, broni i t. d., względnie ułatwienia mu odwrotu.

W podobny sposób dostał się do Emina Gaetano Casati. Urodzony w Maji w Włoszech, dosłużył się rangi kapitana w strzelcach, wreszcie zachorował na tę modną, jak influencya febrę afrykańską. W r. 1879 stanął na czele ekspedycyi, która miała odszukać wymienionego powyżej baszę Gessiego, gubernatora prowincyi Bahr-el-Gazal. Przybywszy do stolicy gubernatera Wan, odbył kilka podróży na zachód, zwłaszcza do kraju Niam-Niam i Mambutów (Wambuci Stanleya?), połączywszy się w r. 1882 z Junkerem, odkrył liczne przypyły rzeki Uelle, która wpada do Kongo, i dotarł aż do Itimbiri. Właśnie, gdy w r. 1883 zamierzał posunąć się dalej, dowiedział się o powstaniu Mahdiego i schronił się z Junkerem do Wadelai. Tutaj mąż czynny, odważny i wytrwały oddał wielkie przysługi Eminowi, u którego wytrwał także po odjeździe Junkera i który wielce polegał na jego radach.

Dzienniki włoskie ogłosiły niedawno list Casati'ego, datowany z Tunguru nad jeziorem Alberta 25 marca r. 1888, w którym donosi o zapowiedzianem przybyciu Stanleya. Dalej opisuje swe zatargi z kacykiem Kabaregą, hersztem rozbójników czarnych, nad którym czuwał z polecenia Emina. Kabarega zapłonął nienawiścią

\*) Gordon, Gessi, Hicks, Baker, Slatin, Lupton, Emin.



do Casati'ego z powodu jego związków z cesarstwem Ugandą. Dnia 9 stycznia r. 1888 z nakazu Kabregi, Casati był schwytany, związany powrozami i odwleczony do kacyka Kokora nad jeziorem Wiktorji. Kokoro otrzymał rozkaz ścięcia białego podróżnika. Przez tydzień Casati był trzymany w ścisłym więzieniu, 3 dni bez wszelkiej strawy. Kupiec włoski Riri, który towarzyszył Casatemu, nie mogąc znieść dłużej tych męczarni, popełnił samobójstwo. Wszystkie notatki, karty, zbiory Casatego, zostały zniszczone. Złożoną w Unjoro kość słoniową, (która w tych strefach jako pieniądz zastępuje złoto nasze), zrabowano. Na szczęście Casati za pośrednictwem gońca, który czółnem dotarł do Tunguru, zdołał uprzędzić Emina, który przybył parowcem jeszcze w sam czas, aby oswozić dzielnego kapitana!

W obradach, które po nadejściu Stanleya odbywały się w Kwalli, nad jeziorem Alberta, a miały na celu skłonić Emina do opuszczenia prowincji równikowej, kapitan Casati utwierdzał gubernatora w zamiarze wytrwania (o czém poniżej) i dla tego też nie cieszy się łaską Stanleya.

Jeżeli autentycznym jest list Stanleya, wysłany 31 sierpnia r. 1889 z Msalali do p. Wintona, <sup>1)</sup> wódz ekspedycji „Emin Pacha Relief Comitee“ dowiedział się od Jephsona, że „od blisko 5 lat Emin nie miał ani prowincyi, ani rządu, ani żołnierzy i jeżeli niektórzy słuchali go, to jedynie przez grzeczność i z braku pretekstu do wypowiedzenia mu posłuszeństwa. Skoro zaś, powodowany odżywanym optymizmem śmiał się pokazać żołnierzom, był natychmiast obrażany, znieważany i uwięzionym“.

Z świadectw Casatego, Junkera, Emina samego, dowiemy się z czasem, ile w tém ponurym obrazie jest prawdy? Tymczasem zaznaczamy, że Jephson dostał się do Emina w maju r. 1888. W kilka miesięcy potem wybuchł rokosz wojskowy przeciwko gubernatorowi, ale pono głównie dla tego, ponieważ Egipcyanie nie dowierzali wysłańcowi Stanleya, zwłaszcza nie mogli pojąć, aby do Egiptu, z kąd przybyli Nilem od północy, można się dostać, wy-

---

<sup>1)</sup> Zastrzeżenie konieczne wobec niesumienności niektórych dzienników, które, aby bawić czytelników, ogłaszały zmyślane listy Stanleya, Emina i t. d. Tak np. pewien dziennik wiedeński w wrzeczomej depeszy londyńskiej ogłosił w listopadzie szczegółowy opis oblężenia Dufle przez mahdistów, przy czém chorego Emina jako wodza zastępowała bohaterka córka Ferida, i t. d., w innej depeszy znowu zapewniał, że Emin w północnym kierunku dotarł, aż do Wadi Halfa, nad drugim Kataraktem, przeszło 20 stopni geograficznych na północ od Wadelaif. To też w niniejszej pracy uwzględniliśmy tylko te listy Stanleya, które tak ze względu adresata (komitet londyński), jako też z innych względów, mają wyraźną cechę autentyczności.

ruszając w kierunku południowym, t. j. przez jezioro Alberta, Wiktorji i t. d. Nadto jeszcze rozeszła się wieść, że Stanley nie tylko nie ma żadnego zlecenia od Khedywa, lecz zamierza wszystkich Egipcyan „sprzedać w niewolę“. Dopiero więc wskutek podobnych podszeptów, wybuchł rokosz, który wprawdzie mógł Jephsona pobudzić do pesymistycznego sądu, ale jednak nie znosi faktu, że od r. 1878-go a zatem od 10 lat, Emin, utrzymał się na stanowisku gubernatora. Oczywiście na zarząd w tych odległych prowincjach nie wolno zapatrywać się ze stanowiska funkcyonującej z dokładnością i regularnością maszyny administracji europejskiej; tam władza i gubernatorstwo zasadza się na zajęciu kilku najważniejszych punktów czyli stacyi i wymuszaniu najniezbędniejszych podatków, co najwięcej na zakładaniu fabryk i bronienia tubylców od łowców na niewolników. Otóż niewątpliwie na takie rozmiary Emin, aż do rokoszu wojskowego w sierpniu r. 1888-ym dzierżył władzę gubernatora. To też Emin, bądź, że jako człowiek „sentymentalny“, jak go nazwał Jephson, jest optymistą, bądź, że istotnie pomimo rokoszu wojskowego i napadu wojsk Mahdiego położenie jego nie było rozpaczliwe, bądź wreszcie, że, jak zauważył Stanley, cierpiał na ową „febrę afrykańską“, która nawiedza wszystkich Europejczyków, skoro dotkną się ziemi środkowo-afrykańskiej — właściwie pragnął tylko przywrócenia komunikacyi z Europą, może także posiłków, ale nie miał zamiaru opuszczać swęj gubernii.

W takim duchu odzywał się przed Junkerem i tak też w liście do d-ra Felkina w Edynburgu z 17-go kwietnia r. 1887-go, oświadczył, że nie myśli zaniechać swego cywilizacyjnego dzieła w Afryce, lecz pomimo ciągłych napaści ościennych plemion, pragnie wytrwać na swém stanowisku.

Wszystko to świadczy, że położenie Emina nie było tak rozpaczliwem i niepewnem, jak to przedstawia adjutant Stanley'a p. Jephson, i tłumaczy, dla czego w obozie w Kawalli potrzeba było tak długich namów i przedstawień, aby go wreszcie skłonić do wymarszu.

Na odwrót, nie można czynić Stanley'owi żadnego zarzutu, że namawiał Emina do opuszczenia prowincyi równikowej. Że odprowadził go do zbawczego brzegu, to nie mogło zwiększyć sławy wodza „Emin Pacha Relief Comitee“. Świeża zława jego polega na tem, że pierwszy od zachodniej strony, od Konga, dotarł do źródeł Nilu, że przewyciężywszy niesłychane trudności dwa, względnie trzy razy zawitał nad jezioro Alberta, spotkał się z Eminem, mógł mu oddać listy i posyłki — słowem, dokonał, o co przed nim i równocześnie inni, jak prof. Lenz, d-r Peters, daremnie się kusili. Reszta, t. j. czy Emin powróci z nim do brzegu lub nie? to nie mogło w niczem podnieść zasługi i sławy Stanleya. Owszem mając tak bystry, musiał przewidzieć, że uprowadzając Emina narazi się



nowe wyrzuty, gdy zaopatrzywszy go w posiłki i wzmocniwszy na stanowisku gubernatora prowincyi równikowej, zapewniał sobie jeszcze więcej rozgłosu.

Jeżeli pomimo tego tak usilnie namawiał Eminą do powrotu, czynił to oczywiście z głębokiego przekonania, że zagrożony napaścią wojsk Mahdiego, tudzież niesfornością załogi egipskiej, żadną miarą nie zdoła się utrzymać na swém stanowisku. Może Emin sam i Casati, trafniej oceniali położenie, niż świeżo przybyli w te strefy Stanley, uprzedzony raportami Jephsona. Bądź jak bądź, co robił, to robił szczerze, z przekonania, stosownie do tego, co mu powiadał jego rozum, a gdyby Emin potrzebował uniewinnienia, że się wreszcie zdecydował do odwrotu, zdanie męża tak odważnego a dzielnego, jak Stanley, który ten odwrót uznał jako konieczny, całkiem go usprawiedliwia.

Nasuwa się jeszcze pytanie, czy i o ile wytrwanie Emina w prowincyi równikowej mogło być pożądanem ze względów politycznych i cywilizacyjnych? Odcięta hordami Mahdiego od Egiptu prowincya Emina ani dla Egiptu, ani dla Anglii nie miała interesu politycznego. Khedyw też przez 4 lata od upadku Kartumu ani razu nie pomyślał o przesłaniu Eminowi posiłków, nadał mu tylko tytuł baszy a „Emin Pacha Relief-Comitee“ wsparł 10,000 funtami szterlingów. Cywilizacyjnej też misyi w danych warunkach, jakie się wyrobiły w ostatnich latach, zagrożony nieustannie napadami wojsk mahdistów, Emin na szerszą skalę spełnić nie mógł. Ku temu trzeba większych środków, przynajmniej takich, jakimi można było rozporządzać w Lado lub Wadelai, dopóki żegluga parowa na Nilu nie została przerwana.

Być może, iż najkrótsza, od Kongo do jeziora Alberta droga, odkryta przez Stanleya, na ostatniej wyprawie, z czasem wielce ułatwi komunikację z prowincją równikową i stanie się głównym szlakiem prądów cywilizacyjnych. Ku temu jednak potrzeba kilka lat, założenia stacyi nad Aruwimi, urzędzenia żeglugi parowej, jak na Kongo, poskromienia dzikich tubylców, którzy wprawdzie w teoryi stali się poddanymi wolnego państwa Kongo, ale o tem sami jeszcze nic nie wiedzą. Trudno zaś przypuścić, aby Emin był się jeszcze kilka lat utrzymał na swem gubernatorstwie.

Z jakiegokolwiek więc punktu widzenia, zapatrujemy się na tę kwestję, zawsze dochodzimy do wniosku, że wprawdzie Emin okazał się mężem szlachetnym, gdy się długo wzbraniał opuścić swe stanowisko, że jednak Stanley słusznie naglił do odwrotu.

## II.

Wyjechawszy 26 stycznia r. 1887 z Anglii. 29 Stanley przybył do Kairo, gdzie od Khedywa otrzymał listy dla Emina i spotkał się zwracającym od źródeł Nilu d-rem Junkerem, dnia 3 lutego wyje-

chał do Zancybaru, głównej stacyi wszystkich swych wypraw afrykańskich. Tu ułożył się z znanym z dawniejszych jego wycieczek możliwym kupcem arabskim Tibbo-Tibem, który już nieraz był mu wielką pomocą. Tibbo-Tib miał osiąść w stacyi Stanley-Falls nad rzeką Kongo i tam stanowić niejako tylną straż ekspedycyi. Zebrawszy tymczasem oddział 9 Europejczyków, pomiędzy którymi najwybitniejsi: Bartelot, Nelson, Jephson, Stairs, dr. Parke, tudzież 737 murzynów wśród których znajdowało się kilkudziesięciu dawnych towarzyszy Stanleya przy odkryciu biegu Kongo w r. 1877, a potem przy zakładaniu stacyi nad tą rzeką w latach 1879—1884, dnia 24 lutego wyjechał z Zancybaru parowcem i okrążywszy południową Afrykę, 18 marca dotarł do ujścia rzeki Kongo do Atlantyku. Dzięki energii i zabiegłości rezydującego w Brukseli rządu wolnego państwa Kongo, rzeka ta jest zabezpieczona łańcuchem stacyi, czyli fortów to też odpocząwszy kilka dni w Leopoldville oddział Stanleya na czterech parowcach i kilkunastu wielkich czólnach dnia 28 maja dotarł do miejsca, gdzie płynący od wschodu Aruwimi wpada do Kongo, mniej więcej stopień geograficzny na północ od równika <sup>1)</sup>. Postępując następnie nad Aruwimim na wschód, Stanley założył w osadzie Jambudze obóz, w którym pozostawił majora Edmunda Bartelota z załogą 257 ludzi, którzy mieli tworzyć tylną straż i przechować zabrane dla Emina towary, broń i t. d. Tibbo-Tib tymczasem na rzece Kongo popłynął do stacyi Stanley-Falls ale, jak się zdaje, tym razem nie spełnił nadziei Stanleya.

Dnia 28 czerwca Stanley w 388 żołnierzy i nosicieli wyruszył z Jambugi na wschód i odtąd... jakby przepadł w pomroku ciemnego kontynentu. Przez kilkanaście miesięcy nie było o nim autentycznej wieści, co tem bardziej ułatwiało rozszerzanie najśmielszych wymysłów o losie sławnego konkwistadora. Dopiero 21 grudnia 1888 r. przez stacyą Stanley-Falls i Zancybar dotarła do Europy wiadomość, że Stanley dokonał szczęśliwie przeprawy do jeziora Alberta, spotkał się tam z Eminem, powrócił po swą tylną straż i wybiera się ponownie do Emina. W kwietniu r. 1889 nadeszły wreszcie własnoręczne listy Stanleya, zawierające wzruszający opis tej pierwszej jego przeprawy.

Opuściwszy osadę Jambugę oddział Stanley 160 dni maszerował przez ogromne lasy. „W Anglii, — oświadcza Stanley w liście do zięcia Liwingstona p. A. L. Bruce, — podobną przestrzeń jak ta, którą, pokrywa las pomiędzy rzeką Kongo a stepami przy jeziorze Alberta, byłbym przebył w dwóch tygodniach. Ale możesz sobie wyobrazić, jakie uczucia owładnęły nami, gdy miesiąc po miesiącu

<sup>1)</sup> Porówn. Wydaną nakładem Justusa Perthesa kartę „Emin Pascha und Stanley in Central Afrika 1889 r. d-ra R. Ludecko, Gotha 1889 r.



byliśmy zmuszeni przerąbywać się przez potworne gęstwiny. Dopiero po 160 dniach wydobyliśmy się z ciemności. Raz byliśmy wszyscy bliscy zgonu. Wrzesień, październik i pierwsza część listopada r. 1887 pozostawia niezatarte ślady w mojej pamięci. Wyobraź sobie ogrom trudności i najszczelniejszą gęstwinę, osłoniętą cieniem 100 do 180 stóp wysokich drzew, pełną krzew i kolcy, szerokie bagna, niekiedy głęboką rzekę. Wyobraź sobie las ten i gęstwinę w wszystkich stadyach zgnilizny, mech rojący się od owadów wszelkiego rodzaju, koloru i wielkości na drzewach małpy, dziwaczne głowy zwierząt z bliska i z daleka, w zasadce karły z zatrutymi strzałami, i silni tubylcy z strasznie ostrymi dziadami; codziennie deszcz i mokre sprowadzające febrę i dysenterję powietrze; nigdy nie rozjaśniony słońcem cień za dnia, a zupełną ciemność w nocy; zbierz to wszystko razem, a może wyobrazisz sobie trudności, jakie musieliśmy przezwyciężyć pomiędzy 28 czerwca do 5 grudnia 1887 r. Najgorszymi były karły, zwane Wambutti; także zwierzęta są tu tak dzikie i nieprzystępne, że polowanie nie sprawia rozrywki“.

Ogromne te lasy, których przestrzeń Stanley oblicza na 266,000 angielskich mil kwadratowych, rozpościerają się wzdłuż prawego brzegu rzeki Kongo od Nyangwy aż na północ rzeki Aruwimi, w szerz zaś od Kongo na wschód pomiędzy 29-tym a 40-tym stopniem wschodniej długości.

Śród tego lasu, oddział Stanleya postępował z Jambugi na wschód na południowym brzegu rzeki Aruwimi. Już drugiego dnia, za zbliżeniem się karawany, tubylcy podpalają swe siola i z pod dymu napadają na tiraljerów Stanleya. Przez 5 dni następnych karawana przebywa niezmiernie zaludnione wsie, których mieszkańcy utrudniają ile możności przeprawę. Aż do 15 października Stanley maszeruje na południowym (lewym) brzegu Aruwimi; 24-go dnia po wyjściu z Jambugi, dwóch ludzi karawany uchodzi; przez cały miesiąc lipiec zatrzymuje się tylko cztery razy. Dnia 1 sierpnia umiera jeden z ludzi na dysenterję. Dotąd więc przeprawa odbywała się śród warunków pomyślnych.

Odtąd jednak w gęszczy lasów cierpienia zwiększają się, liczba chorych i umierających wzrasta. Chorych Stanley w pirogach wiezie rzeką i nieustannie postępuje naprzód. Dnia 13 sierpnia trzeba stoczyć krwawą walkę z mieszkańcami osady Avi-Sibba. Tu od zatrutych strzał ginie 5 ludzi, a porucznik Stairs, ciężko ranny w pierś, przez cały miesiąc znosi najsrozsze bóleści. Dnia 15 sierpnia p. Jephson, dowódzca oddziału, postępującego nad brzegiem rzeki, zablakał się i dopiero 21-go złączył się z Stanleyem, który 25 sierpnia dociera do osady Ave-Jeli, gdzie Nepoko wpada do Aruwimi. Dnia 31 sierpnia ekspedycja napotyka na karawanę arabów Ugarowy, która 26 murzynów Stanleya skłania do dezercyi. Dnia 14 września przybywa do osady tegoż Ugarowy, byłego to-

warzystwa exploatora angielskiego Spekego. Arabowie, jak zwykle, spustoszyli okolice, nie dostaje żywności. Stanley przeto powierza Ugarowi 56 chorych Somalów i Sudańczyków, płacąc za ich utrzymanie 5 dolarów od głowy na miesiąc, i wyrusza dalej na wschód. W miesiąc później przybywa do obozu Kilonga Longi, Zancybaryty i niewolnika znanego z dawniejszych podróży Stanleya Araba Abed-ben-Salima. Ten październik najsrożej się zapisał w dziejach ekspedycji. Opuszczając osadę Ugarowy karawana Stanleya liczyła już tylko 213 osób. Żywność stanowiły dzikie owoce, grzyby i orzechy. Niewolnicy arabów przyczynili się do zwiększenia kłopotów ekspedycji, kupując od ludzi Stanleya broń, proch i odzienie, tak że opuszczając osadę Ugarowy, ekspedycja była całkiem wycieńczona. Trzeba było zostawić czółno stalowe (składane) i 70 paczek towaru, które w obozie Kilongi Longi pozostały pod strażą chorego kapitana Nelsona i d-ra Parkego. Przeprowadzając się przez Aruwimi, czyli, jak się nazywa w tych stronach, Ituri, karawana odtąd postępowała po prawym, północnym brzegu.

Wreszcie 12-go listopada w osadzie Iwbiri, dokąd z 388 ludzi, z którymi Stanley w czerwcu był wyruszył z Jambugi, dotarło już tylko 174, ekspedycja natrafia na obfitą żywność, odpoczywa 13 dni, i o pokrzepionych siłach, 29-go listopada wyrusza w dalszą drogę. Jeszcze 126 kilometrów dzieliło ją od jeziora. Dopiero 5 grudnia karawana wydobywa się z ciemnego lasu na słoneczną równinę. „Po 160 dniach ciągłej ciemności widzimy wreszcie słońce, oświetlające krajobraz, który się rozwija przed nami. Nigdy trawa nie wydawała się nam równie zieloną, krajobraz równie uśmiechnięty! Ludzie moi ryczą i podskakują z radości, zapominając o ciężarach, jakie noszą, rozpoczynają szalone tańce. Czuję w sobie uczucie entuzjasmu, nierozdzielnego od wszelkiego sukcesu. Biada tubylcowi, któryby nas był zaczepił. Ożywieni tym samym duchem, co ja, ludzie moi byliby się rzucili na niego jak wilki na jagnięta. Tylko wieczna noc z tych biednych ludzi zrobiła te istoty nędzne, traktowane brutalnie, przez niewolników Kilongi Longi!”

Dnia 9 grudnia Stanley przybywa do kraju potężnego Kacyka Mozamboni, na samej wschodniej granicy wolnego państwa Kongo (tworzy ją tutaj, na północ od równika, 30 stopień długości). Siola tu tak liczne, że niema innej drogi, jak pomiędzy chatami lub przez otaczające je pola. Trzeba było stoczyć krwawą walkę z tłumami tubylców. Dnia 13 grudnia o 1-szej godzinie w południe karawana, zaczepiana ciągle przez oddziały tubylców, wyrusza w dalszą drogę na wschód. W kwadrans potem Stanley odzywa się do swoich towarzyszy: „Przygotujcie się ujrzeć fale jeziora!” Odpowiadają mrużąc: „Dla czego Pan mówi nam nieustannie o jeziorze! czyliż nie znajdujemy się na równinie i czyż nie widzimy gór o 4 marsze dzienne przed nami!”



„O pół do drugiej jezioro Alberta (albo Mwutan Nsige) rozpościera się u nóg naszych. Teraz przyszedł na mnie kolej szydzić z sceptyków. Ale w chwili, gdy chciałem zapytać, co to widzą przed sobą, wszyscy rzucili się do mnie, aby mi całować ręce i przepraszać. To była nagroda moja“—dodaje Stanley. Wzgórze, z którego karawana ujrziała jezioro, było wyniesione 1,550 metrów nad powierzchnią wody. Postępując dalej w kierunku wschodnio-południowym, dnia 15-go grudnia 1887 karawana dotarła do Kawalli, na południowo-zachodnim brzegu jeziora Alberta. Przeprawa z Jambuży do jeziora trwała więc 5½ miesiąca.

Wysławszy w lutym 1887-ym r. z Zancybaru gońców do Emina, Stanley spodziewał się, że zastanie w Kawalli albo samego gubernatora, albo wysłańców jego. Atoli w Kawalli nie było żadnej wieści o Eminie. Dostać się do niego łądem, na zachodnim brzegu jeziora, z powodu wojowniczych i dzikich plemion, zamieszkujących te strony, jako też bardzo już nielicznego oddziału, jakim rozporządzał Stanley, było niepodobieństwem. Postanawia więc powrócić po czołno. zostawione w osadzie Kilongi Longi.

Powziąć zamiar a wykonać go, to dla sławnego anglo-amerykanina jest tém samym. A zatem 16-go grudnia rozpoczyna się odwrót, 7 stycznia 1888 karawana staje w Ibwiri, gdzie Stanley zakłada obwarowany obóz Bodo. Tymczasem porucznik Stairs z 100 ludźmi udał się do osady Kilongi Longi, aby sprowadzić kapitana Nelsona, d-ra Parkego, czołno i załogę, z której pozostało tylko 11 żołnierzy. Ciężka febra gastryczna i wrzód na ramieniu powaliły Stanleya na łożo. Dopiero po miesiącu, dzięki staraniom d-ra Parkego odzyskał zdrowie i 2 kwietnia ponownie wyruszył w drogę do jeziora, wysławszy Stairse po ludzi, pozostawionych w osadzie Ugarowy, a zamianowawszy kapitana Nelsona dowódcą fortu Bodo z załogą 43 ludzi. Dnia 29 kwietnia, wysławszy poprzednio Jephsona na czołnie do stacyi Emina Msua na północno-zachodnim brzegu jeziora, Stanley przybył do Kawalli, gdzie tegoż dnia wieczorem stanęli Emin, kapitan Casati i Jephson.

Pierwsza część zadania, spotkanie się z Eminem, była więc spełniona. Trudniej było z drugą, uprowadzeniem gubernatora z nader zagrożonej ziemi w prowincyi równikowej. W owej chwili Emin miał pod swemi rozkazami dwa bataliony regularnego wojska egipskiego. Pierwszy, liczący około 750 karabinierów, zajmował stacyę Dufilé, Labore, Redjaw it.d. ku północy; drugi, liczący 640 żołnierzy, stacyę Wadelai, Fatiko, Mahagi, Msua nad jeziorem Alberta. Stacye te tworzyły łańcuch długości około 330 kilometrów od jeziora wzdłuż Nilu. Nadto gubernator miał jeszcze wojsko nieregularne, majtków, rzemieślników, mnóstwo sług, razem z kobietami i dziećmi około 8,000 osób, które pragnął zabrać ze sobą, gdyby się zdecydował opuścić swe stanowisko.

— Gdybym był na twojem miejscu, zauważył Stanley, nie wahałbym się ani chwili.

— Prawda, odpowiadał Emin; ale zważ znaczną liczbę dzieci i kobiet. Jakim sposobem tych wszystkich przeprawić? Będzie nam potrzeba bardzo wielu nosicieli.

— Na co nosiciele?

— Dla kobiet i dzieci. Nie mogę ich opuścić, a niepodobna, aby odbyły podłóż pieszo.

— Kobiety, mówił Stanley, powinny iść pieszo, to im wyjdzie na dobre; co do małych dzieci, wsadzisz je na osły, których masz pono 200. W pierwszym miesiącu pójdziemy zwolna, potem przywykną do tego. Na mojej drugiej podróży kobiety z Zancybaru maszerowały przez całą Afrykę. Dla czegoż twoje murzynki nie miałyby uczynić tego? Nie obawiaj się niczego, wywiążą się lepiej z zadania swego niż mężczyźni.

— Będzie nam jednak potrzeba dużo żywności na drogę, wtrącał Emin.

— Prawda, ależ posiadasz kilka tysięcy rogacizny, które dostarczą świeżego mięsa. Okolice, któremi się przeprawimy, dostarczą nam jarzyny i zboża.

— Pomówiemy o tem jutro.

W dalszych rozmowach Emin oświadczył: „Może istotnie będzie lepiej wydalic się! Egipcyanie wszyscy gotowi wyruszyć; będzie ich około 200 bez kobiet i dzieci. Choćbym nawet pozostał tutaj, chętnie bym się ich pozbył, bo wszelkie ich usiłowania zmierzają do tego, aby osłabić moją władzę i odciąć mi odwrót. Kiedy im obwieściłem upadek Kartumu i śmierć Gordona, dowodzili nubijczykom, że to bajka i że dnia pewnego parowce przybędą z północy Nilem!“

Emin nie był też wcale pewnym dwóch bataljonów regularnego wojska. „Przywykli tu do życia wolnego i szczęśliwego, oburzają się na myśl opuszczenia stref, gdzie życie jest o wiele przyjemniejsze, niż w ich własnym kraju. Niektórzy z nich posiadają haremy. Przypuścimy, że nie zechcą towarzyszyć mi, wtedy moje położenie będzie bardzo trudnem. Czyżby to z mojej strony było ludzkim, gdybym ich opuścił? Znaczyloby to narazić ich na śmierć pewną. Byłbym zmuszony pozostawić im broń i amunicję, karność upadnie utworzą się stronnictwa, wywiąże się krwawa walka, rzeź kompletna“.

— Przypuściwszy, wtrącał Stanley, że postanowisz pozostać tutaj, co zamierzasz uczynić z Egipcyanami?

— Poproszę cię, abys ich zabrał ze sobą.

— Teraz gubernatorze, bądź łaskaw zapytać kapitana Casatego, czy będę miał przyjemność towarzystwa jego w podróży do brzegu, bo byłem proszony dopomódz mu, gdybym go spotkał?

Kapitan Casati odpowiedział za pośrednictwem Emina:



— Zachowanie się gubernatora będzie dla mnie normą; jeżeli zostanie, i ja zostanę, jeżeli odejdzie, i ja odejdę.

— Widzę gubernatorze, wtrącił Stanley, że jeżeli pozostaniesz, odpowiedzialność twoja będzie bardzo wielką, — na co kaptan Casati odparł:

— Przepraszam, zwalnim gubernatora z wszelkiej odpowiedzialności, radzę się tylko mój własnej woli.

Narady te pomiędzy Stanleyem, zalecającem odwrót, a Eminem, wahającym się, trwały nad jeziorem Alberta aż do 25 maja (1888 r.) Tegoż dnia, pozostawiwszy u Emina swego pełnomocnika Jephsona i otrzymawszy od gubernatora 102 nosicielei tudzież trzech żołnierzy, Stanley opuścił brzeg jeziora, aby sięgnąć tylną straż, pozostawioną pod dowództwem majora Bartelota w Jambudze.

W dwa tygodnie potem stanął w forcie Bodo, który się rozwijał pomyślnie. Dnia 16 czerwca udał się w dalszą drogę, 24 czerwca przybył do osady Kilongi Longi, 19 lipca do opuszczonej osady Ugarowy, wreszcie 17 sierpnia napotkał na resztki tylnej straży w Bonalyi nad Aruwimim o 100 kilometrów na wschód od Jambugi. W bramie palisady stał mąż biały, dr. Bonny.

— A, kochany Bonny, gdzie jest major? zapytał Stanley.

— Zginął Panie, zabity przed miesiącem przez plemię Maniema.

— Wielki Boże! a p. Jamieson?

— Udał się do Stanley-Falls, aby zażądać ludzi od Tibbo-Tiba.

— A p. Trupp?

— Powrócił do Europy, chory.

— Gdzie jest Ward?

— W Pangali.

— A zatem jesteś tutaj sam?

— Tak panie.

Z 257 ludzi, pozostawionych w Jambudze pod dowództwem majora Bartelota, pozostawało 71, z których tylko 52 zdawało się być zdolnymi do służby.

Według planu Stanleya, major Bartelot miał czekać w Jambudze na resztę towarów i amunicyi, które powinny były przybyć z Stanley-Pool, następnie, pozostawiwszy załogę w obozie, udać się w drogę na wschód, postępując szlakiem, utworowanym oddziałem Stanleya. Otóż od chwili, kiedy Stanley opuścił Jambugę, zaplanowało tam zamieszanie, sprowadzające dezercye, śmierć i wszelkie katastrofy. Przednia straż pod dowództwem Stanleya, pomimo nieprzyjazni tubylców, z Jambugi do Banalyi przeprowiła się w ciągu 16 dni. Oddział majora Bartelota dokonał tej samej przeprawy w ciągu 43 dni. Gdy wreszcie do Bonalyi przybiegli deserterzy przedniej straży, rozgłaszając, że Stanley zginął, choć nie

przynieśli ze sobą żadnych dowodów, w obozie majora Bartelota powstał popłoch, który spowodował katastrofę.

Wysławszy z obozu w Bonalyi 18-go sierpnia owe listy, które za pośrednictwem Tibbo-Tiba dostały się przez Zancybar do Europy i w grudniu r. 1888 przyniosły nam pierwszą autentyczną wiadomość o losach Stanleya, dnia 1-go września ponownie udał się w drogę na wschód. Przeprowa ta była jeszcze trudniejszą, niż poprzednie. Z 102 ludzi oddziału Stanleya zaledwo 50-ciu było zdolnych maszerować, a ci musieli staczać nieustannie walki z dzikimi plemionami. W pobliżu osady Ugarowy, Stanley opuścił czołna a wiedząc z dawniejszych przeprow, jak niebezpieczną jest podróż na błotnym brzegu rzeki Ituri, przeprowił się przez nią i nową, krótszą drogą zdązał do fortu Bodo Ituri bowiem od fortu tego zbacza w południowo-zachodnim kierunku i dopiero od osady Kilongi-Longi znowu zwraca się w kierunku północno-zachodnim, tak że najkrótsza droga z fortu Bodo do osady Ugarowy tworzy prostą linię, czyli podstawę trójkąta. którego dwa drugie boki tworzą linie od fortu Bodo do osady Kilonga Longi i od tej do osady Ugarowy, (zob. kartę, wymienioną powyżej).

Atoli choć krótsza, nowa droga, którą ruszył Stanley, nie była wygodniejszą. Dnia 30-go paźdz. 1888 r. karawana opuściła osadę Ugarowy na północnym brzegu Ituri. W dwa dni potem dotarła do bogatej osady, gdzie zaopatrzyła się w żywność na tydzień, atoli murzyni natyclmiast rozszarpali zapasy, narazając się później na straszny głód. Przez 10 dni nie napotkano na nową osadę. Głód i ospa dziesiątkowały szeregi. Po 14-tu dniach karawana dotarła do kraju Andikum, gdzie się znowu zaopatrzyła w żywność. Nagle rzeka Ihuru, płynąca z północy do Ituri (Aruwimi) wstrzymała dalszy pochód. W braku czółen, trzeba było postępować nad brzegiem owej rzeki w kierunku północno-wschodnim, a zatem zboczyć z prostej drogi, wiodącej do Bodo. Wtedy piąta część oddziału była chorą. W 6 dni po opuszczeniu Andikum, ekspedycya przybyła do bogatego siola Indeman, zamieszkałego przez dzikich, ludożerczych karłów, którzy nie chcieli ani dostarczyć czółen, ani wskazać brodu. Wtedy dr. Bonny z Zancybarczykami rzucili się do wody i wystawili most.

Przeprowiwszy się tym sposobem przez rzekę, trzeba było staczać krwawe walki z karłami, zwanymi Wambutti. Stanley wtedy wysłał kilkudziesięciu żołnierzy w tył po żywność. Przez 6 dni nie było o nich wieści. Tymczasem w obozie głód zapanował na nowo. Rozdano już resztę mąki i ostatnią kozę. Żołnierze popadli w zupełną, moralną i fizyczną apatję. Przetó 6-go dnia Stanley postanowił cofnąć się celem odszukania owych furazerów. W obozie pozostał dr. Bonny z 10 stróżami. „Jowialnym i wesolem tonem”, — pisze Stanley w liście z 5 sierpnia r. 1889 do prezesa „Emin Pacha Relief Commmity” w Londynie, — choć nigdy nie czalem



w sercu większego smutku, wytłumaczyłem 43 wygłodniałym towarzyskom, którzy się zebrali koło mnie, że wracamy, aby odszukać naszych wysłańców i że, gdybyśmy ich nie znaleźli, sami postaramy się o żywność. Przez pół dnia przebiegliśmy 9 mil, napotykając na każdym kroku na umarłych ludzi. W dwa dni potem z rana spotkaliśmy naszych furazerów, maszerujących rażno, pomimo ciężaru żywności, jakie nieśli. Klusem tedy wracaliśmy do obozu Stawahiu (obóz głodu), dokąd powróciliśmy w 26 godzin po wyjściu naszym, zaopatrzeni hojnie w żywność. Na żadnej dawniejszej wycieczce afrykańskiej głód tak nam nie dokuczył, jak na tém fatalném miejscu. Aż 27 ludzi umarło tu z głodu“.

Wreszcie 20 grudnia oddział stanął w forcie Bodo, gdzie przebywał Stairs z 55 ludźmi. Według planu Stanleya, Jephson, pozostawiony u Emina, miał przysłać do Bodo gońców, albo też przybyć tam z gubernatorem i jego towarzyszami. Atoli nie było tu żadnej wieści o Jephsonie. Zatem 23 grudnia, zabierając załogę fortu Bodo, Stanley wyruszył w dalszą podróż; dnia 9 stycznia 1889 r. wydobył się z lasów, wielce zaniepokojony brakiem listów Jephsona, dnia 11 stycznia tylną straż powierzył d-rowsi Parkemu i kapitanowi Nelsonowi, sam zaś pośpiesznym marszem zdążył naprzód. Ludność tym razem przyjęła go uprzejmie. Przybywszy do jeziora Alberta, z wielkiem zdumieniem dowiedział się, że nienadeszli żadni gońcy od białych. Dopiero 16 stycznia w siole Jawirar spotkał wysłańców z Kawali, którzy mu wręczyli trzy na raz listy Jephsona, donoszące o rokoszu w prowincyi równikowej.

Dotarłszy w dwa dni potem do Kawali, wysłał natychmiast list do Jephsona, wzywający gubernatora do zdecydowania się, czy zamierza pozostać lub opuścić prowincyą? Dnia 6-go lutego Jephson przybył do obozu Stanleya, wyłuszczał wahania się Emina i oświadczył: „Sentymentalność jest największem wrogiem baszy. On sam jest swoim największym nieprzyjacielem“. Jednakże 17-go lutego Emin dwoma parowcami „Khedyw“ i „Nyanza“ z córką Feridą itd. przybywa do obozu Stanleya.

Zanim przystąpimy do drugiej części wyprawy Stanleya, do przeprawy od jeziora Alberta do brzegu wschodniego, trzeba nam streścić owoce naukowe jego kilkakrotnych przepraw pomiędzy Jambugą a Kawalli. Droga ta, najkrótsza od rzeki Kongo aż do jezior równikowych, na przyszłość niezawodnie stanie się jedynym z najgłówniejszych szlaków afrykańskich. Przestrzeń od Jambugi do Kawalli wynosi 1091 kilometrów, a zatem mniej więcej tyle, co odległość Genui od Hamburga. Od jeziora Alberta do rzeki Kongo teren powoli spada z 1650 metrów do 420 metrów nad powierzchnią morza.

Rzeka Aruwimi w sto mil na zachód od Jambugi przybiera nazwę Suhali, w 300 mil od Kongo nazwę Itiri, potem Ituri aż do źródeł na północno-zachodnim brzegu jeziora Alberta. Jednak Aru-

wimi nie należy do największych rzek, wpływających do Kongo. Uelle, Kassai, Lubilacz znacznie go przewyższają. W odległości 680 angielskich mil przed ujściem do Kongo, szerokość Aruwimi wynosi 128 jardów, głębokość 9 stóp. Według obliczenia Stanleya, długość tej rzeki wynosi około 800 mil. Jeszcze przed wydaniem zapowiedzianego nowego dzieła Stanleya, niektórych bliższych szczegółów o górnym Ituri dowiemy się prawdopodobnie z wychodzącego obecnie tutaj w zeszytach dzieła Junkera, który w r. 1882 zbadał bieg rzeki Nepoko, płynącego z północy do Aruwimi czyli Ituri, a jak się zdaje, dotarł aż do tej głównej rzeki.

Następnie ostatnia wyprawa Stanleya przyczyniła się do wyjaśnienia systemu jezior równikowych względnie źródeł Nilu. Sławny eksplorator bowiem skonstatował teraz, że odkryte przezeń w r. 1877 jezioro Muta Nsige czyli Alberta-Edwarda za pośrednictwem potężnej 80 do 100 jardów szerokiej rzeki Semliki wpływa do jeziora Mwutan Nsige czyli Alberta, z którego wypływa Nil. Jezioro Alberta jest więc wielkim rezerwoarem Nilu, zasilane z zachodu przez rzekę Semliki i wody jeziora Alberta-Edwarda, a z wschodu upływem jeziora Victoria.

Na północno-wschodnim brzegu jeziora Alberta-Edwarda mniej więcej stopień geograficzny na północ od równika, wznoszą się potężne góry śnieżne wysokości około 18,000 stóp, których najwyższy wierzchołek tworzy Ruwenzori. Z rozkazu Stanleya porucznik Stairs zbadał tę górę aż do wysokości 10,600 stóp, wyżej wnieść się nie mógł, bo trzy przepaście dzieliły go od głównego śnieżnego szczytu. Całe te pasmo gór pokryte śniegiem. Cóżby na to powiedzieli geografowie średniowieczni, przekonani, że skwary równik czynią absolutnie nieprzystępnym? Aż do wysokości 8,000 stóp plemię Bakongów zamieszkuje boki tych gór. Kiedy rozbójnicze plemię Warasurów napada ich bardzo dobrze uprawiane pola, chronią się jeszcze wyżej w góry, aż do stref śnieżnych.

Lodowy mróz tych gór tworzy rażącą sprzeczność z skwarem dolin. Tu roślinność rozwinięta w sposób najbogatszy. Porucznik Stairs zebrał mnóstwo okazów, które potem Emin, znakomity botanik, uporządkował. Według wszelkiego prawdopodobieństwa śniegi tego pasma gór żywią jeziora Alberta-Edwarda i Alberta a zatem pośrednio Nil, którego ciekawe tajemnice i mityczne źródła, dzięki niepospolitej energii exploatorów nowoczesnych, wreszcie odsłaniają się jedno po drugim.

Warto jednak zaznaczyć, że, jakkolwiek ani Herodot, ani Diodor, Strabo, Plinius, o źródłach Nilu nie mieli słusznych wyobrażeń, jednak najznakomitszy geograf starożytności Klaudyusz Ptolomeusz, żyjący w drugim wieku po Chrystusie, podaje właśnie te hipotezy, które się okazały trafne. Starożytny Egipt sięgał tylko do pierwszego kataraktu Nilu, t. j. mniej więcej do 24 stopnia półn. szerokości. Tymczasem Ptolomeusz umieścił źródła Nilu



o wiele dalej ku południowi, w szerokości wyspy Madagaskaru, a zatem prawie na należnem miejscu. Zdaniem jego, śniegi „gór księżycowych“ *Σελήνης ὄδος*, odkrytego przez Stanleya Ruwenzori, zasilają dwa jeziora, wschodnie (Ukerewe czyli Wiktorja), i zachodnie (Mwutan czyli Alberta), z których wypływają dwa ramiona Nilu. W głównej zatem rzeczy Ptolomeusz zdołał zaczerpnąć o źródłach Nilu autentycznych wiadomości, choć trzeba było prawie 2000 lat, aby zostały sprawdzone na miejscu. Także o karłach, zamieszkujących brzegi jezior różnikowych, z którymi Stanley na ostatniej wyprawie staczał krwawe bitwy, już w starożytności rozszerzyły się wieści. I tak Aristoteles w „dziejach zwierząt“ (T. VIII. 2), zaznacza: „Czaple wędrują aż do górnoegipskich jezior, gdzie się znajdują źródła Nilu. tam mieszkają pigmei, a nie jest to bajka lecz czysta prawda; ludzie i konie, jak opiewa podanie, są nader szczupli i przebywają w jamach.“ Tym sposobem wyjaśniają się liczne karły na pomnikach egipskich, np. w sławnej świątyni Karnaku; bogaci egipcjanie otaczali się karłami centralnej Afryki, jak w średnich wiekach królowie i książęta bufonami.

Jeżeli tak, co do gór śnieżnych — nad równikiem — Stanley zrehabilitował geografa starożytności, to co do rozległości jednego z dwóch jezior, stanowiących wielkie rezerwoary Nilu. jeziora Wiktorji, sprostował mylne daty nowoczesnych podróżników. Na swęj drugiej wyprawie afrykańskiej, sławny anglo-amerykanin, wyruszywszy 17-go listopada 1874 r. z Bogomoya, 27 lutego r. 1875 przybył do południowego brzegu jeziora Wiktorji a od 8 marca do 5 maja czółnem objechał je do koła. Nadzwyczaj zajmujący opis tej przejażdżki, jako też odwiedzin u młodego, potężnego cesarza Ugandy Mtesy (który już nie żyje) zawiera dzieło Stanleya: „Przez ciemny kontynent“, 1878, I-szy tom. Wówczas jednak co do rozległości jeziora Wiktorji czyli Ukerewe, Stanley poległ na notatkach Spekego; teraz przybywając od zachodniej strony, skonstatował, że jezioro rozpościera się o wiele dalej w południowo-zachodnim kierunku, ani przypuszczano, i to aż do 2° 48' połudn. szerokości, tak, że odległość tego brzegu Wiktorji od jeziora Tanganika wynosi tylko 155 angielskich mil, zaś całe jezioro Wiktorji jest o 1000 mil kwadratowych rozleglejsze, niż dotąd obliczano.

### III.

Przybywając w styczniu r. 1889 po raz trzeci do jeziora Alberta, Stanley nasamprzód z wymienionych powyżej listów p. Mounteney-Jephsona dowiedział się o wypadkach, które od czasu swego powrotu do Jambugi względnie Bonalii, zaszły w prowincyi Emina, a powinny były wpłynąć przeważnie na decyzje gubernato-

ra na korzyść rad Stanleya. Listy te tak dramatycznie opisują *rokosz* wojskowy, że najlepiej będzie przytoczyć je dosłownie.

„Dufilé, 7 listop. 1888 r. <sup>1)</sup> Kochany Panie, spodziewam się, że ten list przybędzie w czas do Kawali, abyś się miał na baczności. Dnia 18 sierpnia wybuchł tu *rokosz*. Basza i ja zostaliśmy uwięzieni. Baszę trzymają w zamknięciu, co do mnie, mogę się przechadzać po stacyi, ale jestem pod dozorem. *Rokosz* wszczęło kilku oficerów i podoficerów egipskich. Powoli przystąpili inni, głównie z trwogi. Wyjawszy stację Labore, żołnierze nie wzięli udziału w *rokoszu*, lecz słuchali oficerów. Gdy basza i ja zamierzaliśmy wyruszyć do stacyi Redjaw, oficer Abdul Vaal i jeden z podoficerów, opowiedzieli ludowi, że ciebie poznali, że jesteś awanturnikiem, nie przybywasz z Egiptu, a rzekome listy, które ci miał wręczyć Khedyw i Nubar, są sfałszowane, że nieprawda, aby Kartum był się dostał w ręce Mahdiego, i że umówiłeś się z gubernatorem, wszystkich egipcyan jako niewolników oddać anglikom. W ten sposób sfanatyzowana ludność uwięziła nas. *Rokoszanie* wysłali gońców do innych stacyi i częścią namową, częścią groźbą, skłonili oficerów do przystąpienia do *rokoszu*.

„Emin i oficerowie, którzy mu pozostali wiernymi, zostali złazeni z urzędu. Ich miejsce zajęli *rokoszanie*. Postanowiono wysłać baszę jako więźnia do stacyi południowej. Niektórzy nawet chcieli go okuć w kajdany, ale żołnierze oświadczyli, że na to nie pozwolą. Naradzano się także nad tём, aby ciebie za twoim powrotem uwięzić i złupić. Tymczasem nadeszła wiadomość, że wojsko Mahdiego na trzech parowcach i 9 czołnach przybyło do stacyi Lado i zdobyło ją. Dowódzca mahdistów Osnar Sali przysłał trzech dumnych derwiszów z listem dla baszy. W liście tym, którego odpis załączam, generał Mahdiego domaga się niezwłocznego poddania mu kraju. Naczelnicy *rokoszu* wtrącili derwiszów do więzienia i postanowili rozpocząć wojnę.

„W kilka dni potem wojsko Mahdiego napadło i wzięło Redjaw, zabiło 5 oficerów i wielu żołnierzy, kobiety i dzieci wzięto w niewolę, zabrano wszystką amunicję i żywność. Mieszkańcy stacyi Bedden, Kirri i Muggi schronili się do Labore. Basza sądzi, że oddział mahdistów liczy 1500 żołnierzy. Oficerowie z znacznym oddziałem wyruszyli do Muggi, aby stawić opór. Położenie ich jest opłakane. Od początku *rokoszu* nastąpił chaotyczny zamęt. Nikt nie słucha

<sup>1)</sup> Wymienione w listach Jephsona stacye czyli obozy Emina, w następującym porządku tworzą łańcuch z południa ku północy: Msua na zachodnim brzegu jeziora Alberta, potem nad Nilem: Wadelai, Dufilé, Labore Muggi, Bedden, Rodjab, wreszcie na 5-tym stopniu półn. długości Lado, dawniejsza stolica gubernatora przed upadkiem Kartumu i zanim falo Mahdiego poruszyły się ku południowi.



oficerów, codziennie krzyżują się najsprzeczniesze rozkazy. Plemie Barisów połączyło się z mahdistami, którzy jeżeli dotrą do Dufilé, nie nas nie zdoła ocalić. Oficerowie są wielce zatrwożeni; niecierpliwie oczekują Twego przybycia i pragną z nami opuścić kraj. Są teraz przekonani, że Kar:um upadł i że przybyłeś z polecenia Khedywa.. Jesteśmy schwytani, jak szczury w łapce. Oficerowie nie pozwalają nam ani działać, ani się wydalić. Obawiam się, że nadejdiesz zapóźno. Spotka nas ten sam los, co wszystkie inne załogi Sudanu. Gdyby ten rokosz nie był wybuchł, basza byłby czas jakiś mógł się oprzeć mahdistom. Teraz to niepodobnêm... Proszę za przybyciem do Kawalli napisać list do Szukri-Agi, naczelnika stacyi Msua, aby mu oznajmić Twe przybycie i życzenie zobaczenia się z baszą i ze mną. Donieś nam także, ilu masz ludzi ze sobą. Ani basza, ani ja nie wierzymy, aby ci groziło niebezpieczeństwo więzienia, bo lud teraz przekonany, że przybywasz z Egiptu i liczy na to, że go ocalisz. W każdym razie miej się na baczności. Jeżeli nie zdołamy wydobyć się ztąd, zechciej mnie przypomnieć przyjaciołom i krewnym. Twój oddany A. I. Mounteney-Jephson.“

„Wadelai 24 listopada 1888 r. Goniec nie wyruszył jeszcze, dołączam więc przypisek do pierwszego listu, który na życzenie Emina posyłam cały. Jak zaznaczyłem, rokoszanie zamierzali odzyskać Redjaw, ale pobici przez wojsko Mahdiego, stracili 6 oficerów i wielu żołnierzy. Najzaciętsi przeciwnicy baszy polegli w tój bitwie. Żołnierzy na wszystkich stacyach opanowała trwoga. Oświadczyli, że nie wyruszą w pole, dopóki basza znajdować się będzie w więzieniu. Naczelnicy rokoszu widzieli się zatem zmuszeni wrócić mu wolność. Odesłali nas do Wadelai. Basza jest wolnym, niezrzekł się jeszcze swój władzy, ale sędzę, że pragnie to uczynić. Za dwa dni przybędziemy do Tunguru nad jeziorem i spodziewam się, że skoro otrzymamy wiadomość o Twojem przybyciu, basza uda się na spotkanie z Tobą... Niebezpieczeństwo, o ile grozi ze strony wojsk Mahdiego, zwiększyło się wskutek owój klęski pod Redjaw, pod innêm względem położenie nasze polepszyło się, bo znajdujemy się dalej od nich i możemy się cofnąć, gdybyśmy chcieli. Nadeszła tu wiadomość, że mahdiści wysłali parowce do Kartumu po posiłki. Mogą zatem stanąć tutaj za 6 tygodni. Jeżeli przybędą z posiłkami, zginiemy, bo nasi żołnierze nie zdołają stawić im oporu. Będzie to dla mahdistów prosta przechadzka (walk over)... Wszyscy wyglądają tu niecierpliwie Twego przybycia, bo zjawienie się wojsk Mahdiego wprawilo ich w rozpacz... Jeżeli przybędziesz przed końcem grudnia, zdołamy ujsć, choć nie podobna przewidzieć, co się wydarzy. A. I. M. J.“

„Tungura 18 grudnia 1888 r. Kochany Panie, goniec Mogo jeszcze nie wyruszył. Oto drugi dopisek. Znajdujemy się teraz w Tunguru. Dnia 25 listopada, wojsko Mahdiego stanęło przed Dufilé i oblegało te stacye przez 4 dni. Żołnierze Emina, w liczbie

500 odparli mahdistów, którzy się cofnęli do Redjaw, swęj głównej kwatery. Oczekują posiłków z Kartumu, aby ponowić zaczepkę. Gdyśmy uchodzili z Wadelai, oficerowie żądali, abyśmy zniszczyli nasz skutek „Advance“. Wysadziłem go zatem w powietrze. Pracują pilnie nad obwarowaniem Dufilé... Basza nie może ruszyć ani ręką, ani nogą, bo istnieje silna opozycja, oficerowie zaś już się nie boją przybycia Mahdistów. Pod żadnym warunkiem nie maszeruj do Urate, mego dawnego obozu nad jeziorem, lecz do Kawalli na wyżynie. Przyszlij mi natychmiast list, po którego odebraniu, przybędę do was, z poddanemi baszy będziesz miał ciężką sprawę. Spodziewam się, że przybędziesz przed mahdistami, inaczej położenie nasze będzie rozpaczliwe.“<sup>1)</sup>

Otrzymawszy te listy, Stanley natychmiast (18 stycznia 1889 roku: napisał do Jephsona, wzywając Emina, aby przybył do obozu w Kawalli. „Pragnę przyjść z pomocą baszy. mniejsza o to, jakim sposobem. Jeżeli życzy sobie wyjść z kłopotów, będę jego wiernym sługą i przyjacielem, ale gdyby się znowu wahał, pogrążyłby mnie w zdumienie i ambaras. Czuję się zdolnym ocalić tuzin baszów, byle chcieli być ocaleni. Chętnie na kolanach błagać go będę, aby zrozumiał swe położenie. Nie daj się wprowadzić w pokuszenie temu złowrogiemu urokowi, który w ostatnich latach Sudan wywierał na wszystkich europejczyków. Odkąd dotkną się tej ziemi, zdawają się być porwani wirami. Na to niema lekarstwa, jak ślepe posłuszeństwo dla każdego rozkazu, nadchodzącego z zewnątrz. Komitet (oswobodzenia Emina) oświadczył mi: Odkryj Emina i ocal go za pomocą środków, których ci dostarczamy. Jeżeli pragnie się wydalić, środki te ułatwią mu odwrót, a przydadzą mu się, jeżeli pragnie wytrwać“. Khedyw powiedział mi to samo, ale dodał: „Jeżeli basza i jego oficerowie pragną zostać, uczynią to na własną odpowiedzialność“. Sir Evelyn Baryng (angielski minister w Egipcie) powiedział mi to samo w wyrazach jasnych i zwięzłych, i otóż przebywszy drogę 4100 mil, znajduję się tutaj z ostatnią gałęzią zbawienia. Oby, komu należy, chwycił się jęj. Przybywajcie, jestem gotów służyć mu całą siłą i inteligencyą. Teraz nie może być wahania. Trzeba pozytywnego *tak* albo nie, *and home we go*“.

1) W krótkim liście napisanym podczas odwrotu w stacyi misyi angielskiej Usambiro nad jeziorem Wiktorya 28 sierpnia 1889 r. do znanego podróżnika i geografa Schweinfurta, Emin stwierdza główne punkta w listach Jephsona: „W mojej prowincyi wybuchło powstanie. W skutek tego zostałem uwięziony z Jephsonem w Dufilé. Tymczasem mahdiści przybyli do Lado nad Białym Nilom na 5-yu stopniu szerokości, 32 długości. Zdobyli i zburzyli stacyę naszą Redjaw. Oddział, któryśmy wysłali przeciwko nim, wycięli. Musieliśmy zatem cofnąć się do Wadelai i Tunguru. Mahdiści następnie usiłowali zdobyć Dufilé, ale doznali zupełnej porażki. Po tych wypadkach połączyliśmy się z Stanleyem i wyruszyliśmy razem w drogę“.



Jak już wspomnieliśmy powyżej, Jephson przybył do obozu Stanleya 6 lutego, Emin zaś z pierwszym oddziałem swych towarzyszy, 17-go lutego.

Z Eminem do obozu Stanleya w Kawalli przybyło 56 osób, pomiędzy nimi Selim bey i 7 oficerów Egipcyan i Nubijczyków, przysłanych jako deputacya od oficerów, którzy sobie przywłaszczyli władzę w prowincyi równikowej. Następnego dnia przybył także Stairs z tylną strażą i zebrano się zatem na radę wojenną. W imieniu deputacyi egipskiej przemawiał Selim bey, który był odniósł niedawno pod Dufilé zwycięztwo nad oddziałem wojsk Mahdiego, domagał się czasu, aby wojsko egipskie z kobietami i dziećmi mogło opuścić prowincyę i przybyć do obozu w Kawalli. Stanley zauważył: „Od roku czekam prostej odpowiedzi na proste pytanie: chcecie pozostać w Sudanie czy wrócić zemną do Egiptu? Przyrzekam wam, że zaczekam dość długo, aby wszyscy, co pragną tego, mogli się zemną połączyć.“ Na tem stanęło. Dnia 21 lutego Emin z oficerami swemi opuścił obóz Stanleya, założony na wysokim wzgórzu, i powrócił do swego obozu bezpośrednio przy jeziorze. Dnia 25 lutego przybył tam parowiec wysłany do Msua, z drugim oddziałem ludzi Emina, ale równocześnie z doniesieniem, że w Wadelai wybuchł nowy rokosz i zastępcę Emina Selima beya złożono z urzędu. W skutek tych wieści Emin następnego dnia z córką Feridą z 144 ludźmi przybył do obozu Stanleya i postanowiono razem wyruszyć za miesiąc. Tymczasem wnoszono do stromego obozu niezliczone bagaże gubernatora i jego towarzyszy.

Trzydziestego dnia po odpłynięciu Selima beya z Kawalli, nadszedł tam od niego i od naczelników rokoszu list, w którym uznawali władzę „wysłańca naszego wielkiego rządu“ i oświadczali gotowość powrócić do Egiptu. W tych okolicznościach Emin sądził, że trzeba poczekać trzy miesiące. Stanley przeto zwołał swych oficerów Stairsa, Nelsona, D-ra Parkego, Jephsona i np. Williama Bonny na walną naradę, na której był obecny Emin. Na zapytanie Stanleya, czy można zaczekać dłużej, jak do 10 kwietnia? wszyscy jego oficerowie odpowiedzieli przecząco, po czem zwracając się do Emina oświadczył: „Baszo, oto moja odpowiedź: 10-go kwietnia wyruszymy w drogę.

— W waszej duszy i sumieniu zwalnicie mnie z wszelkiego zarzutu, gdyby moi ludzie nie zebrali się tutaj przed 10 kwietnia? zapytał Emin.

Wszyscy razem odpowiedzieli: tak.

W trzy czy cztery dni potem Emin, polegający chętnie na radzie kapitana Casatego zawiadomił Stanleya, że kapitan nie uważa podobnego opuszczenia poddanych jako usprawiedliwione. Stanley udał się przeto z Eminem do kapitana Casatego, który powoływał się na względy prawa, honoru, obowiązku, które jego zdaniem zmuszały Emina „moralmente“ wytrwać w swęj prowincyi (czy też tyl-

ko zaczekać na wszystkich tych swych towarzyszy, którzy byli gotowi połączyć się z nim!?)

„Zbijalem te złowrogie myśli, powiada Stanley, abecadłem pospolitego rozsądku. Porównywałem obowiązki Emina względem swych poddanych z kontraktem bilateralnym (? ależ Emin nie był naczelnikiem wybranym przez murzynów lub Egipcyan, lecz mianowanym przez rząd egipski). Skoro jedna strona nie dotrzymała swych obowiązków, druga tem samem została uwolniona z swoich (według tej teoryi, w razie rokoshu oficerów wszelka władza powinna czém prędzej wynieść się z kraju). Gubernator wytrwał wiernie na swém stanowisku, aż do dnia, gdy go lud złożył z urzędu (właśnie nadeszły z Wadelai listy oficerów z oświadczeniem, że się poddawają Eminowi). Rząd (egipski) zgadzał się na ewakuacyą prowincyi równikowej i przysyłał mu eskortę celem ułatwienia odwrotu. Honor nie wzbrania liczyć się z koniecznością. Basza względem swych poddanych jest zwolniony z wszelkich powinności i nie jest moralnie zobowiązany pozostać z ludem, który go sobie nie życzy. — Sądzę, że ani Emin, ani Casati nie byli przekonani. Jakież to dziwne przywiązanie oficerów europejskich i egipskich, jako też żołnierzy sudańskich, do tych stref Afryki!“

Stanley ze swego stanowiska mógł szczerze tak rozumować i mówić. Rzeczywiście też przytoczone powyżej słowa Khedywa zwalniały Emina z obowiązku wytrwania w Wadelai. Atoli ze stanowiska politycznego i humanitarnego, na którym stał „sentymentalny“ Emin, ze stanowiska delikatnego honoru wojskowego, w imię którego odzywał się sympatyczny kapitan włoski Casati, nie można było poprzestać na spełnieniu ścisłego obowiązku w sensie prawniczym, lecz powstawały skrupuły i wahanie się.

Że Emin i Casati w obec ciągłych rokoshów oficerów egipskich wreszcie ulegli namowom Stanleya, nie zadziwi nikogo; tem, że się tak długo wahali, dowiedli uczuć prawdziwej szlachetności, która się nie zadawalnia spełnieniem ścisłego obowiązku, lecz pragnie, ile możności, uczynić zadość względem wyższej moralności, choćby nieparagrafowanej kodeksem służbowym.

Tymczasem nadeszły z Wadelai wieści o nowych zaburzeniach i zupełnej niemocy stronników Emina; na domiar w nocy z 5-go na 6-go kwietnia kilkunastu Egipcyan Emina napadło obóz Stanleya, aby zabrać Zancybarczykom broń. Stanley teraz rozwinął całą swą energią Anglo-amerykanina. Nazajutrz rano zwołał wszystkich towarzyszy Emina i wezwał tych, którzyby pragnęli wyruszyć do Zancybaru, stanąć po jednej, tych, co by pragnęli pozostać w Sudań, po drugiej stronie. Gdy prawie wszyscy stanęli po pierwszej, Stanley zwrócił się do Emina:

„Zechciej baszo oświadczyć tym arabom, że tutaj musza ustać wszelkie te zachcianki rokoshu, które popłacają w Wadelai i Dufilé,



i że przy najmniejszym nieporządku, którego się dopuszczają, wytnę ich wszystkich.“

Gdy Emin przetłomaczył to, wszyscy arabowie ukłonili się i przysięgali, że święcie będą słuchać „ojca“ swego. Następnie Stanley uczynił przegląd towarzyszy Emina i pokazało się, że było 134 mężczyzn, 184 kobiet zamężnych, 187 służebnic, 74 dzieci nad dwa lata i 35 niemowląt — ogółem 514 osób.

Dnia 10 kwietnia karawana, licząca z towarzyszami Stanleya i z 350 nosicielami bagaży Egipcyan 1500 osób opuściła Kawalli, w dwa dni potem, w kraju kacyka mozamboni, Stanley ciężko zachorował i przez 28 dni nie mógł opuścić łoża. Pomimo tej długiej zwłoki, z oficerów egipskich, którzy nibyto pragnęli towarzyszyć Eminowi, przybył tylko jeden Szukri-aga, naczelnik stacji Msua z 12 żołnierzami, którzy jednak niebawem zbiegli. W czasie choroby Stanleya były niewolnik majora Awasha uknuł spisek. Prawie umierający Stanley, cudem nadzwyczajnej energii, powstał z łoża, kazał uwięzić herszta spisku, stawić go przed sąd wojenny i powiesić.

Dopiero 8 maja 1889 można było ruszyć w dalszą drogę. Codziennie trzeba było staczać krwawe walki z wojowniczymi plemionami Wanjorów i Wagandów. Wzdłuż jeziora Alberta-Edwarda walki te ustały, ale za to febra dziesiątkowała szeregi. Dziennie wydarzały się aż 150 wypadków febrы. Emin, Casati i wszyscy Europejczycy byli wycieńczeni. Murzyni a zwłaszcza nieprzywykli do podobnych przepraw Egipcyanie, chowali się w trawie lub dołach i niespostrzeżeni przez tylną straż, stawali się ofiarą tubylców; tym sposobem w jednym miesiącu lipcu zginęło 140 Egipcyan.

Przywiedzeni głodem do rozpaczы nawet doświadczeni żołnierze Stanleya sprzedawali broń i proch, aby kupować żywność. Kapitan Nelson i dr. Parke, którzy dowodzili tylną strażą, byli narażeni na niesłychane cierpienia. Stanley był zmuszony kilkakrotnie cofnąć się, aby im przyjść w pomoc. Przez góry i rzeki wśród nieustannej walki z dzikimi tubylcami trzeba było nieść kilkaset chorych.

Dopiero 3 sierpnia karawana dotarła do Kufuro, mniej więcej w środku pomiędzy jeziorami Alberta Edwarda i Wiktoryi. Z Kufuro dnia 5 sierpnia Stanley wysłał do p. Mackinnona, prezesa „Emin Relief Comitee“ ów obszerny list, zawierający przytoczone powyżej szczegóły o trudnościach, jakie miał do zwalczenia, aż skłonił Emina do odwrotu.

Wyruszwszy 6-go sierpnia z Kufuro, w ostatnich dniach sierpnia karawana dotarła do jeziora Wiktoryi. Ztąd Emin wysłał do p. Mackinnona list, cechujący szlachetny charakter ex-gubernatora a zdolny zawstydić tych zbyt gorliwych wielbicieli Stanleya, którzy zresztą całkiem niepotrzebnie usiłują wynieść swego

bohatera kosztem Emina. „Przybyłem tu—pisze—pod eskorta Stanleya i spieszę przestać wam tych słów kilka, aby wam podziękować za szlachetną pomoc, jakiej mi udzielił komitet. W chwili nieszczęścia odezwałem się do świata o wsparcie dla mych towarzyszy. Wiedziałem wprawdzie, że nie będzie daremnym, ale nie spodziewałem się tyle dobroci. Nie podobna mi opowiedzieć wam, co się tu wydarzyło po nadejściu Stanleya. Jego wymowne pióro opowie wam to lepiej. Spodziewam się także, iż rząd egipski pozwoli mi kiedyś, przybyć do was osobiście i wyrazić wam uczucie mojej wdzięczności. Tymczasem proszę wszystkim subskrybentom komitetu wypowiedzieć szczerze podziękowanie garstki ludzi opuszczonych, którzy dzięki wam, zostali ocaleni od zguby i mają teraz nadzieję uściskania swych rodzin. Na teraz nie starczy mi słów na pochwałę Stanleya i jego oficerów. Skoro przybędę do was, wypowiem całą wdzięczność, którą im jestem winien“.

W Usambiro na południowym brzegu jeziora Wiktoryi, karawana gościnnie przyjęta została przez misjonarzy angielskich, którzy Stanleyowi oddali przysłane dla niego przez Zancybar towary i żywność. Dnia 3 września wzorowy reporter wysłał ztąd list do prezesa „Emin Relief Comitee“, opisujący dokładnie dzieje niebezpiecznej przeprawy od jeziora Alberta. Tu też dopiero dowiedział się o powstaniu w niemieckich koloniach nadbrzeżnych, jednak postanowił tędy dążyć do Zancybaru. Z Usambiro karawana w południowym kierunku przez kraj Uniamwesi dążyła do znanąj wielkiej osady Tabori. Przedtém z osady Usukumai dokąd przybyła 10 września, Stanley i Emin wyprawili owych gońców, którzy 11 października dotarli do zburzonej niedawno przedtem przez Buszirego stacyi niewielkiej Mpwapwy, tam nazajutrz spotkali się z majorem Wissmanem i donieśli mu o zbliżaniu się Stanleya i Emina. Już bez wszelkich przeszkód, ale harcowani głodem, maszerując od Tabori w wschodnio-południowym, potem w wschodnim kierunku przez Myongo, Mdabura, Mwami, dnia 10 listopada 1889 r. sławni konkwistadorowie przybyli do Mpwapwy.

Przeprawa od jeziora Alberta trwała 188 dni, od jeziora Wiktorya 55 dni. Przybywając do Mpwapwy, karawana liczyła 750 ludzi, z tych 294 towarzyszy Emina, pomiędzy którymi 50 dzieci. Z białych, oprócz Stanleya, Emina i córki jego Feridy, znajdowali się w orszaku Stairs, Nelson, Mounteney-Jephson, d-r Parke, a zatem wszyscy Europejczycy, którzy 28 czerwca 1887 r. wyruszyli z Stanleyem z Jambuży na wschód, dalej William Bonny, który tam był pozostał z majorem Bartelotem, następnie kapitan Casati, Marco Włoch i Vitu Hassan, aptekarz z Tunisu, którzy towarzyszyli Eminowi, nadto trzej misjonarze Hofman, Girault i Schinze, o których nie wiadomo, gdzie się przyłączyli do karawany. Z oficerów egipskich Emin miał przy sobie Araba Awasha, majora 2-go batalionu, tudzież Wakeersa, rodowitego Sudańczyka.



Od jeziora Wiktoryi karawana utraciła już tylko 18 ludzi, zastrzelonych przez tubylców.

W dalszym pochodzie na wschód, dnia 29 listopada prawdopodobnie w stacyi Simba-mwera <sup>1)</sup>, przyjmowali podróżników naczelnik okręgowy baron Gravenreuth i korespondent „New-York-Herald“, — bezimienny na teraz, ale może drugi jaki Stanley inpetto, wiadomo bowiem że tenże swój zawód konkwistadora afrykańskiego rozpoczął jako reporter tegoż dziennika amerykańskiego. „Stanley — opowiada jego następca — pomimo trudów i cierpień, jakie przebył, wygląda dobrze. Włosy jego posiwiały, wąs całkiem siwy, bardzo się zmienił. Miał na sobie surdut z prostej materii, ale wygodny, na głowie kaszkiet pruski, trzewiki z konopi. Sztandar amerykański, który mu miałem wręczyć, powiewa teraz nad jego namiotem. Herbata, kawa, tytoń, chinina, wino, słowem wszystko, co przysłał „New-York-Herald“ doznało najlepszego przyjęcia; w imieniu własnem, jako też towarzyszy Stanley serdecznie dziękował za te przysmaki, których im tak długo niedostawało. Emin zniósł także mężnie ciężką przeprawę do brzegu. Jest to człowiek chudy, brunatnej cery, nosi okulary i wygląda na profesora. Jest skromny w obejściu (jak zwykle ludzie sentymentalni), mówił mi, że nie żąda żadnej nagrody i pragnie pozostać w służbie Khedywa. Kapitanowi Casatemu oddałem listę i ubiory, które mi dla niego wręczył konsul włoski w Zancybarze. Zdaje się, że kapitan więcej ucierpiał od drugich. Wszyscy zresztą Europejczycy są zdrowi. Emin i ludzie jego z wdzięcznością przyjęli obfitą żywność jaką dla nich przywiózł baron Gravenreuth. Wieczorem odbyła się w namiocie naczelnika uczta, na której ogłoszono pełne zapału toasty“.

Dnia 1-go grudnia ekspedycja ruszyła w dalszą drogę i 4-go przybyła do Bogomojo nad brzegiem Oceanu indyjskiego. Miasteczko było przystrojone łukami tryumfalnymi z zielonych gałęzi, z wszystkich domów powiewały chorągwie, z okien witano odważnych podróżników palmami, okręty wojenne angielskie i niemieckie tudzież i wojsko Wissmanna salutowały wystrzałami armatniami. Konsulowie włoski, angielski i niemiecki tudzież reprezentant „Emin Relief Comitee“ przybyli z Zancybaru. Stanley i Emin konno odbyli wjazd do Bogomojo. Wieczorem, na uczcie wydanęj na cześć gości, major Wissmann sławił ich odwagę i wytrwałość, Stanley w odpowiedzi swęj uronił łzę nad licznemi swemi żołnierzami „któ-

<sup>1)</sup> Depesze nazywają tę stacyę Msua albo Tsua. Na kilku dokładnych kartach, które mam przed sobą, ani na najnowszej d-ra Lueddeckiego, takiej stacyi tam niema, jest tylko na wszystkich stacya powyżęj wymieniona i to właśnie w odległości 4 do 5 marszów dziennych od Bogomojo.

rych kości bieleją w odwiecznym lesie nad brzegiem Kongo“.—ale niestety, po uczucie, Emin, którego wzrok bardzo osłabiony, spadł z balkonu z wysokości 20 stóp i tak ciężko się skaleczył, że zrazu powstały największe obawy. W pierwszych dniach stycznia r. b. miał się już nieco lepiej, jednak Stanley sam tylko przybył 6 grudnia do Zancybaru, z kąd był wyruszył na tę dramatyczną wyprawę w lutym r. 1887-go, i zastał tutaj cały stos depesz z powinszowaniami i zaproszeniami od monarchów, humanitarnych i uczonych stowarzyszeń, kongresu brukselskiego i t. d. — słowem doczekał się niezwykłego tryumfu.

Zasłużył go sobie, niespolitą odwagą i wzorową wytrwałością. Od 20 lat powoli, mozolnie dobijał się sławy. Kiedy wracał z pierwszej wyprawy afrykańskiej, po odnalezieniu Liwingstona 1871 r. wyjąwszy koła fachowe, nikt nie zwracał na niego uwagi. „W nagrodę za wszystkie mozoly — powiedział sam później — traktowano mnie jako szarlatana, opis mój nazwano romanssem, dowodzone nawet, że nie spotkałem się z Liwingstonem! Gdy wracał z drugiej wyprawy 1876—77 po odkryciu Kongo, przybijając do Europy spotkał wysłańca króla Leopolda i zdumiał nawet z powodu tego zaszczytu. Tym razem raczono uwierzyć w trzecią lub czwartą część tego, co opowiadał, i nie traktowano go już jako szarlatana. Trzecia wyprawa (1879—1889) miała na celu, założenie stacyi nad Kongo; za powrotem, został zaproszony jako doradca na konferencyą berlińską, która utworzyła wolne państwo Kongo. Teraz wraca jako tryumfator i gdyby w Londynie był kapitol, wprowadzonoby go tam, aby uwieńczyć skroń jego koroną z wawrzynu. Tłómaczy się to po części dawniejszą zasługą, po części strasznymi trudnościami, jakie na tej ostatniej wyprawie przezwyciężył, przedewszystkiem zaś tem, że szlachetna myśl (dszukania odciętego od świata i otoczonego wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwami gubernatora prowincyi równikowej, zasługuje na najżywszą sympatyę. Z tego względu pewien dziennik belgijski, podniósłszy, że król Leopold nazwał Stanleya „swym przyjacielem“, słusznie zauważa: „Il mérite d'être l'ami des rois et celui de tous les gens de coeur“.

Wreszcie zapał, jaki powrót Stanleya z ostatniej wyprawy obudził, jeżeli nie w całej Europie, to przynajmniej w niektórych wielkich krajach, tłómaczy się i tem, że w ciągu tych 20 lat, po części dzięki sławnym wyprawom jego, sprawy afrykańskie stały się stanowczo na porządku dziennym, przestały zajmować wyłącznie koła uczonych specjalistów, a mocno zaciekawiły ogół przynajmniej w Anglii, Niemczech i we Włoszech, we Francyi o tyle, że tam każdy nowy zakres Stanleya, który coraz więcej okazuje się w czynach tém, czem Verne jest tylko w słowach i wyobraźni, wywołuje uczucia i słowa brzydkiej zazdrości. Wogóle jednak sprawy afrykańskie dziś znowu obudzają niemal tyle ciekawości powszechniej,



jak w owych czasach, gdy senatorzy rzymscy witali się zapytaniem: „Quid novi ex Africa“?

Nieznudzony Anglo-Amerykanin o nerwach żelaznych nie zamysła zresztą odpoczywać długo po ostatniej bohaterskiej przeprawie. Kiedy 8 grudnia w porcie Zancybaru na pancerniku angielskim „Turquoise“, po nabożeństwie, majtkowie otoczyli Stanleya, wołając „niech żyje“ przemówił do nich:

„Płaszcz Liwingstona spadł na moje barki. Dzieło moje dopiero się rozpoczęło. Całe moje życie poświęcam jego dokonaniu“.

Świeżo listy Stanleya z ostatniej wyprawy wydał w Londynie p. J. Scott Keltie, bibliotekarz królewsko-angielskiego stowarzyszenia geograficznego. Równocześnie ich wydanie niewielkie wyszło w Lipsku u Brockhauusa pod tytułem: „Stanley's Briefe ueber Emin Pascha's Befreiung“ (1890). Są to te same listy, na których oparliśmy powyższy opis ostatniej wyprawy Stanleya. — W Brukseli p. Wauters, naczelny redaktor czasopisma „Mouvement géographique“, wydał pod tytułem „Stanley an secours d'Emin pacha“ fantastyczny, ale bardzo ciekawy opis tej podróży.

Wiedeń, w styczniu r. 1890-go.

# Najstarszy dom poprawy w Warszawie.

P R Z E Z

Ś. Ś.

Znacznie wcześniej aniżeli w innych miastach Europy, bo przed 1733 r. powstał w Warszawie staraniem i kosztem Ks. Adama Rostkowskiego, biskupa filadelfijskiego, sufragana łuckiego, archidyakona dobrzyńskiego, proboszcza kapituł warszawskiej i pułtuskiej—dom poprawy ludzi moralnie upadłych obojęd płci. O tym domu jest wzmianka w starożytnościach m. Warszawy Wajnerta, bliższych wszakże szczegółów o tym zakładzie, ani w tém dziele, ani w innych nie spotkałem <sup>1)</sup>. O założycielu jego wiemy, iż rozdził się w 1650 r., umarł zaś w 1738 r.; w późnym bardzo wieku i w parę lat po erekcyi domu poprawy. Kształcił się w Akademii krakowskiej i odznaczał się cnotą i nauką, kiedy w r. 1695 wybrany był deputatem na Trybunał koronny i dostał tak wysokich i zyskowych godności duchownych. Z dzieł jego F. M. Sobieszczański podaje między innemi: „O elekcyi królów polskich“ (Warsz. 1733.) i „*Clypeus cleri poloni contra tela fori saecularis*“ (Warsz. 1728) tj. tarcza duchowienstwa polskiego przeciwko pociskom zwierzchności świeckiej.

Przy przypadkiem znalazłem w posiadaniu prywatném autentyczne przywileje erekcyi tego domu, na pergaminie pisane, z trzema pieczęciami woskowemi w puszkach: jeden króla Augusta III-go z d. 24 Stycznia 1736 r. z własnoręcznym podpisem króla i Kazimierza Młockiego, stolnika wyszogrodzkiego, sekretarza większej pieczęci, w łacińskim języku, wydany z wzmianką o zaświadczaniu go przez Konstytucyą sejmu pacificationis, 1736 r. pod tytułem: „*domus correctionis*“, (Vol. legg. wyd. Ohryzki t. VI; str. 326) i drugi ks. biskupa Rostkowskiego z 15 Stycznia 1736 r.

---

<sup>1)</sup> F. M. Sobieszczański w „Encyklop. powsz. S. Orgelbranda“. T. 22. str. 342.



po polsku pisany z aprobatą ks. biskupa Andrzeja Załuskiego, kanclerza. Obok tych przywilejów są i inne akta, domu poprawy dotyczące. Zbyt wiele zajęłoby miejsca podanie całej osnowy tych przywilejów, ograniczam się zatem na podaniu ich treści.

Owóz w akcie nadawczym ks. biskup wyjaśnia cel instytucji, a mianowicie: że rodzice, panowie „i inni przełożeni, mając dzieci swe, poddane, czeladkę—złych, krnąbrnych, swawolnych, zalotnych, niewiernych, pijanice, próżniaków, także i mężowie złe żony, których w domu ukarać i naprawić nie mogą, radziby jakiemu miejscu, żeby ich tam na naprawę zadali... Także i sędziowie, mając hultajów, niespokojnych, ludziom się naprzykrzających, *tranquillitatem publicam* mieszących, których nie mogąc wedle prawa na śmierć skazać, życzyli podobnego miejsca na ukaranie i poskromienie onych. Więc że na to wszystko bardzo skuteczne podają sposoby *cuchthauzy* (*domus correctionis*), to jest domy umyślnie na ukaranie i poprawę złych wystawione, jako są w Gdańsku, w Warmiey i po cudzych krajach, w każdym prawie mieście, które takowych ludzi złe akcyje i nalogi mających, w dobrych, poczciwych, skromnych, spokojnych, posłusznych i prawie z wilków w baranki przemieniać zwykły, gdy tam przez niejaki czas zabawili się z wielką pociechą i tych, którzy tam ich byli zadali, i onych samych, kiedy się obaczyli lepszymi i przez to łaskę, poszanowanie i respekta ludzi mającymi“.

Główném przeto zadaniem owego *cuchthauzu* było poskromienie i poprawa swywolnych: — aby z wilków stali się barankami i odzyskali szacunek ludzki: zadanie, które dziś i ekonomistów i prawników zajmuje, nad którego rozwiązaniem pracują i kongresy penitencyarne i rządy. Dla osiągnięcia tego celu ks. biskup następujące wskazuje sposoby: „plagi na wstępie i potem, gdy trzeba dyscypliny, zadając je sobie, dyby, kajdany, szczupły i gruby wikt, zimno, w ciemności jaki czas siedzieć, z nikim niegadać“, (system odosobnienia i milczenia w Stanach Zjednoczonych, w Pensylwanii następnie wprowadzony). Zastosowanie tych sposobów pozostawione jest dyrektorowi, według rozsądku swego i proporcji ludzi i występków ich gdyż, „justa ira mater est disciplina, ubi rigor, ibi vigor“, głaskać złych, jest to *dementia non clementia*. Jednak żeby i poprawa była pewniejsza i kary nie były tak gorzkie, zaleca fundator „osładzać je nabożeństwem, dla tego modlitwy poranne i wieczorne odprawiać, litanie i pieśni nabożne, według opisanja osobnego, śpiewać, czytać z książki pobożnej przez godzinę codzienną, a Mszy ś-tój w niedzielę i święta, katechizmu i kazania słuchać raz na miesiąc spowiadać się i do stołu Bożego przystępować“. Wzbronioném jest: odwiedzanie aresztantów, jako ten dom nie jest więzienie, nawiedzenia potrzebujące i aresztanci nie są więźniowie, ten dom jest szkołą dobrych obyczajów i postępków i oni są uczniowie, nie potrzebujący innych nauczycielów okrom

tych, którzy są podani, t. j. dyrektora i kapelana z zgromadzenia Ks. Franciszkanów, który jedynie mógł słuchać spowiedzi aresztantów, z wyłączeniem innych duchownych“. Dyrektor „miał wikt rozrządzać, roboty, pokuty naznaczać i doglądać aresztantów, żeby pilnie i dobrze odprawiali, żeby z sobą i z nikim nie gadali, leniwych i krnąbrnych karać, jednem słowem starać się i przestrzegać, żeby i on sam i posługacze i aresztanci tak wszystko czynili, jako fundator postanowił i jeszcze postanowić może, ale chorych na jakąkolwiek chorobę, ani szalonych nie może przyjmować do tego domu“. Do pomocy dyrektor miał przeznaczyć, oprócz kapelana, najmniej dwóch ludzi z mode-runkiem żołnierskim, gospodarza i kucharkę. Z powodu uwolnienia tego zakładu przez króla od wszelkich jurysdykcji, wyjąwszy w sprawach duchownych i głównych oraz dotyczących własności gruntu — jurysdykcya i dozór nad nim zlecony został gwardyanowi Franciszkanów konwentu warszawskiego i bractwa ś-go Benona, które do tego obierało przysięgłego brata. Gwardyan zatem z tym bratem mieli obowiązek przynajmniej 2 razy do roku wizytować cuchthaus. „W razie dostrzeżenia jakowego defektu dyrektora napominać i napomnienie w książkę cuchthauzową wpisywać, a gdyby to nie skutkowało połowę pensyi mu aresztować i na inne potrzeby zachować. Gdyby się jednak nie poprawił, wizytatorowie za przybraniem jednego zakonnika i jednego członka z bractwa ś-go Benona — powinni dyrektora z urzędu złożyć, po odebraniu od niego rachunków i inwentarza, — nowego dyrektora większością głosów obrać z nacyi niemieckiej, francuzkiej, włoskiej, albo z bractwa ś-go Benona, albo kogo inszego z mieszczan, sposobnego do téj funkcji“. Widać, że fundator do krajowców nie miał zaufania i nie upatrywał w nich odpowiednich zdolności do tego urzędu — skoro pierwszeństwo dawał wyraźnie cudzoziemcom, wymieniając swoich na ostatku. Uważał również urząd ten za niegodny stanu szlacheckiego, kiedy o szlachcie nie wspominał tylko o mieszczanach, z których zapewne i bractwo ś-go Benona złożonem było. Dlaczego właśnie to bractwo, składające się głównie z Niemców, a nie inne wybranem zostało do opieki nad zakładem — i jakiego były statuta, dla braku odpowiednich materyałów pod ręką wyjaśnić nie umiem. W razie ciężkich jakich trudności fundator zaleca wizytorom udawać się do króla przez pieczętarza duchownego (podkanclerzego), którego biskup uprasza aby téj fundacyi osobliwym był protektorem. Na utrzymanie domu poprawy i jego oficyalistów, ks. Rostkowski przeznaczył prowizyą od sumy 24000 zł., którą odebrał z dóbr Wołczyńce na Podlasiu od Stanisława ks. Poniatowskiego (ojca późniejszego króla Stanisława Augusta), w 1737 r., a następnie na dobrach Kaleń w ziemi warszawskiej zabezpieczył aktem z d. 7 Września 1737 r., jakto widać z dołączonej do przywileju kopii dokumentu. Sumę powyższą wszakże dozwolił spłacić



z tych dóbr i na innych umieścić, za zgodą jednak dyrektora i wizytatora Z tej prowizyi dość wysokięj, bo 7<sup>o</sup>/<sub>o</sub> czyli 1680 zł. wynoszącej, kapelan dostawał 200 zł.; ostatek zaś dla siebie i na posługawców oraz na inne potrzeby cuchthauzu dyrektor miał otrzymywać. Na wikt więźniów powinni byli płacić ci, co ich oddawali, najmnieję po trzy grosze dziennie. Czas zamknięcia nie mógł dwóch lat przenosić i przy oddawaniu aresztanta musiał być określonym, — a przed upływem oznaczonego terminu dyrektor nie miał prawa aresztanta wypuszczać. — (Prawdopodobnie jednak skrócenie terminu osadzenia nastąpić mogło za wolą osoby unieszczającej aresztanta). Obowiązany był wreszcie dyrektor traktować aresztanta tak jako będzie deklarował ten, co go tam dał — a jeśliby ten żadnego nie uczynił postanowienia, to podług rozumienia swego ma się z nim obchodzić. Sposób zatem utrzymania więźnia, jego żywienia, obejscia się z nim, zależał od osoby pozbawiającej go wolności, a w braku postanowienia w tym względzie od dyrektora. Różnie zatem z owemi aresztantami (stosownie do ich stanu, wieku, płci i rodzaju winy) obchodzić się musiano, jak to i w samym przywileju przewidziano. Zakład ten mieścił się w domu, wymurowanym kosztem ks. Rostkowskiego na Nalewkach, na gruncie, darowanym przez Krystynę z Wołczyńskich Szymanowską, starościnę Wyszogrodzką i jej synów (na ulicy Pokornej dzisiejszej). Grunt ten, jak świadczą dołączone do przywileju kopie aktów, darowany był w 1698 r. przez Jana Wołczyńskiego, stolnika mielnickiego, pisarza skarbowego J. K. Mosci i małżonkę jego Cecylią, kongregacyi Ks. Dominikanów s-go Ludwika Bertranda, (tak zwani Obserwanci), z tém wszakże zastrzeżeniem, iż jeżeliby ks. ks. Dominikanie z tego gruntu korzystać nie chcieli, grunt ma wracać do Wołczyńskich. Gdy zatem Dominikanie na gruncie tym klasztoru ani żadnego budynku nie wystawili, córka Wołczyńskich, Krystyna Szymanowska, grunt rzeczony przeznaczyła na dom poprawy ks. Rostkowskiego, aktem z d. 23 Kwietnia 1733 r. pod warunkiem jedynie, aby co Niedziela za jej życia, na jej intencyą, i po śmierci za duszę jej i rodziców jej, kapelan zakładu Mszę s-tą odprawiał, aresztanci zaś, aby co Niedzielę i Święta pomszy, wszyscy razem głośno po pięć pacierzy odmawiali i, upadłszy krzyżem, po trzy razy: Święty Boże! śpiewali. W akcie tym Szymanowska pochwała pobożną intencyą fundatora i przynaję: „że na poprawę złych ludzi nie ma skuteczniejszego sposobu, jako ta szkoła, która, wykorzeniając wszelkie występki i grzechowe nałogi, przynosi Panu Bogu chwałę i pociechę, i dobru pospolitemu pokój, sławę i dobre przykłady i t. d.“. Akt ten prywatny przez też starościnę i syna jej Macieja, starostę wyszogrodzkiego, w urzędzie wójtowskim Staręj Warszawy urzędownie 27 Czerwca 1736 r. potwierdzony został. Obok cuchthauzu, na części tegoż gruntu,



Antoni Szembek, biskup kujawski, założył dom sierot dla ćwiczeń w różnych kunsztach roboczych, i oddał pod dozór bractwa ś-go Benona; ks. Rostkowski przeto w swoim akcie wyraża życzenie, aby dyrektor cuchthauzu, jeśliby nim był jeden z tegoż bractwa, był jednocześnie zarządcą (prowizorem) i domu sierot, z tém jednak zastrzeżeniem, aby przychody jednej instytucyi nie były obracane na potrzeby drugiej. " W każdym razie zaleca dyrektorowi, aby domowi sierocemu żadnej nie czynił przykrości, owszem według możności dopomagał i siali (nad celami cuchthauzu) sierotom i majstrom ich do roboty nie bronił — a i warzywa z ogrodu sierotom udzielał. W końcu przywileju zastrzega fundator: „iż póki mu dobroć Boska użyczy zdrowia i życia na tym świecie, zostawuje sobie zupełną moc do rządów i wszelkiej dyspozycyi cuchthauzu, nie dozwalając żadną miarą, aby ktokolwiek wdawać bez jego *consensu*. Nie długo wszakże cieszył się biskup swoją fundacją, bo w parę lat później życie zakończył. W przywileju, potwierdzającym akt nadawczy, w 9 dni po jego dacie wydanym, król August III, uznając gorliwość fundatora w wykorzenieniu występków i staraniu się o poprawę i przyprowadzenie do dobrych obyczajów i poczciwego życia ludzi złych, skażonych, przewrotnych, zepsutych, rozpustnych i krnąbrnych jakiejśbądź płci, stanu i kondycyi, dzieło to pobożne i wielce dla ogółu korzystne (*pium et bono publico perutile opus*), bierze pod swoją opiekę królewską, ustawy zatwierdza i takiemiz przywilejami, prawami, jakie podobnemu domowi w Gdańsku przez poprzednich królów nadane były, obdarza. Przy czém wyrażnie nadmienienia, iż dom ten nie jest więzieniem, zniesławiającóm (*carcer inducens infamiam*), ale domem uczciwym, poprawczym, (*honesti, disciplinaria*) i że wszyscy, którzy w nim poprawieni zostali lub poprawieni będą — żadnej ztąd niesławie podpadać nie będą — i za godnych do wszelkich obowiązków i urzędów uważanymi być mają. " Nadto dom rzeczony i wszystkich jego mieszkańców, od wszelkiej jurysdykcyi, krom ustanowionój w akcie nadawczym uwolnił. W przywileju tym królewskim jest jeszcze wzmianka, iż z domu tego wielu już wyszło poprawionych (*ex quo jam plures emmendati in melius prodierunt*). Z czego wnosić należy, iż w domu tym zanim akt nadawczy wydany i przez króla potwierdzony został — pomieszczani już byli poprawy potrzebujący. W każdym razie, w dacie donacyi przez Szymanowską 23 Kwietnia 1734 r., zakład ten jeszcze nie istniał, jak treść tego aktu wskazuje — a suma 24000 zł., od której prowizya na utrzymanie dyrektora i służby przeznaczoną została, dopiero w r. 1735 z Woleczyna podniesioną była, chociaż znowu przy protokołach komisarskich z r. 1745, o których zaraz dyrektor cuchthauzu żądał zaległój pensyi za lat 13 czyli od r. 1732, — wcześniejszy rok fundacyi przyjąwszy należało.

Pierwszym dyrektorem cuchthauzu był Karol *Ryhowey*, także *Rywo*, i *Rywoe*, raz honestus, później zaś nobilis nazywany, jak o tém intromissye jego, jako dyrektora tego zakładu, do dóbr Kaleń w r. 1735 i protokołów rewizyi komisarzy królewskich z r. 1745 przekonywają. Rewizyi tych dopełniali komisarze królewscy: Marcin Załuski, sufragan płocki i pisarz koronny, Jan Chryzostom Krajewski, podstoli ciechanowski, Franciszek Wołyński, na skutek skargi do króla przeciwko temu dyrektorowi *Rywoe* o zniszczenie dóbr i złą administracją przez seniora bractwa ś-go Benona i wizytatora cuchthauzu, Augustyna Wymiento (?), zanesionój. Ciż komisarze królewscy wobec wyżej wymienionego wizytatora i gwardyana Franciszkanów, ks. Stanisława Kaszubskiego, dopełnili obejrzenia zakładu i dóbr Kaleń, budynków, inwentarzy, przeglądali rejestra przychodów i wydatków, badali służbę, odebrali przysięgę od dyrektora i w końcu nader przychylną dlań wydali decyzją. — Protokół ten, jakkolwiek żadnych prawie nie obejmuje szczegółów — a tylko streszcza rezultat rewizyi — nie osobiłwie rzuca światło na całe gospodarstwo zakładu. Dobra Kaleń nie były w stanie, jak to komisarze stwierdzają, płacić ustanowionėj prowizyi i dla tego, prawdopodobnie za zgodą właścicieli, oddane zostały w zarząd dyrektora cuchthauzu, a jakkolwiek ten i dodatkowe budynki wystawił i inwentarze wprowadził, przychody z dóbr nie wystarczały na opłatę jego i służby, skoro upominał się o zaległą za lat 13 swoją pensją w ilości 100 tal. rocznie, oraz o pensją kapelana za takiż przeciąg czasu, w kwocie 200 zł. rocznie. Wskutek tego komisarze wraz z wizytatorami postanowili: „sumę ciężącą, dobra do 30,000 zł. podniesioną odebrać, albo dobra sprzedać i sumę na innych dobrach umieścić. Coby wyżej nad takową sumę 30,000 zł. osiągniętém być mogło, za melyoracye w dobrach przyznać. małżonkom *Rywoe* w zamian za ich pretensye jako usprawiedliwione, jako też za przychówek z inwentarza i stadniny“. Jeżeliby wypłata sumy lub sprzedaż dóbr Kaleń nie nastąpiła, dyrektora *Rywoe* przy dalszym zarządzie domu poprawy i dóbr, dopóki żyć będzie, bez obowiązku zdawania jakichbądź rachunków utrzymać, w razie jego śmierci wdowę jego w dożywotniém użytkowaniu wystawionych przez nią budynków zachować i płacić jej dożywotniėj pensyi 300 zł. rocznie. W zamian tego małżonkowie *Rywoe* w swoim i swoich następców imieniu, zrzekli się wszelkich pretensyi za budowle przez nich wystawione, jako też z innego źródła im przyznane, bądź w przyszłości wyniknąć mogące, zastrzegając jedynie własność ruchomości swoich“. To wszystko niby nastąpić miało dla zapewnienia istnienia zakładu i na większą korzyść onego. Nadto „od umieszczanych w zakładzie osób oprócz zwykłej opłaty za żywność, ustanowioną została jeszcze na korzyść cuchthauzu osobna opłata: dwa talary od osoby, z których jeden miał być opłacany przy wjeźdciu do domu, a dru-



gi przy wypuszczeniu. O sposobie prowadzenia zakładu, o ilości pomieszczanych w nim osób, w protokołach komisji nie ma żadnej wiadomości. — Podług ustawy nadawczej, dyrektor cuchthauzu obowiązany był prowadzić ksiązkę, w której miał zapisywać imię i nazwisko, wiek i stan areштanta; przez kogo za jaką winę i na jak długi czas oddany, jak niemniej sumę na wyżywienie przeznaczoną. Książki takie mogłyby rzucić światło na wewnętrzne dzieje zakładu, ale nie wiadomo, gdzieby ich szukać, czy w archiwach Ks. Franciszkanów, czy w b. komisji Spraw Wewn. lub Sprawiedliwości.

Kiedy on zwinięty został, czy zamieniony w istniejący później przy klasztorze Franciszkanów dom *kary i poprawy*, — co się stało z funduszami zakładu, i dobrami Kaleń, — które dziś w ręku prywatnem pozostają — po upływie półtorasta lat od założenia cuchthauzu — i po tylu zmianach, które kraj przechodził, odpowiedzieć trudno. Może kto inny szczęśliwszym będzie i podejmie się tego zadania.. Skorzystałem tylko z przypadku, który podał mi w ręce przytoczone dokumenta, — aby wskazać na zasługę światłego filantropa, który prawdziwem miłosierdziem powodowany chciał dźwignąć moralnie podupadłych i wrócić ich społeczeństwu odrodzonych. Może nie wszystkie sposoby wskazane przez ks. Rostkowskiego odpowiadają dzisiejszym pojęciom o poprawie przestępców; na plagi, dyscypliny zgodzić się trudno; ale niedawno jeszcze w wielu kodeksach kara ciężkiego więzienia obostrzoną była chłostą. Zato odosobnienie, milczenie, towarzyszące karze zamknięcia, roboty przymusowe — zaledwie w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia w systemat karny wprowadzone zostały. Nie określił bliżej fundator obowiązków dyrektora, któremu prowadzenie zakładu powierzył, pozostawiając jego uznaniu opiekę i zarząd nad areштantami. Chciał im zapewnić pomoc religijną w osobie kapelana, którego tém więcej zespolicz pragnął z zakładem, że nawet do spowiedzi wstępu do zakładu innym kapłanom, prócz gwardyana, będącego wizytatorem, zabronił. Ale i dzisiaj żadne instrukcje więzienne celu nie osiągną, jeżeli ten urzędnik, co je ma spełniać, nie pojmuje swojego obowiązku i odpowiednio do niego przygotowanym i wykształconym nie jest. Wreszcie, cuchthauz nie był domem kary a domem poprawy, jakto wyraźnie i dobitnie w przywileju królewskim zaznaczone; — nie piętnował on znaczeniem hanby swoich wychowanców — nie więźniów i nie pozbawiał ich możności i godności służby publicznej.

Czy myśl ks. Rostkowskiego udala się — zwłaszcza w ówczesnem społeczeństwie, czy była nawet praktyczną, to inna rzecz — niestety powtarzam, nie mam faktycznych danych, aby dokładnie na te pytania odpowiedzieć. Zadaję sobie wszakże pytanie: kto mógł być pomieszczonym w zakładzie, i jakim spo-



sobem razem tam wychowywali i niewierne żony, i krnąbrnych i rozpustnych synów, i swywołnych hultajów. Dla kobiet zwykłym miejscem zamknięcia bywał klasztor, zwyczajnych przestępców osadzano w więzieniach, a nie było odpowiednich funduszków, żeby ich umieszczać w domu poprawy; tam więc chyba tylko zdrożnych młodzieńców przez ojców lub opiekunów, płacących na ich wikt, zamknięto, a tych znowu w Warszawie i jej okolicach tak wiele nie bywało, trudno bowiem przypuszczać, aby ich z odległych przywożono prowincyi, ze względu na trudność i kosztą samęj podróży. Zapewne przeto zakład okazał się mniej praktycznym, i dla braku kandydatów do osadzenia w nim, zwłaszcza w ostatnich burzliwych czasach Rpltéj, zwiniętym być musiał, lub zamienionym na zwykłe więzienie wbrew przewodniej myśli fundatora.

---

# WZMIANKA O BIBLIOTECE

Ś. P. JULIANA BIERGIELA,

*pastora w Słucku.*

Podał

*Aleksander Jelski.*

---

## II <sup>1)</sup>.

Biblioteka J. Biergielz. — Szkoły słuckie. — Leopold Wannowski. — Fara słucka. — Hieronim ks. Radziwiłł. — Ks. Stanisław Szantyr, eks-jezuita.

Czcigodny pastor Biergiel, właściciel cennego nader zbioru dawnych a rzadkich dzieł, z niezwykłą uprzejmością pokazał mi te skarby, zachowane w szafach wmurowanych w ścianach kruchy kościoła ewangelickiego. Przez kilka godzin z rzędu oko się moje lubowało widokiem starych białych kruków ojczystego piśmiennictwa, a wrażenie to ten tylko zrozumie, kto ma sam usposobienie szperacza i pracował w bibliotekach z zamiłowaniem. Co tu mówić o zbiorach pastora Biergiela, kiedy się nie można nadziwić, jak, gdzie i kiedy pojedynczy człowiek mógł wynaleźć tyle bibliograficznych osobliwości. Druki lubczańskie, rakowskie, toruńskie, słuckie, nieświezkie, ostrogskie, brzeskie, zabłudowskie, jewskie, upitskie, supraslskie, knszyńskie, łuckie, mińskie, wileńskie, kiejdańskie, poczajewskie i inne napełniają pułki kilku szaf, a musi być tego tomów około tysiąca. Jakiż skutek wspaniały nie głośniejszej pracy ks. Biergiela? — To też w ostatnich czasach wiadomość o niej stała się powszechną w świecie uczonym, a wdzięczność za to zapisana na wieczne czasy w VIII t. pomnikowej bibliografii Estrejchera (ob. przed-

---

<sup>1)</sup> Dokończenie. Zob. Zesz. na micę, Styczeń r. b.

nowę str. IV). Nie mniej o zbiorach ks. Biergiela podał nieco szczegółów Pan „Józef Korwin“ w Nr. 314 „Tygodnika ilustrowanego“ za rok 1881, więc do tych pism odsyłamy czytelnika, dodając, że oprócz druków, biblioteka p. B. zawiera kilka ciekawych rękopisów. I tak: oglądaliśmy A k t a S y n o d a l n e wyznania helweckiego prowincyi litewskiej od roku 1544 do 1560, pisane po łacinie, a odtąd po polsku, ręką sławnych ministrów Sylwiusa i Węgierskiego.

Są tu także akta magistratu słuckiego z czasów oblężenia miasta przez Trubeckiego w r. 1655, jak niemniej pamiętnik, dotyczący smutnej sprawy spalenia Kazimierza Łyszczyńskiego za mniemany ateizm, w czasie panowania Jana III. Rękopis około r. 1848 został wynaleziony (podobno gdzieś w archiwum domowem wgubernii grodzieńskiej) przez nauczyciela słuckiego, pana Warakomskiego, przez niego też skopijowany i doręczony ś. p. ks. Lipińskiemu, znanemu z zacności superintendentowi w Wilnie, po którego śmierci odszukany znowu w papierach ks. L. przez księdza Głowackiego, dostał się wreszcie do zbiorów ks. Biergiela. Nietylkośmy przeglądali tę pamiętkę, lecz mieliśmy ją dość długo w swej pracowni <sup>1)</sup> i wyznać musimy, że wydaje się nam arcyważnym materiałem do wyświecenia tej zawiłej i brzydkiej sprawy w dziejach naszych. Moznaby lekkomyślnie pomówić ten utwór o apokryf, lecz głębiej roztrząsając treść jego, przychodzi się do przekonania, że chybabyśmy zarzucili językowi, nie wszędzie w wyrażeniach odpowiadającemu pisowni czasu, ale jak mnie objaśnił ks. B. przepisywacz, p. Warakomski, *proprio motu* wykreślił dużo makaronizmów i archaizmów, tłómacząc je polszczyzną naszą, dla lepszego rzeczy zrozumienia. Nim ten pamiętnik ujrzy światło dzienne, zaznaczamy, iż całą intrygę autor, teść Łyszczyńskiego, przypisuje Jezuitom w związku z głośnym Stanisławem Witwickim, biskupem poznańskim, którego ciemne sprawy i nawet rozpusztę przedmówny (i przytem jurysta) Łyszczyński wyjawiał publicznie, przez co naraził się zakonowi i dygnitarzowi kościoła; zresztą kwestya majątkowa również tu zamieszana jako precedens do zajścia z duchowieństwem. Przypomnijmy, iż współczesny biskup Załuski zostawił fatalne świadectwa o osobie Witwickiego, mianując go chciwym i nieobyczajnym; z drugiej strony dokumenta w sprawie Łyszczyńskiego, drukowane w V-ym oddziale źródeł do dziejów Polski Malinowskiego za rok 1844, zupełnie inaczej ją przedstawiają; gdy znowu uczony Jaroszewicz w III-cim tomie „Obrazu Litwy“ powiada, iż prawdopodobnie Łyszczyński stał się ofiarą intryg Jezuitów, z powodu, iż zakon ich lekkomyślnie porzucił (ob. str. 204—205). Są nadto o Łyszczyńskim monografie cudzoziemców i naszych autorów rozmaicie rzecz traktujące; lecz skoro wiadomo, że Papież Innocenty XI przyznał niewinność Łyszczyńskiego, przeto w tak

1) Posiadamy dziś w zbiorze swoim dokładną kopią tego rękopisu.



ciemnej i nierozwikłanej sprawie, sumienna krytyka tylko przez porównanie źródeł mogłaby dociec prawdy, jakoż w każdym razie ogłoszenie w cieniu zostającego materiału w imię zasady bezstronności, byłoby rzeczą pożądaną dla historycznej literatury ojczyznnej.

Po obejrzeniu biblioteki w kruchcie, zwiedziliśmy i samą świątynię, odznaczającą się wielką prostotą i schludnością. Na ołtarzu leży przepyszny, bogato oprawny egzemplarz Biblii brzeskiej, prawdziwa rzadkość bibliograficzna, bo ją wytępiano ogniem. Srebra kościelne zasługują na uwagę pod względem pamiątkowym, gdyż kalwini słuccy egzystujący tu od czasów Olelków, doświadczeni w wieku XVII opieki Radziwiłłów dyssydentów, a później względów magnackich Falcgrafów Reńskich, książąt Nowoburskich, którzy pomagali ich kościołowi, zakładali drukarnie i instytucje dobroczynne. Zbor dawny drewniany powstał w r. 1617 przez fundacyą Janusza Radziwiłła owego męża nieszczęsnej Zofii, i ten już nie istnieje. Terazniejsza świątynia jest budowlą bieżącego wieku w stylu nowogotycko-romańskim, posiada nie złe organy, nabożeństwo zaś odbywa się według starodawnego porządku, przykładowie w języku polskim, więc nie tylko protestanci, ale nie rzadko i katolicy, w braku świątyni swojego wyznania, uczęszczają tu na chwałę Bożą. Zwracając się ku lewej stronie, spostrzegamy wmurowaną w ścianę czarną marmurową tablicę i ze czią wyczytaliśmy na niej nazwisko człowieka, który nie tylko dla Słucka, lecz i dla kraju niezmiernie, chociaż nie głośno, położył zasługi, wychowując kilka pokoleń w zasadach cnoty obywatelskiej w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Jest to skromna pamiątka na cześć ś. p. *Leopolda Wannowskiego*, superintendenta białoruskiego, magistra nauk filozoficznych, rektora szkoły słuckiej, męża rzadkiej nauki i cnót publicznych, wytrawnego pedagoga, prawdziwego ojca młodzieży szkolnej, poety, mówcy i autora. Urodził się ten znakomity obywatel w r. 1798, zmarł w Słucku 1849 r., spoczywa w pobliżu na cmentarzu kalwińskim.

Rzecz niepojęta, dla czego taki pod każdym względem wyjątkowy, zasłużony i niespracowany mąż nie doczekał się dotychczas osobnej monografii w druku i podobna jego rodakom nie znana? <sup>1)</sup>.

Kim był ś. p. Leopold Wannowski dla nauki niech poświadczą jeszcze żyjący wychowawcy jego: Antoni Pietkiewicz (Pług), Aleksander Oskierko, Aleksander Walicki i inni. Na wspomnienie tego męża, łzawo się jakoś robi w sercu, bo jakże nie podobni dzisiejsi pedagodowie do tak potężnego wzoru.

---

<sup>1)</sup> Ks. Biergiel posiadał artystycznie przez Hossego wykonany, portret L. Wannowskiego, który nasze pisma ilustrowane powinnyby reprodukowac.

Szkoła słuckich kalwinów, fundacji radziwiłowskiej z r. 1625, mając charakter zakładu wyższego, posiadała konwikt dla biednych uczniów, piękną bibliotekę, gabinety naukowe, uzdolnionych profesorów; następnie od r. 1827 zamieniona na gimnazjum, nabrawszy charakteru bardziej świeckiego, zakwitła rzetelną nauką pod kierunkiem wzmiankowanego luminarza Wannowskiego i długo jeszcze po jego śmierci żyła tradycją tego męża. Profesorowie: Głowacki, Ceraski, Wagner, Miładowski, Wojnowski, Kuncewicz, Herman Kołysza, Hesse, Karnatowski i wielu innych, aż do roku 1863 byli prawdziwą chlubą zakładu. W roku 1881 mury i place gimnazjalne zostały zakupione na własność rządu i udział gminy kalwińskiej ustał zupełnie.

Była chwila, w której wyznanie helweckie panowało w słuczynie wszechwładnie i ściągало tu najznakomtszych swych ministrów jak: braci Budnych i innych. Protegowane przez Janusza i podtrzymywane przez syna jego, Bogusława Radziwiłła, następnie dziesiątkowane w najkrytyczniejszej chwili prozelitycznej gorliwości radziwiłowskiej, po rewokacyi księcia „Sierotki“, za ledwie się ostało w samym Słucku. Kalwini łatwo mogli się tu utwierdzić, bo chociaż sławna słucka fara katolicka została założoną w r. 1419 przez Michała Jagiellowicz, syna Zygmunta W. X. L. i szerzyła wyznanie łacińskie, wyrobił się tu jednak grunt niejako neutralny dla wyznań, dzięki wysokiej tolerancyi książąt Olelkowiczów. Którzy będąc greckiej wiary i nie wdając się w propagandę, protegowali inne kulty, następnie zaś potężne ramie dysydenckich Radziwiłłów wspierało reformę całą mocą. Jezuiti, fundowani tu dopiero w r. 1696 przez Czobora Leszczyńskiego, zawziętą rozpoczęli wojnę z kalwinami, a missye ich w Słucku i niedalekim Zamościu robiły dotkliwie szczyrby wśród innowierców.

Odtąd Słuck był świadkiem ciągłych dysput i waśni wyznaniowych; namiętności się wznagały i wreszcie przyczyniły się do smutnej pamięci konfederacyi w r. 1767, na czele której stanął smutnej pamięci Janz Konopnicy Grabowski, generał major wojsk litewskich, człowiek bez żadnych zasad i moralności, chciwy i tolerujący nawet niłostki króla, zwracane do jego żony, Elżbiety z Szydłowskich. Ta hańba ojca nie spada wszakże na potomków, gdyż synowie głośnego wicherzyciela, Paweł i Michał, zaszczytnie służyli krajowi; pierwszy bowiem generał, poległ bohatersko z całym oddziałem na Pradze 1794 r., a drugi, jak chce Niemcewicz, syn króla Stanisława Augusta, w stopiu też generała brygady, dokazując cudów mężstwa, zginął w 1812 r. pod Smoleńskiem. Synowie więc rehabilitowali godnie brudne sprawy ojca.

Oprócz fatalnej konfederacyi w r. 1767, wywołanej szeregiem niepolitycznych postępów antagonistów tolerancyi, żadna plama nie ciąży na desydentach słuckich; byli oni zawsze dobrymi obywatela-

mi kraju; najwybitniejszym zaś przedstawicielem tej zaszczytnej zasady był i ks. Biergiel, któremu miło oddać cześć głośną <sup>1)</sup>).

Teraz zkolei należało zwiedzić przynajmniej miejsce owej słuckiej fary, co to, według utartego przysłowia z czasów polemicznych była starszą od kalwińskiej wiary... Świątynię tę z modrzewia przed pół pięta wiekiem wzniesioną, z powodu starości rozebrano w r. 1852 i na jej miejscu z części drzewa dobrego, zbudowano kaplicę, którą właśnie oglądać chciałem. Nie odważając się dla wielu względów, zgłosić się do miejscowego proboszcza... wolałem trafić do zakrystyana... pokłonić się nogom... Okazało się, iż był nim młody żołnierz urlopowany, rodem z królestwa, niedawno ożeniony z gospodynią proboszcza. Dzięki dobrej woli pana z a k r y s t y a n a dostałem się do wzmiankowanej kaplicy, znajdującój się w pobliżu plebanii w ogrodzie cienistym. „*Tempora mutantur*“, więc anim poznał położenia. Przed trzydziestu parą laty widziałem farę, stojącą na szerokim placu, a teraz gęste w około drzewa jak w lesie. Chcąc mieć nieco pamiątkowego modrzewia ze świątyni, prosiłem zakrystyana o udzielenie mi onego; jakoż natychmiast, uzapasiwszy się w piłę, wlaź na poddasze i tam mi wypiłował spory kłoc z belki; był to dla mnie nabytek ważny. Kaplica z resztek fary, jest budowlą zupełnie prostą, nie wielką; wewnątrz ubogo i pusto i niema nawet stosownego napisu, któryby przekazał przyszłości wiadomość, co ten przybytek oznacza. Jako jedyna pamiątka dawniej świątyni, po środku ceglanej już pogarbionej posadzki, widnieje duża z brunatnego marmuru płyta, opisująca zasługi i zgon w r. 1684, Kazimierza Kłokockiego, chorążego województwa mińskiego, gubernatora księstwa słucko-kopylskiego, benefaktora fary. Pod płytą w sklepach znajdują się groby niektórych rodzin, a między innymi i Kłokockich, którzy istotnie grali tu ważną rolę i odznaczali się fundacyami. Z kaplicy ze zdobytym kłocem modrzewia, ruszyliśmy do niedalekiego pobernardyńskiego kościoła. Fundowali go Oskierkowie około roku 1639. Obszerna dość świątynia z muru nie zaleca się smakiem architektury, a o jej historii nie ma nic godnego do zaznaczenia. Zakonnicy zostali usunięci stąd po roku 1835, a w 1852, gdy zamknięto starą farę, wprowadzone zostało tutaj nabożeństwo parafialne. Obecnie kościół świeci przykrem dla oka zapuszczeniem. Co prawda, od lat paru dziesiątków, wszystkie kościoły nasze wmińszczenie poszwankowały strasznie przez niedbałość rozprzężonego duchowieństwa, które rozmiłowawszy się w synkurze, zrobiło sobie smutną sławę i całą nadzieja w nowym arcy-pasterzu, iż zdoła zaprowadzić jakiś ład na tym szarym końcu swój nieobjętej dyecezyi...

---

1) Ks. Biergiel zmarł w Warszawie pod koniec marca 1885 roku a bibliotekę jego nabył od rodziny za 3,000 r. bukinista Igiel z Krakowa.



Kościół parafialnego mógłbym nie zwiedzać, lecz zwała mnie ciekawość, bom wiedział, że tu przeniesiono z fary wszystkie pamiątki i fanty kościelne, a z niemi i serce sławnego Hieronima Floryana Radziwiłła, podczaszego litewskiego, który wcześniej polecił, aby ciało jego po śmierci złożono w grobach nieświęzskich, serce zaś w farze słuckiej, lubił bowiem potworny, historyczny książę swą słucką stolicę... Zapytany o to serce zakrystyan, odpowiedział, że wie o niem; jakoż po krętych, ciemnych w murze schodach, wstąpiliśmy na lewy duży balkon presbyteryalny i tam wśród kupy bezładnej wszelkiego poszarpanego rupiecia, pyłu, pajęczyn i śmiecia, przewodnik pokazał mi w kacie walające się jakieś metalowe naczynie w kształcie pacyfikału. Wzięłem je do rąk i na stronie głównej wyczytałem napis łaciński, wyrażony skrótami: „*Cor. Hier. Radz. P. S. R. Imp. Vexil. M. D. Lit. Ob. in Alba Dukali D. 17 Mai anno 1760*“. Co oznacza dosłownie: „Serce Hieronima Radziwiłła księcia Świętego Rzymskiego Imperium, Podczaszego Wielkiego księstwa Litewskiego, zmarłego w Białej książęcej dnia 17 maja 1760 r.“ Blacha na stronie odwrotnej, zapewne przez ciekawość czyjaś, była oddartą i ze środka metalicznej puszki wyglądało naczynie szklanne, czworoboczne w rodzaju puszki, jakie się używają do herbaty, opatrzone niegdyś dużym korkiem opieczętowanym, a teraz do połowy przegryzionym na wskroś przez myszy, które widocznie miały apetyt do specyału schowanego tak starannie. Wyjąwszy z wewnątrz to szklane naczynie, spostrzegłem na dnie onego zeschły, brunatny, zapleśniały, wielkości miernego kartofla, dobrze nadgryziony przez małe czworonogie, przedmiot. Było to serce największego w swoim czasie, najwyuzdańszej pychy i próżności litewskiego pana—wstrętne za życia i teraz... Mój Boże! cóż za marność mniemanej wielkości ludzkiej! Ten człowiek, żyjąc, przerażał bliźnich swą potęgą, a wyniosłość jego i dziwactwa, nie mające granic, czekają jeszcze osobnych studyów i pióra, coby umiało skreślić dosadnie, okropne obrazy na świadectwo prawdziwej historycznej, ku przestrodze potomnych i szczególnie osób obdarzonych fortuną, które mogąc w narodzie odziedziczyć chwałę przez czyny szlachetne, zwykle gubią dar szczęścia w pysze i pochlebstwach; po śmierci zaś wzgarda rodaków—ich pomnikiem!...

Tak sobie rozmyślałem po schillerowsku, trzymając w ręku podjęte z brudnych kątów serce człowieka, przed którym kiedyś truchlało wszystko, co żyło. Nie mało szczegółów o tym istnym dziwotworze podali: Bartoszewicz w „Kalendarzu Ungra“ (za rok 1857, str. 44—50), Kotłubaj w „Galeryi Nieświęzkiej“ (str. 423—431), Kraszewski w „Ateneum“ z r. 1845 (T. VI, str. 174—175) i Marcin Matuszewicz „Pamiętnikarz“ który, należąc do klienteli satrapy, płaszcząc się mu, padając do nóg i układając wiersze okolicznościowe, chociaż wiele przemilczał, jednak w tomie III na stronie 85 daje o nim świadectwo szkaradne.

Urodził się ks. Hieronim w Białej 1715 r. i są dostateczne poszlaki, iż był synem naturalnym mocarza północy Piotra W. Przebiegła bowiem matka ks. Hieronima, kanclerzyna, Anna z Sanguszków, wcale nie zalecając się szkrupułami sumienia i modestą niewieścią, okazywała podobno powolność na względy ówczesnego gościa w kraju. Okropny ks. Hieronim staje na jednej linii z Michałem Brzostowskim, podskarbin litewskim i z Mikołajem Potockim, starostą Kaniowskim, ze Stadnickim „Dyabłem lancuckim“, z Branickim hetmanem „Szaloną pałą“, z Żabą Tadeuszem, wojewodą Połockim, z Krojerami czy Krogierami, Wołodkowiczami i innymi gwałtownikami i tyranami, jakowych pełno miewała Rzeczpospolita, zwłaszcza w dobie „Saturnalij“ szlacheckich, zwiastujących blizką zgubę kraju. Ten którego serce oglądałem, człek duchem mizerny, niskich dziedzicznym i dopuszczał się najbrudniejszych intryg w tym celu. Bziki jego przechodziły w zbrodnicze orgije, jakowe ze spokojem zupełnym wyprawiał. Niczem mu był kraj i władza królewska, bo miał swój kodeks u siebie i pozbawiał ludzi życia przez lada fantazyę. W Słucku i Białej trzymał przeszło 10,000 wojska; tyranizując je w sposób niesłychany. Oficerowie szli na śmierć za najmniejsze przewinienia; wszelkich mniemanych winowajców brano na tortury i wtrącano do lochów na całe życie—jeszcze w r. 1791 widziano w Słucku więź tortur z czasów ks. Hieronima. W tych apartamentach powolnej śmierci męczył się długie lata ks. Marcin Mikołaj Radziwiłł, syn Jana XVII i Doroty z Przebendowskich, sławny ordynat klecki, krajczy litewski, pomieszany na mozaizmie, bo go ks. Hieronim z przyjemnością tu więził, niby dla honoru domu, w gruncie zaś przez nikczemną chciwość, chcąc zagarnąć dochody z dóbr kleckich. Ten ks. Marcin istotnie mógł zasługiwać na kuratelę, lecz znęcanie się nad nieszczęśliwym krewnym, okrywa wieczną hańbą bezecnego podczaszego i wzbudza niejakie współczucie dla dręczzonego dziwaka, który życia dokonał w nędzy 1756 r. Książę podczaszy, wylamawszy się całkiem z pod władzy Rzeczypospolitej i zaniechawszy opłaty podatków na wojsko, jak prawdziwy tyran wysyłał się na okrucieństwa w swém państwie: ściąć lub obwieść kogo dla satysfakcyi czy urazy, nie mu nie znaczyło. Raz gdy najemni Kurlandczycy rang oficerskich, za jakieś uchybienia przewidując swą zgubę, zemknęli, tyran rozesłał za nimi przeszło 2000 kozaków, więc dognanych aż w ojczyźnie zbiegów dostawiono na miejsce do Słucka i skarano. Dziki ks., bawiąc się w ostentacye królewskie, i okrucieństwa, bez żadnej ceremonii hańbił szlachtę, nawet zamożną, batogami, a Niezabytowskiego, kasztelana Nowogrodzkiego, senatora Rzeczypospolitej, z dumną przechwalką trzymał na urzędzie marszałka dworu, drogo mu płacąc. Rodaków nie cierpiał, dla tego złożył nawet chorągwo dla niemożności całkiem despotycznego rządzenia wojskiem

krajowem jak swoim i zamyślał o wyniesieniu się na zawsze z ojczyzny, pełen bojaźni, że wszyscy go nienawidzą i czyhają na jego życie:— zwyczajna monomanja tyranów. Kilka razy rzeczywiście miano odkryć zachcianki otrucia księcia, raz strzelano do niego na polowaniu i tylko szczęściem uszedł śmierci. Psiarnia księżęca liczyła tysiące swor i smyczów, łowiectwo roiło się tłumem myśliwców, ale lud poddańczy jęczał w ucisku i gdy wybuchło powstanie włościan w starostwie Krzyczewskim, utrzymanem przez księcia, posłał tam wtedy swego pułkownika Piestrzeckiego z wojskiem, z armatami, który 1,000 bezbronych chłopów wymordował. Poczem książę przybywszy osobiście, pastwił się jeszcze krwawo nad ludem, i całe życie chełpił się z tego bohaterstwa tak dalece, że aż podobno doszło do odlania zagranicą jakiegoś pamiątkowego posągu.

W archiwum swoim posiadam wiele oryginalnych listów ks. Hieronima, z których się okazuje, że sprawa Krzyczewska została wywołaną przez przedajność marszałka książęcego, Tchórzewskiego, i domierzane uciski biednemu poddaństwu przez źle kontrolowanych okrótnych dzierzawców; czemuż więc zemsta księcia wylała się tak wściekle na nieszczęśliwych?... Okropne, zaprawdę, były to czasy, gdy możni na własną rękę dopuszczali się takich summarycznych okrucieństw i zbrodni! Najgorszy syn dla matki, brutalny dla rodzeństwa i dwóch żon, rozwieżły i zabobonny do ostatniego dziwactwa, podlegał jednak swemu spowiednikowi Jezuitcie Riokurowi. Trudno pojąć dziś żyjącym, do jakiego stopnia dochodziły bezwstyd i awanturniczość panów, lecz ekscesa księcia podczaszego, przewyższyły bodaj wszystko, co tylko ohydny umysł i poczarwane serce wykonceptować mogły. Oto naprzykład zachciewa się księciu zabawy w wojnę, buduje tedy w Słowacinku pod Białą zamek obszerny i osadza tam ulubionego swego, z tytułem króla słowacińskiego; następnie zawiera z nim traktaty niby z ościennym jakim monarchą, wreszcie go zaczepia i wypowiada formalną wojnę; wojska niby nieprzyjacielskie staczają bitwę, krew się leje, król słowaciński szturmem zdobyty idzie do niewoli, skazany na śmierć, błaga przebaczenia, przychodzi łaska pańska, więzień powraca do swj stolicy, aby znowu bawić dzikie serce swojego lennika, gdy mu przyjdzie ochota powtórzyć krwawą zabawę na seryo... Wobec takich faktów, mógł się ostać społeczność?!

Polowania księcia były też historyczne, ze względu na wykonywane formalne rzezie nad biednemi stworzeniami. Raz książę wyprawiał takie widowisko warszawiakom pod Wilanowem. W roku zaś 1752 urządzone polowanie w Slucku, na przyjazd królewicza Karola przechodziło wszelkie granice, gdyż mordowano ryczałtem spędzane do zwierzyńca różne dzikie zwierzęta i to miała być zabawa dla ucieszenia serc licznych gości!.. Rezydencya Slucka ks. podczaszego pomimo skąpstwa jego posiadała królewskie wygo-



dy, a balet i opera dawały się każdą razą w czasie urzędowych festynów. Dziś ani śladu tych pałaców, parków, zwierzyńców, bo właśnie na miejscu, gdzie wrzał przepych możnowładcy, szanowny doktor Fronckiewicz posiada swą skromną posiadłość i zarazem piękny ogród własnymi rękami urządzony, po którego ścieżkach chodząc, darmo szukałem coś z wielkości minionej, oprócz wspomnień przykrych. Dodajemy, że książę Hieronim uchodząc za gospodarza przemyślnego wsławił się założeniem w Słucku fabryki tych pasów, które szlachta popuszczała hulając za Sasów... i że miał być otrutym, chociaż doktor nadworny, Sildemenin, exzenterując ciało, jakoby trucizny nie znalazł. Inaczej świadczy Matuszewicz, bo o nadmiernej rozpuście, która lubieżnika o śmierć przyprawiła. (T. III str. 81). Jaki żywot, taka śmierć.— Mogłem zabrać serce podczaszego do zbiorku mego, jako rzecz walającą się w znieważeniu i nikomu nie potrzebną, zwłaszcza, że jednocześnie prawie odnawiano serca: Kollåtaja i Konarskiego lub umieszczano serce Chopina u Ś-go Krzyża; atoli nie pilno mi było korzystać z takiej archeologicznej osobliwości... więc mogą ją znaleźć interesowani w miejscu wskazanem przeze mnie.

Żaliż o takiem schronieniu dla serca swego myślał podczaszy równający się z najwyższymi majestatami? Co za ironia losu! Gdy teraz to serce zapleśniałe, napół zjedzone przez myszy leży w kącie wśród trudnych do opisania brudów. Niech więc pomyślą próżni nad tēm i przekonają się, jakie właściwie skarby ludziom gromadzić należy, iżby nie ginęły marnie razem z ich marnymi zabiegami o nędzną chwałę!... Lecz zauważmy *sine ira et studio*, że pomimo smutnych przykładów w narodzie pokaraniej pychy i dziś nie wielu widzimy możnych, pojmujących cel życia. Umierają tysiące ludzi bogatych, nic zgola nie poświęciwszy na potrzeby społeczne; przed śmiercią dają rozporządzenia, aby ich ciała pogrzebano na dalekiej obczyźnie; jak niegdyś prali bieliznę w Paryżu, tak teraz ztamtąd sprowadzają całe weselne obiady, inni illuminują miasta zagraniczne, inni... nie powiem. Poczekajmy upamiętania według wskazówek „Niezui“.

Wracając do wspomnień o farze Słuckiej wypada nadmienić, że pomimo tradycyi o niej, zachowanej aż w przysłowiu, nigdzie nie ma jej podobizny, chociażby w drzeworycie, lecz my ją posiadamy jedyną, zdjętą z natury artystycznie i myślmy tę akwaelę w odbitce fotograficznej rozpowszechnić na cel dobroczynny; nie mniej, że z pamiętek po Farze znajdują się tabliczki modrzowiowe z naklejonemi drukowanemi kartkami: jedno z roku 1632, rozdawane zamiast żetonów z powodu konsekracyi świątyni przez biskupa Słupskiego; drugie z roku 1838, z powodu pięćdziesięcioletniej rocznicy kapłaństwa sławnego proboszcza słuckiego, eks-jezuity Stanisława Szan-ty r a. Obie te tabliczki stanowią dziś rzadkość archeologiczną.

Skorośmy już nadmienili o Szantyrze, to należy o nim podać obszerniejszą wiadomość, jako o człowieku w swoim rodzaju niepospolitym, który zarówno w dziejach porozbiorowych kościoła jak i Słucka odegrał wybitną rolę.

W roku 1780 pomimo sławnej bulli Klemensa XIV „*Dominus ac Redemptor noster*“, gdy przebiegły polityk, rektor Czerniewicz, wyjednał pozwolenie cesarzowej tudzież biskupa białoruskiego Sistrzencewicza na odkrycie nowicyatu Jezuitów w Połocku, zaczęła się cisnąć do tego zakonu co najzdolniejsza młodzież, między innymi wstąpił do nowicyatu i Szantyr. Syn sędziego ziemskiego powiatu połockiego, młodzieniec pięknej powierzchowności, obdarzony wymową, bardzo bystrym, przebiegłym umysłem, silną wolą, nieugiętym, dumnym i śmiałym charakterem. Jezuici za kordonem, stanowiąc dziwny wyjątek, zawdzięczali tu istnienie swoje tylko niezwykłym okolicznościom, niemogącym wszakże całkiem uspokoić subtelnych sumień.

Starsi i wytrawniejsi w gestykulacjach sofistycznych ojcowie uspakajali wabających się tём, że ponieważ bulla, kasująca ich zakon, nie była w państwie rosyjskiem *prawem* obwieszoną, przeto nic nie wiedząc o niej *tą drogą*, mogą pozostać spokojni, bez zagłębiania się w skrupuły. Trwała taka restrykcya w pojęciach Jezuitów białoruskich do roku 1783, lecz właśnie w tym czasie przejeżdżający do Petersburga nuncyusz *Archetti*, będąc w Olszy i Witebsku, zgromił osobiście zakon za jego nieprawowierność i nieposłuszeństwo stolicy rzymskiej, co też obudziło poczucie koniecznego obowiązku posłuszeństwa i zakonnicy poczęli sumarycznie opuszczać mury klasztorne, rozchodząc się po świecie. Szantyr był w ich liczbie, jak sam powiada „nie mogąc znieść robaka bojaźliwego sumienia“... (!), a wyszedłszy na świeckiego księdza, zdolny i sprytny, szczęśliwie się posuwał wyżej po stopniach hierarchii. Wkrótce widzimy go kanonikiem smoleńskim i mohylewskim, następnie zaś pewne zdarzenie postawiło go jeszcze świetniej.

Wiadomo, że metropolita Sistrzencewicz, podkopany zręczną intrygą sławnego Grubera, następnie generała Jezuitów, straciwszy zaufanie cesarza Pawła, usunięty od wszystkich obowiązków, pędził jakiś czas życie samotne na ustroniu i zaledwo w r. 1801, ułaskowiony przez cesarza Aleksandra, powrócił na stanowisko. Otóż w skutek tego wypadku, nie posiadając się z radości, przed odjazdem do stolicy wyprawił w Mohylewie królewską ucztę. Wtedy to bratowa jego, szaubelanowa, kobieta niepohamowana i brutalna, rządząca domem i osobą metropolity, w obecności zebranych dygnitarzy, zrobiła gorszącą scenę, ubliżającą godności metropolity, i tylko dzięki przytomnemu i taktownemu znalezieniu się Szantyra, koniec awantury wypadł z mniejszym dyshonorem dla gospodarza. Tęj usługi Sistrzencewicz nie zapomniał; jakoż przepuściwszy Szantyra do naj-

bliższych stosunków ze sobą, zrobił go regensem swęj kancelaryi. Szantyr, będąc wtedy potęgą w hierarchii białoruskiej, wreszcie otrzymawszy stopień prałata, zasiadł w kollegium. Był to punkt kulminacyjny w szczęściu Szantyra i przyjaźni jego z Sistrzencewiczem, odąd bowiem mieli się stać dla siebie aż do śmierci zaciekłymi wrogami. Metropolita, nie posiadając przymiotów pasterskich, lekceważąc kanony i dążąc do władzy absolutnej, podał w r. 1805 ministrowi justycyi, Łopuchinowi, projekt reformy duchownej hierarchii, co niezmiernie zaniepokoiło członków kollegium, szukano więc sposobów odwrócenia zamiarów zwierzchnika. Tu po raz pierwszy występuje Szantyr na arenę walki, bo kiedy wszyscy, aczkolwiek oburzeni postępkami Sistrzencewicza, umyli ręce, on jeden nieustraszony napisał prośbę do cesarza tak znakomicie ułożoną, iż monarcha natychmiast projekt metropolity umorzyć rozkazał. Był to krok odważny i maluje całkiem dokładnie charakter Szantyra, narażającego się na odwet znanego ze mściwości Sistrzencewicza. Ta zemsta nie kazała na siebie długo czekać. W roku następnym Szantyr usunięty z kollegium, wyzuty ze wszystkich beneficjów, cierpiał różne uciski. W r. 1808 wydalony do dyecezyi Wileńskiej, pozostał tylko przy jednej skromnej parafii Milejczyckiej, lecz i tam ściagała go niełaska Sistrzencewicza, bo mu zarzucał, iż posiada order polski świętego Stanisława i inne czynił przykrości. Apologia Szantyra nie tylko kursując w kraju, lecz przetłómaczona na obce języki czytana i chwalebna za granicą, do żywego bodła metropolitę; wystosował więc ulubieniec jego, człek płaski, ks. Sierpiński refutacyą, która zrobiwszy przeciwne wrażenie, tém więcej przyczyniła sławy Szantyrowi. Jakoż w r. 1811, po zawakowaniu biskupstwa Mohylewskiego przez śmierć biskupa Odyńca, cała Białoruś robiła staranie, aby je objął Szantyr, lecz Sistrzencewicz stanął oporem i nie dopuścił nominacyi. Znowu w r. 1815, gdy Szantyr pragnął otrzymać probostwo Słuckie w dyecezyi mińskiej, Sistrzencewicz postarał się, aby go to ominęło i tylko protekcyą księcia Adama Czartoryjskiego wsparła Szantyra, więc został przy Farze słuckiej. W roku 1816 uniwersytet Wileński, czyniąc Szantyra doktorem obojga praw, wzywał go na swego honorowego członka; atoli Sistrzencewicz i tu zachodzi w drogę Szantyrowi i protestuje, wynalazłszy preteksta; szukał więc prześladowany protekcyi u wpływowego wtedy hrabiego Razumowskiego, który, usuwając denuncyacye metropolity. Szantyra w godności uczonęj zostawił i zatwierdził. Nie robiło się to wszystko bez zabiegów; energiczny polityk i zestosunkowany wysoko, Szantyr, umiał zawsze wynaleźć drogi ratunku dla siebie i kompromitować tém swego mściwego zwierzchnika.

W Szantyrze wrzała natura walki cheiwa, ambitna i ruchliwa; wierzący ślepo, rzadkim był typem w te czasy ogólnego wolnomysłonia. Kosmopolita do szpiku kości, nie dał się niczem przejednać gdy chodziło o wiarę i wtedy każdy środek był mu dobrym... Wszystkie



kwestye ówczesne, mogące wiarę obehodzić, zajmowały całą jaźń Szantyra, jakoż nie bacząc na pogróżki walczył zaciekle słowem i piórem, przeciwko Massonom i Towarzystwu biblijnemu; targnął się na „Filomatów i Filaretów“ wileńskich, nazywając ich „Szajką“ i twierdząc iż „Ostrze Chrześcijańskiej nauki wyciąć to powinno“... dawał na dobre energiczne rady ostatniemu Jenerałowi Jezuitów, Brzozowskiemu, aby uprzedzając skutki i z urzędu oskarżając tych niepotrzebnie gorliwych swych księży, którzy nawrócili w stolicy niektóre osoby wyznania panującego, ratował tém zakon od kasaty. Napadał na liberalną reformę uniwersytecką Czartoryskiego i system Hieronima Strojnowskiego; procesował się z kalwinami o wrzekome owieczki swoje, a głośna sprawa niejakiego Kollątaja, narobiła wiele hałasu i przykrości Szantyrowi, gdy Siostrzeńcewicz wziął w nią udział, pozwalając Kollątajowi pozostać w wierze matki swój protestantki. Zarliwość prawdziwie prozelityczna Szantyra wywierała w Słucku wpływ niezmierny; mając rozległe stosunki i nie cierpiąc kalwinów z zasady, a tém bardziej przez antagonizm dla Siostrzeńcewicza, dosadzał im wprost i ubocznie tak dalece, iż w końcu doszło do sposobów podstępnych względem czcigodnego Wannowskiego, w celu zgubienia Rektora i kwitnącego zakładu w Słucku, pod przewodnictwem jego zostającego. Chociaż Szantyr stara się w swój „Hist. Kość. Kat. w Ross.“ tę sprawę przedstawić wcale w inném świetle, w imię jednak bezstronności należy przyznać, iż tak było, jak mówimy. Wannowski, mąż nieposzlakowany, ostał się z chwałą w obec zesłanej komisji z Wilna, na Szantyra zaś padły ciemne poszlaki zawziętości...

Już co prawda umiał Szantyr z nadwyzczajnym sprytem zachować w Słucku powagę swego wyznania: okazały wymówny i dobroczynny, świetném nabożeństwem ściągając lud wszystkich obrządków do tradycyjnej Fary, a kiedy bywało w wieczór paschalny z umysłu pośpieszył z resurakcją i potrzykroć wyskakując teatralnie z wnętrza ambony z zapalonymi świecami, wielkim głosem zawołał w narzecz u gminném: „Chrystos woskros!“ wtedy lud padał na kolana rozradowany i po skończonej celebrze rozchodził się wprost do domów, mówiąc: „poco nam czekać innėj resurekcyi, kiedy Szantyr opowiedział uroczyście w Farze Zmartwychwstanie Pańskie — „para rozhowiecsa“, to jest spożywać święcone. Duchowieństwo inne wiedziało tém i sarkało, lecz trudny był zarzut wpływowemu prałatowi.

Z drugiej znowu strony Szantyr, emulując z kalwinami, zamyslił walkę prawdziwie kulturalną. Widząc, że kalwini mają konwikt dobroczynny i pociągają młodzież ku sobie, układa piękny projekt zorganizowania w Słucku towarzystwa dobroczynności. Napisany statut otrzymuje sankcją rządu w r. 1817, a sama instytucja zostaje zaszczyconą darami pieniężnymi i pochwałą Monarchy

Aleksandra I. Odtąd wszystko poszło jak najpomyślniej dla towarzystwa. Szantyr w piśmie wydawaném w Wilnie p. t. „Dzieje Dobroczynności“ i t. d. drukuje swoje pobudzające artykuły i sprawozdania, w których widzimy, że w r. 1823 towarzystwo posiadało 90,784 rub.

Jak wielki był pochop do dobroczynności świadczy fakt, iż w ciągu lat siedmiu, jeden tylko powiat słucki złożył przeszło 148,000 rubli—może asygnacyjnych (zob. Dz. Dobr. za 1824 r. Nr. 7 str. 656—657). Z tych znacznych sum, pod zarządem tak zwanego komitetu, którego Szantyr był prezesem, wychowywano biednych uczniów, założono w różnych miejscach powiatu 6 szpitali i 15 szkółek wiejskich, w których 300 pauprów pobierało naukę; świadczone ubogim na wszystkie stany, wyszukiwano nawet nieszczęśliwych.

Z tego więc względu instytucja Słucka zasługiwała na największą pochwałę, chociaż jej początek wynikał z emulacji prozelitycznej Szantyra.

Miewał Szantyr i inne pomysły filantropijne, jak naprzykład: urządzając w r. 1818 „Kolonje Szlacheckie“ w dobrach Fary słuckiej. Na wskroś przejęty ideą rodowitości, spostrzegłszy mizerny stan nieokrzesanej, zwykle wyzyskiwanej przez dziedziców drobnej, zagonowej szlachty i chcąc przyjść w pomoc swym herbowym charłakom, wyznaczył im na kolonije dwa folwarki K i e l e w powiecie słuckim, w okolicach miasteczka Kopyła i C z a b u s y, w bobrujskim. Staraniem Prałata zrobiono pomiary, parcelacye, zbudowano zaścianki i zaludniono je ubogą szlachtą na warunkach bardzo dobroczynnych. Ustawę napisał sam założyciel, udzielił wszelkich pomocy kolonistom, zaprowadził obowiązkowe nauczanie w urządzonych szkołkach, utworzył kasę oszczędności, a stosunkowo małe arendy, bo tylko 25 złotych od włóki, wносиły się jedynie na rzecz téjże kasy, na cel melioracyi kolonii przeznaczonéj. Koloniści mieli prawo tylko s y s t e m a t y c z n i e wyzyskiwać wszystkie dary przyrody w obrębach wydzielonych, bez niszczenia lasu, wód, zwierzyny i t. d. Kontrakta wydawały się na piśmie dwunastoletnie i mogły być przedłużane po ekspiracyi, jeżeli dzierżawcy byli pracowici i moralni. Osiadająca szlachta musiała poddać się szczegółowemu opisowi mianowicie: co posiada, przyrost zaś dobrobytu osadników kontrolowano; marnotrawstwo pociągało za sobą wydalenie kolonisty, a wydział policyi założyciel zostawił całkiem sobie. W r. 1823 zajęto już osad 18, w dziewięciu zaściankach pozostawało pustych 7; obszar kolonii wynosił 61 włók, na urządzenie kolonii założyciel wydał z własnej kieszeni, tytułem dobroczynności 4,000 złotych. Jednak ta instytucja, nie mając aprobaty władzy, nie mogła się rozwijać, bo kolonistów trapiły wojskowe kwaterunki i różne rozporządzenia policyi. Obmyślał więc Szantyr sposoby uprawnienia instytucyi, lecz nie przyszło do tego i wszystko musiało się zdezor-

ganizować, musiało przestać istnieć po śmierci jego, przypadłej w r. 1840. Utrzymało się zaś tylko Towarzystwo Dobroczynności. Zachwiał je jednak r. 1863, lecz dzięki inicjatywie znacznych obywateli: Edwar-da Wojniłowicza, Jakóba Jodki, Marka Uzłowskiego i innych, od lat kilku znowu rozwija czynność swoją znakomicie tak, że uboga młodzież i nędzarze mają podtrzymanie gruntowne. Wiadomość o tej wznowionej działalności dobroczyńców słuckich, podaliśmy w „Kraju“ (zob. Nr. z roku 1883); tam więc ciekawi mogą zajrzeć.

Człowiek jest dziwnie zagadkowym jestestwem z powodu powikłania w duchu jego dodatnich i ujemnych popędów. Te paradoksalną dwoistość natury ludzkiej obserwowali nie od dziś myśliciele i rzeczywiście trudno pojąć, jak można jednocześnie wypełniać cnoty i brnąć głęboko w błędy próżności, pychy, zawiści, chciwości lub zemsty, a jednak tak się dzieje z niestałą ludzką przyrodą i tylko wytrwała praca nad wyrobem własnego charakteru, wytwarza jednolitych prawdą Franklinów, Kraszewskich, Kościuszków. Odnośnie do Szantyra zauważmy, iż był właśnie prototypem owej paradoksalności ducha; natura mu nie poskąpiła wad i darów swoich. Odważny, dobroczynny i poświęcający się dla idei często niewczesnej, zachowywał głęboką zemstę dla swych przeciwników, a jednocześnie trawiła go niesłychana próżność w rzeczy wymarzonej rodowitości. Uroiwszy wielkość pochodzenia, robiąc pustą paradę ze skromnego nazwiska, przezwiał się wreszcie hrabią... W Nr. 15 Kuryera Wileńskiego za rok 1817 znajdujemy niezmiernie ciekawą odezwę Szantyra, wzywającą imienników do legitymacji pod jego opieką; treść tego dokumentu stanowi non plus ultra niedorzeczności i obłędu kastowego; prałat bowiem, pozbawiony całkiem poczucia narodowego, gonił z zapalem mrzonkę szlache-czynny i następnie ideał swój upamiętnił w drukowanym na 21 stronicach in folio, dziś rzadkim rodowodzie Szantyrowów, w r. 1819 potwierdzonym przez dekret mińskiej heroldyi. Tu się wywodząc hrabią od króla rzymskiego Ankusa-Martiusa, wykazał koligacye od niepamiętnych czasów, z wielu królewskimi i książęcymi domami, do takiego stopnia, że nawet Cesarzową Katarzynę II nie omieszkał zrobić swą kuzynką (zob. str. 7). Osobliwszy ten rodowód zwyczajnego szlachcica, przeszedł pono wszystkie znane brednie Paprockich, Wielądków, Kuropatnickich, Okolskich, Swachów, Bobrowiczów, Zychlińskich i rzecz arcy dziwna, jakim sposobem w całej swój pociesznej formie i treści mógł być zatwierdzonym przez areopag heraldyków mińskich. Oto czem się zaprzętały nawet umysły duchownych w owe smutne reakcyjne czasy! Jest to niezawodnie świadectwo głupstwa i kolosalnej próżności, oszołomionego klejnotem szlachectwa, którego największe nieszczęścia społeczne nie zdołały opamiętać i przesądu wyparować z dziwnie ukształconych komórek mózgowia potomków herbownych... Najbardziej zastanawia taka próżność szatana w umyśle duchownego, o g ó l n a



choroba nasza kastowa niejako rozwiązuje tę psychologiczną zagadkę w Szantyry. Bądź co bądź Sistrzeńcewicz nie opuścił i tej okoliczności, by dogryźć Szantyrowi, jakoż za jego inicjatywą, jako prokuratora, kolegium wypowiedziało proces Szantyrowi, za fałszywe wywody rodowe, więc musiał się bronić i martwić. Szantyr w swój „Hist. kościelnej w Ross.“ ośmiewając Sistrzeńcewicza za pretensjonalny tytuł, jakowy zwykł kłaść na dokumentach wydawanych, nie mniejszą okrył się śmiesznością, pisząc się hrabią i wyliczając wszelkie dostojęstwa.

W roku 1838 była litografowana w Wilnie przez Przybylskiego rycina, wyobrażająca Szantyra w całym majestacie i ofiarowana mu z powodu jubileuszu kapłaństwa przez członków Towarzystwa Dobroczynności; podobizna ta pod względem pomysłu jest bardzo ciekawą i odpowiada całkiem treści ducha przedstawionego pyszałka w sutannie.

Rok 1826 musiał ucieszyć Szantyra z powodu zejścia największego wroga jego, lecz chociaż nowy Metropolita Cieciszewski przedstawił go zaraz na biskupstwo mińskie, udało się jednak Mateuszowi Lipskiemu otrzymać to miejsce, pomimo zabiegów prałata. Szantyr jako autor zasłużył się przeważnie kreśląc dzieje kościoła katolickiego w Rosyi od r. 1773—1827. Ciekawa ta ze wszech miar praca, wyszła w Poznaniu już po śmierci autora i doskonale charakteryzuje klerikalno-kosmopolityczną dążność jego z zapoznaniem wszelkich dźwigni własnego społeczeństwa<sup>1)</sup>. W dziele tém Szantyr wylewając moc zasadniczego jadu na swego przeciwnika Sistrzeńcewicza, zapewne nie sądził, iż sam ulegnie słusznój krytyce potomnych. Jakkolwiek głośnym był Szantyr w swoim czasie, jednak dzisiejsze pokolenie mało wie o nim, dla tegośmy też i bodaj pierwsi zaznaczyli chociaż w streszczeniu najważniejsze szczegóły jego działalności publicznej, dodając w końcu i to, że bluźnił Kościuszce!...

Lecz już trzeba zbliżać się do końca opowiadania, po obejrzeniu bowiem Fary pamiątek, nic mi nie pozostawało jak tylko myśleć o rejteradzie ze Slucka. Ostatnie jednak chwile poświęciłem miłemu towarzystwu czcigodnego ks. Biergiela, którego gościnność staropolska na zawsze pozostanie w pamięci mojej. Widząc rzadką uprzejmość gospodarzy muszę wnieść, iż moja osoba nie zrobiła im przykrości, oprócz chyba przypadkowej, wynikłej nie z mojej przyczyny. Oto, gdy mię strudzonego wycieczką po mieście niezależnie od innych przysmaków chciano ufetować pieczonym jarząbkim, okazało się, że właśnie w tej chwili szkodnik kot ściągnął go z kuchni na swój pożytek. Kto zna naszych niewiast ambicyą,

<sup>1)</sup> Rękopism oryginalny znajduje się w rękopisie pisańca.

w rzeczy gościnności; ten łatwo pojmie, jak musiała być nie miłą niespodzianka z jarząbkim szanownej gospodyni domu; ale też pokazano w sztuce kulinarniej zdumiewającą biegłość, podając na stół upieczone kurcze, które najwyżej przed kwadransem biegało rzeźwiuteńkie i szczęśliwe po podwórku. Biedne kurczel! Na świecie wszystko ma swój koniec, więc i my pełni wrażeń z doznanej uprzejmości i oglądania pamiątkowego grodu, ruszyliśmy w odwrotną drogę. Na dworze był już wieczór cichy i ciepły, słońce ostatnie swe promienie powierzało lekkim obłokom zawieszonym nad horyzontem; rumieniące je, „wieczernice“ poczęły migotać w stronie wschodnio-północnej nieboskłonu. Rumaki nasze, doznawszy miejskiej diety i rozumiejąc powrót do domowych sutszych żłobów, pędziły ochoczo po nieznośnym bruku i zaledwieśmy minęli ostatnią ulicę kopylską, świeże, czyste powietrze, niby balsam, wpłynęło do płuc zaalarmowanych nieco dwudniowemu wdychaniem mijazmów słuckich. O! brudów tutejszych nie pozbędzie się pamięć nasza, bo takie rzeczy głęboko rażą zmysły wieśniaka, przywykłe do skromnej czystości...

Panny moje widocznie dużo fertając się po miasteczku uczuwały znużenie, skoro rozmowa pierwiej ożywiona stawała się coraz słabszą. Zapewne wygodne siedzenie uspasabiało do spoczynku, to też spostrzegłem jak od Siolka, przyjaciółka mojej córki, wodząc błędnym wzrokiem po przedmiotach przyćmionych szarą godziną; spuściła wreszcie oczki i zasnęła, a za jej przykładem i moja dziewczyna powoli drzemać poczęła. Teraz w bryce było już cicho— „jak mak posiał“. Jam zasiadłszy na koźle, trzymał pomiędzy nogami ów ciężki kłoc medrzewiowy z Fary Słuckiej, czemu się nie mógł dość nadziwić gapiowaty woźnica, twierdząc naiwnie, że Pan niewiedzieć po co ciąga ze sobą stare drewna, jak gdyby swojego lasu nie starczyło. — Śmiałem się. Pora nocna w lecie zwykle sprzyja podróży, jechaliśmy więc prędko i tak szczęśliwie jak nigdy bodaj. Drzemałem i ja trochę na koźle, po żołniersku — bom w młodości próbował tego kunsztu—za to daleko bezpieczniej pograżał się we śnie nasz stangret, powierzając bezwiednie wehikuł tylko zmyślności wprzężonych w niego stworzeń—przypadku wszakże nie było. Noc letnia krótka, zarumieniło się niebo na wschodzie, gwiazdy przygasły na stropach niebieskich, poczęła się znowu natura budzić do życia; skowronek, czujna ptaszyna, pierwszy zanucił piosnkę poranną, zaświergotało inne ptactwo, a wspaniały orzeł pływał wysoko nad borami, wypatrując żeru; tu i owdzie staranni pasterze wyganiaли już stada w pole; echo powtarzało po przestworach leśnych głosy donośnej ich trąby i szczenie psów, ryk bydła, dającego na pokryte bujną rosą pastwiska.

A panny spały malowniczo w głębi siedzenia, przytulone wzajemnie do siebie, jak dwie białe koteczki, nie czując nawet turkotu

bryki; lecz w tém pierwszy promień cudownego słońka, przedarłszy się z za borów uderza je w same oczy, budzą się więc z uśmiechem, na raz zrobiło się gwarno, byliśmy znowu w P e r e s z e w i e. Po krótkim wypoczynku reszta drogi nie wydała się już długą, bośmy rozmawiając wesoło i układając treść do relacji z odbytej podróży, wcześniej jeszcze przed południem stanęli w d o m u, w tém przytulisku, w którym wśród rodziny i penatów ojczystych ówierć wieku z okładem przeżyło się niby dzień jeden! Zaprawdę, dziś szczególnie stokroć błogosławiona i droga ta strzecha własna, pod którą wracać tak błogo o każdej porze i witać ukochane sercem istoty, płacące wzajemnością bez granic! Kto takie szczęście posiadał, ten może w cichości i filozoficznie, poprzestać na swoim, chociażby małym i nie tęsknić do marnych błyskotek świata.

Pisałem w Zamościu, 20 grudnia 1883 roku.

---



# O miastach i mieszczaństwie

W KRÓLESTWIE POLSKIM. 1)

## III.

Zapoznawszy się z ekonomicznym stanem miast Kr. Polskiego, można dopiero ocenić warunki społeczne i moralne, czyli uzdolnienie obywatelskie ludności miejskiej, warunki, stanowiące nietylko podstawę bytu materialnego, ale, co ważniejsza, będące probierzem, według którego kraj może utworzyć sobie pojęcie o obecném położeniu i o przyszłości tej ważnej nadzwyczaj warstwy społecznej. O ile wyrobienie intelektualne tego stanu na wyższym stanęło stopniu, a przynajmniej im więcej ma danych do osiągnięcia poważnej sumy przymiotów moralnych, im wyraźniej jego świadomość obowiązków społecznych i gorliwość w ich spełnianiu się objawia, tym nadzieje, pokładane powszechnie w stanie średnim, łatwiej ziścić się mogą, a ludność miejska, która dotąd swego posłannictwa dziejowego u nas nie spełniła, przy rozbudzonych w niej szlachetnych porывach ducha, zamięłowania obowiązków obywatelskich i rozumnej pracy ekonomicznej, wynagrodzi krajowi długie wieki bezczynności społecznej, w której ją pograżyły wiekowe stosunki historyczne. Jeżeli się zaś przekonamy, że charakter naszego mieszczaństwa ku tym pożądanym reformom nie dąży, wtedy na długie czasy odroczyć musimy zorganizowanie się w społeczeństwie czynnika, będącego ogniwem warstw wyższych i niższych, obowiązanego do wspólnej obywatelskiej pracy w postępie, w szerzeniu cywilizacyjnych idei, czynnika, którego głównym celem działalności obywatelskiej byćby powinno rozwijanie i podnoszenie trzech wielkich sił życia ekonomicznego: rękodzieł, przemysłu i handlu.

1) Ciąg dalszy. Zob. zeszyt za m. Styczeń r. b.

Nie przesądzając ostatecznych wniosków, które z dotychczasowego oświetlenia ekonomicznych stosunków mieszczaństwa naszego logicznie wynikać muszą, zwracamy uwagę czytelnika na te wyjątkowe—a zatem łagodzące okoliczności, które się składały i dotychczas składają na nieprawidłowe, nienormalne — powiedzielibyśmy—niemal sztuczne kształtowanie się stosunków mieszczaństwa u nas, nie wyrastającego w głównej swojej masie z rodzimój gleby, ale przeszczepianego z obcej—często wrogiój nam niwy. Prawda, że pod wpływem naszych dziejów, pod wpływem naszych zwyczajów i obyczajów, wyrosło po miastach naszych wiele bardzo szlachetnych drzew rozłożystych, których młodociane gałęzie nieraz zaciemniają obywatelskością swoją niektóre dawne, historyczne rody; ale nie brak i takich, którym trudno przychodzi zsolidaryzować się z powszechną dolą i niedolą kraju.

Główny cel naszych badań statystycznych moglibyśmy wtedy dopiero w zupełności osiągnąć, gdyby wespół z innymi kwestyami można było zadawalniająco rozwiązać pytanie: Jakie stanowisko w ogólném bogactwie kraju, w ogólnój jego produkcji zajmuje dana miejscowość? jaką jest wartość produkcyjna i pieniężna jej mieszkańców? Naturalnie co do niektórych miejscowości i niektórych gałęzi przemysłu dane są dokładniejsze, ale tam, gdzie położenie ekonomiczne pozostawia wiele do życzenia, gdzie odzywa się dopiero potrzeba reform podnoszących dobrobyt, tam napotykaemy taki brak materiałów, że trudno jest bardzo dojść do wniosków pewnych, trudniej jeszcze obmyśleć, coby w danych warunkach należało przedsiębrać. Tak zwany np. okrąg zachodni Królestwa, siedlisko wielkiego przemysłu, Warszawa i parę większych miast gubernialnych dokładniejszą posiadają statystykę, ale cały szereg miast i osad, któremi zająć się należy, pozbawione są dokładnego materiału do sprawiedliwej oceny położenia. Co się zaś tyczy t. z. „pamiętnych książek“, które każdorocznie wydawane, stanowić mają rezultat urzędowych obliczeń statystycznych w guberniach, to nie można o tém zapominać, że wychodzą one nieregularnie, nie wszędzie, a wreszcie treść ich zupełnie nie zgadza się z tytułową kartą. Trzyczwarte „pamiętnych książek“ zajmuje wyliczenie urzędów i urzędników władz rządowych w całej gubernii, czwarta część wymienienie jarmarków, szpitali, czasem szkół i innych instytucyj, ale wszystko to niekompletne i bez żadnego poglądu krytycznego.

Z tych jednak danych, które z tego źródła zbieramy, można, przy pomocy źródeł prywatnych, zgromadzić wiele pouczających wiadomości o ekonomicznym stanie miast naszych. Na pierwszym planie stoi przemysł, który w krótkim stosunkowo czasie rozwinął się niepomiernie; wnikając jednak w istotę jego powstania, badając wpływy jego na żywotne interesa kraju, nie znajdziemy w nim tego, co w każdym przedsiębiorstwie stanowi podstawę jego powodzenia, to jest nie wytworzyły go czynniki, dla których przemysł byłby nie-

tylko przedmiotem indywidualnego zysku, ale i przedsiębiorstwem, pracującym dla dobra materialnego równie jak i obywatelskiego kraju. Przemysł nasz, prócz kierunków czysto eksploatacyjnych, innych nie wykazuje; nie obchodzi go przyszłość kraju, nie posiłkuje się w wielu miejscach miejscową siłą roboczą, lecz ma charakter tymczasowości, gdyż na czele przemysłu stoją ludzie, których nic z krajem nie wiąże: wyzyskują go spekulanci. Trzy okręgi: Łódzki, Sosnowicki i Warszawski koncentrują w sobie cały przemysł kraju, a dwa pierwsze w znakomitej większości stanowią ludność obcą, napływową, to są cudzoziemcy! Powstawanie fabryk cudzoziemskich w naszym zachodnim pasie granicznym i to fabryk, posługujących się pracą obcej nam ludności, wszystkie ofiary narodu czyni bezowocnymi a znaczenie polityki ekonomicznej państwa osłabia. Taryfa celna protekcyjna, ma na celu rozwój i rozkwit fabryk w państwie, rozkwit produkcji wewnętrznej a zagrozenie wstępu towarom zagranicznym. Tymczasem, dzięki temu, że cudzoziemcy przenoszą swoje fabryki po za naszą linię celną, na terytorjum krajowe, osiągamy wręcz przeciwne rezultaty. Produkt obcy w znacznej części uchyla się od podatku celnego, producent-cudzoziemiec zyskuje na swojej wyłącznie korzyść całą różnicę między podwyższoną ceną produktu i tą ceną, jakąby mógł zań otrzymać na wolnym rynku; producent zaś swojski u siebie, wewnątrz granic państwowych, spotyka się z tą samą konkurencją, od której miał nadzieję choć czasowo się uchronić, a konsument na tym napływie przemysłu obcego, albo nie zyskuje, albo zyskuje bardzo mało.

Okrąg fabryczny Łódzki, najważniejszy z trzech okręgów, jako główne gałęzie przemysłu produkuje wyroby wełniane i bawełniane; fabryki tamtejsze zwłaszcza od 1870 znacznie podniosły swą wytwórczość, a chociaż przemysłu Łodzi nie możemy uważać za rodzimy, nie przedstawia on takiego niebezpieczeństwa jak okrąg fabryczny Sosnowicki, na kresach kraju powstały, a inwazyją niemiecką z całą grozą przedstawiający. Tu to, po połączeniu dr. żel. Warszawsko-Wiedeńskiej z drogami pruskiemi, większość wzdłuż tej linii położonych majątków ziemskich z rąk obywateli polskich przeszła do rąk bogatych i przedsiębiorczych prusaków; tu ogromne kopalnie węgla dostały się w ręce niemieckie. Sosnowice wreszcie, położone przy samej granicy pruskiej i przemysłowych miast takich, jak Katowice i Mysłowice, pozwalają tanim robotnikom zagranicznym pracować w fabrykach, w granicach Królestwa położonych. Pod wpływem tych rozlicznych przyczyn, z krzywdą interesów kraju, przemysł niemiecki w Sosnowicach zwiększył swą produkcją w ciągu ostatnich lat dziesięciu o 70 pr. Powstał on nietylko bez jakiegokolwiek udziału sił społecznych i sił rządu, jak to w części było w Łodzi; ale nawet pomimo ograniczeń, robionych rozwojowi przemysłu Sosnowickiego. Obecnie ograniczenia te ściślej są wykonywane, co pozwala wnosić, że okrąg sosnowicki z powodu warunków otoczenia i bogactw natu-



ralnych, tak odpowiednich rozwojowi wielkiego przemysłu, z czasem ściąganie do siebie kapitały krajowe; w każdym jednak razie, to—co Niemcy dotąd zdobyli, jest olbrzymią stratą majątku narodowego. Najdroższym, najbardziej naszym jest okrąg fabryczny warszawski, w którym udział cudzoziemców także w pewnym stosunku istnieje, ale większość przedsiębiorstw do krajowców należy. Przemysł tego okręgu całkowicie zajmuje się obrabianiem niewłóknistych materyałów, a znaczniejsi jego przedstawiciele posiadają fabryki żelazne i wogóle metaliczne, oraz fabryki maszyn. Wartość produkcji okręgu warszawskiego, określa się cyfrą przeszło 50 mil. rubli. Posiada on jedną tylko wielką fabrykę płótna i wyrobów bawełnianych w Żyrardowie i jedną znacznieszą przędzalnię wełny w Markach; po za temi ma wprawdzie kilka zakładów przemysłowych, przerabiających bawełnę, wełnę i jedwab', ale wszystkie te skromniejsze fabryki razem wzięte nie mają wielkiego znaczenia. Pierwsze natomiast miejsce w okręgu warszawskim należy się fabrykom metalicznym wszelkiego rodzaju, które obrabiają metale zagraniczne, używając w tym celu częścią miejscowego, częścią zaś zagranicznego węgla kamiennego i koksu również zagranicznego, gdyż zupełnie dobrego, przydatnego do takiego użytku węgla kamiennego dotąd w Królestwie nie znaleziono. W przeciągu lat ostatnich, w ciągu których powiększono cło od zagranicznych metalów, produkcya fabryk tych ograniczyła się, a jedna z największych w Warszawie, fabryka stali, przeniosła swoją działalność do gubernii Ekaterynosławskiej.

Jeśli spojrzymy poza granice tych trzech okręgów fabrycznych, na resztę kraju, to uderzy nas widok nader smutny, prawie przerażający. Wielkie pustkowia przemysłowe, brak handlu i ubóstwo ekonomiczne, oto co przedstawiają miasta nie zaludnione cudzoziemcami, nie posiłkowane ich kapitałami. Skoncentrowanie i zmonopolizowanie w Zachodnim okręgu przemysłu i handlu, sparaliżowało działalność innych miast i jeszcze jeden mamy tu dowód, że zapraszając cudzoziemców dla stworzenia nam przemysłu i handlu, doczekaliśmy się fabryk niemieckich i handlu żydowskiego. Czytając wiadomości z niektórych miejscowości, zdawałoby się, że ruch ekonomiczny żywszym bije tętnem, ale zsumowawszy rezultaty finansowe tego ruchu, łatwo się przekonamy, że bieda tam kompletna. Że w pewnych miastach gubernialnych lub powiatowych istnieje browar, dystylarnia, młyn lub garbarnia, przemysłem tego nazwać nie można, bo przeważną ilość artykułów koniecznych dla konsumeyi, ubrania i innych potrzeb ludności, owe pseudo-przemysłowe miejscowości sprowadzać muszą skąd inąd. Spojrzymy tylko na miasta i miasteczka gubernii Siedleckiej, Łomżyńskiej, Suwałkoskiej, Kieleckiej, Płockiej, a przedstawi nam się widok takiego zastoj, takiej nędzy ekonomicznej, że porównać je można z takimi miejscowościami, które kłęski losowe do upadku przyprowadziły. Lubelska gu-

bernia również, prócz Lublina, w przemyśle i handlu niczém się nie odznacza; Radomska w ślad tamtęj podąża i jedynie Radom, po połączeniu go drogą żelazną z Warszawą i Dąbrową nieco się podnosi, a nie wymieniając w tym szeregu biedy — gubernii Warszawskiej i Piotrkowskiej, będących jedyném źródłem naszego przemysłu i handlu, pozostaje nam tylko gub. Kaliska, która szczęśliwszém swém położeniem nad granicą i dość rozwiniętym drobnym przemysłem, przyniesionym przez Niemców a niezupełnie przez nich opanowanym, stanowi podstawę, na której można stawiać pomyślniejsze widoki na przyszłość.

W guberniach, znajdujących się na średniej stopie rozwoju ekonomicznego, jak np. Kaliska, Lubelska lub Radomska, gdzie nie zachodzą jakieś szczególne handlowo-przemysłowe okoliczności, średni czysty dochód z przedsiębiorstw stanowi 6—8% od sumy obrotów. Tymczasem w guberniach niżej w rozwoju stojących procent dochodowy jest o wiele wyższy. Tak np. w Siedleckiej 15,5% w Kieleckiej 10%. Wysoki dochód czysty od obrotu w guberniach o słabym rozwoju ekonomicznym, łatwo wytłómaczyć. Trzeba wziąć pod uwagę różnicę istniejącą między pojęciem o dochodzie z obrotu i o dochodzie z kapitału. Przedsiębiorstwo, w które włożono np. 10,000 rs., może w ciągu roku dopełnić obrotów na 30,000 rs., z każdego obrotu otrzymując 5%; w drugim razie, gdy włożono 100,000 rs., zadawalnia 2½% z każdego obrotu; w pierwszym razie interes dał przedsiębiorcy zarobku 1,500 rs., w drugim 2,500. W ten sposób, przy małym rozwoju handlu i przemysłu w danej miejscowości, suma rocznego obrotu jest nie wielka i dla tego od każdego obrotu procent musi być większy, inaczej bowiem nie opłacałyby się włożone w interes praca i kapitał. Natomiast tam, gdzie przedsiębiorstwo wielkie, handel ożywiony, bankierskie operacje, komisowe interesy i obieg kapitałów znaczny, dochód czysty od sumy obrotów o wiele jest niższy. Tak np. stanowi on w gub. Warszawskiej 5%, w Piotrkowskiej 4,1%. Natomiast w dwóch tych guberniach stopień rozwoju działalności przemysłowej w porównaniu do handlowej, bardzo wysokimi cyframi się wyraża. Zestawiając np. tutejsze stosunki z takimiż w Cesarstwie, widzimy że w wymienionych guberniach Królestwa, przedsiębiorstwa dosięgają 18% ogólnej ilości obrotów, w przemysłowych guberniach cesarstwa 9,5%; obroty ich w Królestwie wynoszą 37% sumy ogólnej, w Cesarstwie 9,5%, czyli cztery razy mniej, i dochód brutto w Królestwie 4,2%, w Cesarstwie 15,9%. Średni dochód czysty mniej więcej ten sam.

Przedsiębiorstwa z obrotem wyżej 1,000,000 rubli, należą do bardzo rzadkich, jest ich wszystkiego w Królestwie 26 (przemysłowych;) i handlowych, z czego w gub. Piotrkowskiej 13, w Warszawskiej 12, a jedno w ośmiu pozostałych guberniach.

W przedsiębiorstwach handlowych średni dochód od obrotu wynosi 3%, podczas gdy w przedsiębiorstwach przemysłowych 5,9%,

biorąc pod uwagę cyfry przeciętne dla całego kraju; jednocześnie atoli średni procent większości przedsiębiorstw handlowych, stanowi 5 i 6 pr. Objaw ten przez to się tłómaczy, że jeden z działów handlu, mianowicie gałąź „bankierskich interesów, komisowych kantorów i agentur“ obejmująca prawie połowę ogólnych obrotów handlowych w kraju (47pr.), z samego charakteru prowadzonych przez te przedsiębiorstwa operacyj, daje procent bardzo mały, ledwie 1,2pr.

Ekonomiczne położenie miast ocenić również można z siły podatkowej mieszkańców, z budżetów miejskich, w których znajdujemy wyliczenie wydatków na kosztą porządków miejskich, oświetlenia, zabrukowania, konserwacyi budynków rządowych, na oświatę, dobroczynność i t. p. Podaliśmy już budżety miast, średni dochód i rozchód z mieszkańca, ale nie zastanawialiśmy się nad niemi krytycznie, czego ominąć nie można ze względu na ciekawe bardzo warunki, które z cyfr tych o gospodarce miejskiej wyciągnąć można. Przedewszystkiem zasługuje na uwagę dziwna polityka finansowa zarządów miejskich, nie rozumiejących tego, że im wydatki na ulepszenia sanitarnych urządzeń, na udogodnienia życia, na ułatwianie zakładania przedsiębiorstw pożytecznych—będą większe, w miarę posiadanych funduszy, tém dobrobyt mieszkańców spieszniej wzrasta, skutkiem czego siła ich podatkowa zwiększa dochody kasy miejskiej i pozwala w coraz szerszym zakresie udoskonalać gospodarstwo miasta. Tymczasem administracya miast przesadzoną odznacza się oszczędnością, kapitalizując nadwyżkę dochodów, nie wiadomo w jakich celach. Roczne oszczędności budżetów wykazują 350,431 rs. i gdyby jeszcze osiągnano ją w miastach bogatych, dobrze zagospodarowanych, nicby przeciwko temu mieć nie można. Ale oszczędności dotyczą miast najbiedniejszych, brudnych, niezdrowych, niezabodowanych i tak np. w Siedlcach przewyżka dochodów wynosi 25,000 rs., w Płocku 19,000, w Lublinie 14,000 w Radomiu 11,000, w Kielcach 10,000 rs. Te tysiące rubli przewyżki—użyte rozumnie, krociebry niedługo przyniosły, a nadewszystko poprawiły moralne i fizyczne stosunki ludności. W tych warunkach siła podatkowa miast wznęstać nie może, a zwróćmy uwagę jeszcze i na to, że mowa tu tylko o miastach gubernialnych, bo gdybyśmy zeszli do miasteczek powiatowych, to z podziwienia wyjśćby nie można, jakim sposobem do tej pory nie zniszczył ich brud, choroby zaraźliwe i brak wszelkich wygod. Wprawdzie w miejscowościach tych króluje żywioł żydowski, zamilowany w niechlujstwie, ale dla reszty mieszkańców jakież warunki się przedstawiają, jeśli suma rozchodów miasta na jednego mieszkańca wynosi: w Zgierzu 94 kop., w Kalwaryi 54, w Chmielniku 41, w Białej 34, w Końskich 28, w Garwolinie 25, w Włodawie 20 kop. i t. p.

Głównem źródłem dochodów miast jest podatek od nieruchomości i pod tym względem ważne dają się wyciągnąć wnioski. Z ostatniego spisu domów w miastach Królestwa do opodatkowania, widzimy, że dochód brutto ze wszystkich domów wynosi 13,411,600 rs. Ze wszystkich domów było 29,837, otrzymujących mniej aniżeli



160 rs. dochodu z domu, a trafiają się dające po 80, 50, 30, 15, nawet 10 rs. Tu mamy wyjaśnienie niezadawalniających stosunków mieszkalnych, które we wszystkich miastach naszych panują. Warszawy, choć na pozór tak okazale zabudowanej, wyłączać z pod tych zarzutów nie można. Nie ma gorszych i droższych mieszkań w całej Europie niż w Warszawie; jest to następstwem kierunków, które kapitał u nas zwykł obierać. Kapitalista nie włoży swych funduszy w budowę domów, które mogą mu przynieść zysk umiarkowany ale pewny, lecz trzyma je albo w papierach publicznych lub też rzuca w giełdowe obroty. To też z wyjątkiem nielicznego grona znacznych i dbających o wygodę swych lokatorów, właścicieli domów, reszta kamieniczników, to rzesza spekulantów, którzy budowali po to, aby zamazaną tandetę sprzedać przy pomocy oszustwa. W miastach prowincjonalnych brak mieszkań i porządných domów jeszcze dotkliwiej się zaznacza, co wynika głównie z braku regularnego kredytu hipotecznego; wierzytelności obciążające domy po większej części są lichwiarskie, procenta więc zabierają dochody, skutkiem czego na innowacye i ulepszenia funduszy nie ma. Chcąc temu zapobiedz, należałoby się wystarać o kredyt typu amortyzacyjnego. Przed kilkoma laty powstało kilka instytucji kredytu hipotecznego dla miast prowincjonalnych, mianowicie: dla Kalisza, Lublina i Płocka. Instytucye te, powstały każda niemal o własną siłę — i mimo bojaźni, z jaką przyjmowano emisje listów zastawnych — w krótkim czasie wyrobiły one sobie dobrą markę na giełdzie. Była to jednak dopiero cząsteczka zadania, zapomniano bowiem o miastach powiatowych, równie, jeżeli nie pilniej domagających się pomocy kredytowej. Błąd ten naprawia Tow. kred. miejskie kaliskie, przyjmując projekt dodatkowej ustawy, rozciągającej działalność Towarzystwa na niektóre miasta powiatowe. Za przykładem danym, poszło Tow. kredytowe miejskie płockie, i po zgłoszeniu się niektórych ważniejszych miast powiatowych tej gubernii z zapytaniem czy możebnym jest dla nich i na jakich warunkach korzystanie z usług kredytowych instytucji, odpowiedziało, że chociaż działalność Towarzystwa ogranicza się tylko do samego Płocka, radzi jednak wystąpić z podaniem o przyłączenie tych miast do Tow. płockiego, na zasadzie ustawy specjalnej. Tak więc kwestya kredytu hipotecznego dla miast prowincjonalnych znajduje się na dobrej drodze i jeśli projekt zostanie zatwierdzony, będzie to epokowy fakt w rozwoju miast naszych.

Z kolei rozważyć nam należy położenie drobnych przemysłowców i rzemieślników w miastach. Jeśli w ogóle sprawozdania o położeniu różnych warstw społecznych są niedokładne, najbardziej brak ten uderza w wiadomościach o położeniu rzemieślników i robotników fabrycznych. Mało bardzo wiemy o podziale robotników pod względem płci i wieku, nie obliczono ile kobiet i dzieci pracuje, niedokładne są wiadomości o warunkach hygie-

nicznych, o istnieniu kas przezorności i emerytalnych, o wynagrodzeniu robotników, o liczbie godzin pracy i t. p. Tyle tylko wiedzieć można, że średnia płaca robotnika w Warszawie wynosi 300 rs., w miastach gubernialnych i powiatowych 200—250 rs. rocznie. Zarobek taki przy skromnych potrzebach wystarcza, ale nie stanowi gwarancyi bytu robotnika, nie zabezpiecza go w razie choroby, kalectwa lub innych wypadków losowych. Nieliczne bardzo przedsiębiorstwa poczuły się w obowiązku ustanowienia instytucyi zabezpieczających los robotników, ale tém mniej pomyślano o uczynieniu ich pracy zyskowniejszą. Dopuszczanie u nas robotników do zysku, tak zwana tautyema, nie istnieje nigdzie, a jednak jakżeby się zmieniły warunki przemysłu, jaki wpływ wywarłoby na robotników zainteresowanie ich w przedsiębiorstwie. Udział ich w zyskach przedsiębiorstwa zapewniłby porządek, zdwojoną pracę i t. p. Zniknęłaby głucha walka między pracodawcą i pracownikami, warunki moralne, w którychby się robotnicy znaleźli, miałyby bardzo szczęśliwe konsekwencye materialne, bo suma produkcji a więc i zyski z niej znacznieby się zwiększyły. Ale do tego jeszcze daleko.

To też gdy ten rodzaj stowarzyszenia — praca i kapitał — na teraz przeprowadzić się nie da, pozostaje drugi rodzaj instytucyi wzajemnych, t. j. stowarzyszenie robotników pomiędzy sobą. Są to tak zwane stowarzyszenia współdzielcze, pod trójką formą: *a)* Stowarzyszeń konsumcyjnych; *b)* Stowarzyszeń kredytu ruchomego i *c)* Stowarzyszeń produkcyjnych. Te ostatnie mają na celu przeróbkę materyi pierwotnych w produkt fabryczny, a zatrzymanie zysków, które osiąga fabrykant. Pierwszy z tych systemów rozszerzony jest w Anglii, drugi w Niemczech, trzeci we Francyi. Prócz rezultatów materialnych, które stowarzyszenia współdzielcze dają, wielką ich zasługą jest rozwijanie w robotnikach zmysłu inicjatywy indywidualnej, odzwyczajania ich od wyczekiwania w kwestyi reform socyalnych pomocy rządu i podnoszenie godności osobistej klasy robotników.

Na razie byłyby to reformy najpożądanejsze w obecném położeniu robotników, zwłaszcza, że jest to najzdrowszy, najsilniejszy żywioł miejski, który jedynie przeciwważy rozkładowe wpływy żydostwa. Tymczasem pod jakimkolwiek względem zapatrywać się będziemy na życie robotnika miejskiego, wszędzie uderzyć nas muszą nierozumne urzędy, przeszkadzające jego moralnemu i materialnemu rozwojowi.

Również nie zadawalająco przedstawia się los rzemieślników czyli drobnych przemysłowców. Położenie ich w obec coraz groźniej występującej walki między kapitałem i pracą, jest bardzo ciężkie, zatem i oni starać się muszą legalnie bronić przeciwko wielkiej produkcji, przyjąć za zasadę skuteczną samopomoc, której ostatnim wyrazem jest spółka ekonomiczna. Otóż podczas gdy zagranicą panowanie kapitału spotyka się z pewnym przeciwdziałaniem, dążącym

do utrzymania częściowej choć równowagi między kapitałem a pracą, my pozostajemy w tym kierunku daleko w tyle po za naszymi zachodnimi sąsiadami.

Zagranicą znaleźli się ludzie, którzy zajęli się organizacją kredytu dla drobnego przemysłu, i w stosunkowo krótkim czasie do olbrzymich sprawę tę doprowadzili rezultatów. Powstały stowarzyszenia kredytowe współdzielcze, polegające na solidarnej odpowiedzialności uczestników, a rozwój ich w przeciągu lat kilkudziesięciu jest zdumiewający. U nas, odłączając Kasę przemysłowców warszawskich, jako niesłużącą wyłącznie celom drobnego kredytu, posiadamy wszystkich takich stowarzyszeń pięć, podczas gdy w W. ks. Poznańskim, licząc 2 miliony dusz, istnieje ich sto. Nie wliczamy tu bowiem dwóch towarzystw zaliczkowo-wkładowych, w Grójcu i Wiskitkach, przeważnie rolniczych i wymieniamy tylko stowarzyszenia dla drobnego kredytu w miastach istniejące, o charakterze handlowo-przemysłowym i funkcjonujące pod mianem kas przemysłowców. Kasy te, założone w Kielcach, Lublinie, Łodzi, Łomży, Radomiu; w 1887 r. otrzymały czystego zysku 27,329 rs., udzieliły pożyczek na 1,214,626 rs. Ta cyfra obrotu rocznego najlepiej przekonywa o rozmiarach działalności u nas instytucyj współdzielczych; wszak suma, wyrażająca wysokość obrotów całego kraju, nie przechodzi obrotu jednej kasy przemysłowców zagranicą. Na razie możnaby się pocieszać tém, że w dwóch latach ostatnich suma udzielonych pożyczek się podniosła z 573,164 rs. w 1886, na 1,214, 624 rs. w 1887 r., a nadewszystko, że suma kapitałów, złożonych na lokacyą, znacznie się zwiększyła, bo z 362,782 rs. na 895,429 rs. Postęp to widoczny, świadczący o pożyteczności tych instytucyi, oraz o istnieniu w średnich i niższych warstwach naszego społeczeństwa oszczędności, które czekają tylko korzystnej lokacyi, jaką im zapewnią zupełnie pewne, bo polegające na solidarném poręczeniu wszystkich uczestników, stowarzyszenie. W każdym jednak razie daleko nam jeszcze do tego stanowiska, które zagranicą zajęły stowarzyszenia kredytowe, co jest tem dziwniejsze, że nie stoimy znów tak nisko ani moralnie, ani ekonomicznie, byśmy zdobyć się nie mogli na stworzenie instytucyj tak wielkiego pożytku. Na trudności, z któremiby potrzeba walczyć, narzekać nie możemy; jeśli zaś są, kłaść je należy na karb naszej apatyi, naszej zupełnej prawie bezczynności na polu stowarzyszeń ekonomicznych.

Z drugiej znów strony do trudności, z któremi walczy drobny przemysł, dwie się przyczyniają okoliczności. Kierownicy spraw miejskich, ojcowie miast naszych, nie rozumieją i nie widzą źródeł, któremiby przemysł drobny, rzemiosło i handel podnieść można. Te biedne nasze miasta, oszczędności budżetowych i różnych kapitałów miejskich, mają nagromadzone 4,000,000 rs. w kasie Banku Państwa, martwo — bo na małym bardzo procencie — leżących. Czyż najprostszy zmysł ekonomiczny nie nakazuje depozyty te w in-



ny sposób spożytkować? Urządzenie kas zaliczkowych dla przemysłowców i kupców, przeznaczanie pewnych odsetek na oświatę i inne cele użyteczności publicznej, muszą się przyczynić do rozwoju wszelkich przedsiębiorstw i do ożywienia miast.

Wreszcie wielkiem dobrodziejstwem dla ludności miejskiej, byłoby zorganizowanie na wzór istniejących we Francji: „Towarzystw kredytu pracy“. Zadaniem ich jest: udzielanie kredytu istniejącym stowarzyszeniom, pomaganie w tworzeniu nowych stowarzyszeń współdzielczych konsumcyjnych, kredytu i produkcyjnych—popieranie rozwoju miast i propagowanie zasad solidarności, oraz ułatwianie wszelkich operacji finansowych za pomocą majątku stowarzyszeń. Towarzystwo nie tylko kredytu ruchomego swym członkom udziela, lecz jest bankiem kredytowym stowarzyszeń współdzielczych. W rezultacie „Tow. kredytu pracy“ przez swe rady i przez swe kapitały, pomogło do założenia i rozwoju wielu stowarzyszeń produkcyjnych, a drobni handlarze i rzemieślnicy prędko zrozumieli korzyści tej instytucji. Charakterystycznem jest to, że Towarzystwo wymienione działa w warunkach, którychby żaden bank za bezpieczne nie uznał; tymczasem Tow. tak jest zorganizowane, że znając moralność, środki i interesy stowarzyszeń, z którymi codziennie ma interesy, których powstanie w wielu razach wywołało, pierwsze kroki ułatwiało, ma najzupełniejszą z tych powodów gwarancją. Straty są mało znaczące.

Obszernie przedstawwszy położenie ekonomiczne i pracę jednej połowy ludności miejskiej, nie wspomnieliśmy nic o pracy kobiet, z tego względu, że znaczenie jej nie jest i nie może być tego rodzaju, byśmy w niej widzieli czynniki, z którymi rachowaćby się należało w ocenianiu stosunków ogólnych, zwłaszcza ekonomicznych. Kobiety zadanie na polu moralném i społeczném olbrzymie zawiera obowiązki, ale w dziedzinie ekonomiki zajmuje ona stanowisko drugorzędne, wewnętrzne, domowe, ułatwia pracę mężczyźnie, ale jej z nim nie dzieli. Nawoływania emancypacyjne są sztucznym manewrem wyegzaltowanych kobiet, które w razie zastosowania tej emancypacji nie znalazłyby nawet sił już nie specjalnych, ale liczebnych, któreby małą choćby część prac im przeznaczonych wykonać mogły. Przesadne są również obliczenia cyfry kobiet bez zajęcia. W miastach np. liczba kobiet obowiązkowo pracy domowej oddanych jest bardzo wielką; żony robotników, rzemieślników, przemysłowców, ludzi wszystkich profesyj wyzwolonych, czas cały ognisku rodzinnemu oddać muszą, a kobiety bezżenne, z pracy rąk żyjące, cyfrę najwyżej 20,000 osób stanowią i wiele z nich ma utrzymanie bardzo przyzwyczajone, prowadząc sklepy, magazyny mód, szwalnie i t. p. Wreszcie: że kobiety nie mają znów tak wielkich przed sobą dróg działania, świadczy fakt, że nikt im nie broni tworzyć zakładów, w którychby kształcić się mogły nie na adwokatów, przyrodników lub dyplomatów, ale na przyteczne pracowniczki różnych przedsiębiorstw. Otóż

przypatrzwszy się kierunkom nadanym t. z. szkołom rzemiosł dla kobiet, widzimy, że w zakładaniu ich istniała jakaś mania. Istnieje takich zakładów bez liku, według jednych i tych samych wzorów, widocznie więc nie potrzeba dostarczać kobietom innych źródeł pracy. Możemy się mylić w zdaniu naszym, choć opieramy je na faktach, a jeśli tak jest, to ten fakt dowodzi praw natury, która, wyznaczysz podział pracy i obowiązków obydwom rodzajom ludzkości, łaćić ich nie pozwala. Nie ubliża to w niczćm kobietom, nie osłabia ich apostołstwa społecznego, a wiemy przecieć, jak szeroki widnokrąg na innych polach działalnoćci mają one przed sobą.

Ocenilićm więc siły materialne ludnoćci miejskiej, przypatrzylićm się jej siłom moralnym, nie w znaczeniu społecznćm, bo o tćm dopiero na końcu bćdzie mowa, lecz tylko pod wzglćdem ekonomicznego wyrobienia; zobaczymy tćż mieszczaństwo nasze pod wzglćdem rozwoju intelektualnego.

(C. d. n.)

---

# Z KRWAWYCH DNI.

NOWELA

przez K. G.

I.

Mroźny styczeń przykrywał białym całunem ziemię, a my, zaproszeni w listopadzie na zwykle polowanie, bawiliśmy jeszcze w gościnnym zamku Ebersberg—wspaniałej posiadłości p. Y... jednego ze znamienitszych niemieckich pisarzy i zarazem posiadacza znacznych obszarów ziemi.

Prócz mnie i mego dobrego znajomego, Bolesława S... także polaka, z radomskiego—towarzystwo zamkowe składało się: z pana Y... i jego małżonki, uprzejmej i miłej gosposi, czyniącej z nieopisanym wdziękiem honory domu, ich córki i wychowanicy, z dwóch sąsiadów i p. Emmy Brennér-Krohn, autorki nader w owym czasie głośnego niemieckiego dziełka p. t. „Laury i cyprysy“, w którym się niejednokrotnie i tak sympatycznie o kraju naszym wyraziła.

A prawdziwie po królewsku byliśmy w Ebersbergu podejmowani. Zupełną obdarzeni swobodą, pomieszczeni w osobnych apartamentach tej wspaniałej, średniowiecznej budowli — mieliśmy prawo robić co nam się żywnie podobało. Dla zwolenników myślistwa była bogata, pełna różnorodnej broni zbrojownia, rasowe psy i rasowe w stajniach konie; zaraz zaś za olbrzymim, starannie obmurowanym parkiem, kilkumilowe, odwieczne lasy, pełne najróżnorodniejszej zwierzyny. Dwa bilardy skracaly przyjemnie długie zimowe wieczory: — obszerna i starannie utrzymana biblioteka, dostarczała cenniejszej, umysłowej rozrywki.

Uprzejmi nasi gospodarstwo wymagali tylko, aby każdodziennie z uderzeniem szóstej i pół wieczorem, nikogo nie brakło przy obiedzie, w ozdobnej, rzeźbionym dębem wyłożonej, gotyckiej sali; co zaś do śniadania, to mogliśmy je spożywać wspólnie lub w naszych pokojach, podług upodobania.



Z powodu śmierci matki p. Y... nasi gospodarstwo w żałobie, zaniechali zwykłej pod ową porę podróży do Paryża — tak więc, pierwotnie na pożegnalne zaproszeni polowanie, przyjęliśmy w tajemniczych murach starego, niegdyś feudalnego zamczyska, gościnność na całą prawie zimę.

Po obiedzie towarzystwo nigdy się już nie rozłączało. Gdy podawano kawę — damy przechodziły do salonu, my zaś, podążaliśmy za nimi dopiero po wypaleniu urzędowego cygara i kilku kieliszków kirszu. Ja domięszywałem ten nektar (mówię o prawdziwym z okolic czarnego lasu) do kawy i nie mogę wstrzymać się od polecenia tego sposobu amatorom.

Palenie — nawet Marylandu — było z salonu wykluczone i czasem tylko, od święta, i to jeszcze dzięki pannie Matyldzie, córce gospodarzy, która niekiedy, litowała się nad moim towarzyszem, namiętym papierosistą, a dla osłonięcia tych wybuchów dobrego serca, wszystkim nam palić dozwalano.

Bolesława S... poznałem z domem szacownych Y..., przywołując go bez ceremonii na owe polowanie w listopadzie.

Pelen delikatności młody człowiek, choć serdecznie przyjęty, chciał po dniach kilku wrócić do niezbyt oddalonego miasta, któreśmy zamieszkiwali. Pan Y... jednak, polubił odrazu mego milczącego o smutnych oczach towarzysza — a wzrok panny Matyldy, sądzę że także zaświecił serdeczną prośbą o pozostanie.

Co do mnie, poznałem Bolesława na placu boju, pod Artenay (1870), w „dymiepożarów“ i wystrzałów ręcznej broni — wśród grzmotu dział pruskich, które nam dziesiątkowały szwadrony.

Wyświadczył mi przysługę, zabijając w samą porę, zręcznym strzałem z rewolweru, jednego z dwóch badeńskich dragonów, którzy widocznie mieli niewymowną ochotę, wyprowadzić mnie na łono przedwiecznego, na którą to uciezke wcale mi nie zależało.

Od owej chwili, staliśmy się braćmi prawie.

Burze żywota w krótkie nas rozłączyły. — łatwo więc pojąć, z jaką radością, najmując mieszkanke w mieście X., dowiedziałem się, że podobno nademną Bolesław S. zamieszkuje.

Kto był mój zbawca pod Artenay — nie wiedziałem i do dziś nie wiem jeszcze. O sobie zwykle mówił bardzo mało, jeżeli zaś decydował się czasem opowiedzieć jaki epizod ze swjej długiej po świecie pielgrzynki, to unikał starannie wszystkiego, co mogło odnosić się do okolicy, w której się rodził i do jego rodziny.

Ja badać go nigdy nie śmiałem.

W zanku p. Y., towarzysz mój pożądanym był gościem, gdyż posiadał wszystkie prawie talenty towarzyskie, a umiał ich używać właściwie i w porę. P. Matylda np. utrzymywała, że nikt tak zajmująco i wdzięcznie, obrazowo nie opowiada, jak mój towarzysz z wojny 1870—1871 r.; p. Marta, wychowawca pp. Y., iż nikt równie dobrze nie śpiewa Gounod'a i nie gra Chopina, jak sługa wasz,

czytelnicy. Tym sposobem, bratnio, nawet na tem ślizkiem godziliśmy się polu — i gdy Matylda wzrokiem gonila za każdym niemal ruchem mego zbawcy — ja nie spuszczałem oczu ze ślicznej, blondwłosej Hanoweranki, wymawiającej *stil*, *Stumm*, *Staub*, *Stimme* i t. p. tak jak się piszą te wyrazy.

Zawsze wieczorem, po obiedzie, p. Y. z żoną, p. Emmą Brenner-Krohn i jednym z sąsiadów, siadali do urzędowego wiska; często przyjeżdżający dzierżawca blizkiej fermy, do szachowego stolika z drugim, już także podżyłym sąsiadem, — my zaś, młodzi, układaliśmy kwartet w drugim kącie olbrzymiej sali. I nieraz ztamtąd, wesołe śmiechy na wrzawę zakrawające, sprowadzały nam uwagi graczy, lub karę zwijania włóczki albo bawelny, drugiego dnia, i to jeszcze od samego rano.

W chwili, w której zaczyna się niniejsze opowiadanie, wiska skończono przed północą jeszcze i p. Y. ze swym poprzednim *vis-a-vis*, asesorem sądowym z sąsiedniego miasta, zaczęli przy kominku nader poważną rozprawę o niedostatkach karnego prawa i o szkodach, jakie z tego powodu ludzkość ponosi.

Wciągu kwadransa, niewinna na pozór polemika, przybrała rozmiary gorącej sprzeczki i już nawet osobiste przymówki gradem się sypać zaczęły.

Jeden tylko mój przyjaciel, oparty o blizką konsolę, patrzył bezmyślnie w żywe ognisko, rzucając szermierzom od czasu do czasu, pełne politowania spojrzenia.

— A pan czemu się do nich nie przyłączysz? — zawołał nagle partener owego sąsiada, przyparty przez trzech innych do muru.

Przelotny uśmiech pobłażania przebiegł po bladym licu Bolesława.

— Pan wiesz dobrze przecie, że ja nigdy i w żadnym towarzystwie, nie wdaję się w rozprawy potrącające o te rzeczy. Mów pan o pogodzie lub o deszczu.

— Ależ, wypowiedz przynajmniej twe zdanie! — zawołał na piękne rozgniewany tym żarcikiem.

— Moje skromne zdanie wypowiadam bardzo często, ale... w kole ludzi mających własne i którzy, przekonani, ustąpić mogą. Wy zaś, jako sędzy prawa, macie odrazu wytkniętą drogę pojęć i postępowania, coż więc za korzyść ze sprzeczki, w której choćbyśmy i słuszność mieli, ustąpić nie możecie z zasady.

— Ale ja chcę i pana i ich przekonać — przekonać koniecznie! — dorzucił nieborak, do ostateczności doprowadzony. — Niewolno jest, pod pozorem, że prawo karne usterki posiada, samemu karcić nieprzewidziane ustawą przestępstwa... szerzyć dalej bezprawie.

— Szanowny sąsiedzie, — rzekłem spokojnie, chcąc wstrzymać nowy wybuch gorzkich, obustronnych przymówek — podobna gadanina do niczego prowadzi. Gdy się chce jeść, nie wolno kraść

ani zabijać dla kawałka chleba, niewolno zebrać — nie wolno też targnąć się na własne życie. Cóż tedy wolno w takim razie? Szukać pracy? prawda? Ale szukając jej, jeść także trzeba...

— Ja sądzę...

— Nie, szanowny panie, żołądek nie sędzi. tylko kurczy się, i te kurcze oddziałują na cały organizm, głównie na nerwy, mózg it. p. Wtedy zdrowy sąd ustaje. Żołnierze, nakarmieni i napojeni idą naprzód—głodni rzucają karabiny i uciekają. W roku 1870 i 1871 zwyciężaliście, boście byli syci. Bywają wyjątki od tej reguły, ale rzadkie. We względzie ciosów moralnych, to samo się dzieje; człowiek zatracą poczucie tego, co godziwe a niegodziwe, i wtedy trudno mu prawić kazanie, lub utyskiwać, że brak w kodeksie tego lub owego paragrafu, że skutkiem tego lotr tryumfuje a motłoch opluwa ofiarę! Objaśnijmy rzecz na przykładzie: np. Piotr lub Paweł ma siostrę. Wraca do domu, zastaje pod cichą dotąd strzechą rozpacz i łzy, gorzej jeszcze... sromotę! Do sądu zwrócić się nie może, bo go pierwszy zaraz sędzia śledczy wyśmieje, bo nie ma paragrafu, odpowiednio surowo karzącego nędznika, bo sam p. sędzia do dziś podobne grzeszki miewa na sumieniu. Cóż więc Piotr lub Paweł uczynić powinien?

— Ja, ja myślę...

— Nie—niech pan nie myśli. Rozstrzygaj nam pan sprawę odrazu—teorya i uczone rozumowania zupełnie tu są nieużyteczne. Podjąłeś się bronić złej i zawilęj sprawy — broń-że jej należycie.

— Cóż powiem — rzekł przeciwnik —złe wychowanie dziewczyny... strzedz ją należało...

— I oto, moralność wasza!—ozwał się dźwięczny głos Bolesława.—Daruj, pan, lecz ja byłbym zdania, aby inaczej wyjaśnić tę sprawę, a mianowicie: Nietylko oświecać trzeba naród wszechstronnie, ale wychowywać go w zasadach moralności chrześcijańskiej, która najlekko myślniejszą naturę wcześniej przestrzeże, że choćby nas litera karzącego prawa nie mogła osiągnąć, to skarci każdego winnego sumienie, ten najsprawiedliwszy sędzia, którego żadne wybiegi wymowy adwokackiej zmylić nie potrafią. Trzeba wychować naród we wszystkich jego warstwach w takim rygorze poczucia sprawiedliwości, aby każdy zawsze i wszędzie uszanował w każdym bliźnim godność człowieka bez różnicy stanu, powołania, sytuacji towarzyskiej. Równocześnie trzeba rozszerzyć i wzmocnić skutecznie opiekę kodeksu karnego do tego stopnia, aby każdy pokrzywdzony obywatel kraju, ufny w sprawiedliwość wyroku, znalazł w nim pożądaną podporę i zadosyćczynienie swęj godności ludzkiej. W tym celu należy jak najwcześniej zaszczepiać w młodszych pokoleniach wszystkich stanów gruntowne zasady religijne i poszanowanie prawa, aby każdy — podobnie jak dziecko, pod matki opieką — z ufnością i żywą wiarą



w sprawiedliwość, niósł pod sąd ogółu — coram populo — wszelkie nadużycia, wszelkie uchybienia moralności i sprawiedliwości.

— To komunistyczne mrzonki! — szepnął jego przeciwnik zjadliwie: — w społeczeństwie muszą być zawsze szczęśliwsi i cierpiący.

— Powiedz pan, proszę, bez ogródek: kaci i ofiary. Ale mylisz się — ciągnął dalej, rzucając mu spojrzenie pełne politowania — tylko aby ludzkość doszła do tego stanu, trzeba najpierw usunąć odpowiedzialność niewinnych za przestępców, piętno hańby, które jedni za drugich noszą na czole, bo to upodla ludzkość wykształconą i właśnie obraża tę moralność, o której tak szeroko rozprawiacie. — Nareszcie uciąć palec wskazujący na bliźniego: to syn łotra! równie jak uciąć palec wskazujący: to syn sprawiedliwego. Cóż bowiem za zasługa dla mnie, że zacnych ludzi miałem w rodzinie? cóż za rękojmia, że i ja takim będę? A cóż znowu za hańba, że mi ojca lub brata za rozbój powieszono, bylebym ja był człowiekiem dobrym i prawym.

Kamieniem probierczym cnoty ludzkiej — to nie przodkowie zasłużyli ojczyźnie, lecz własne nasze zacne czyny — uczciwe postępowanie. Ale... oto moralność wasza!

Wszystkich spojrzenia spoczęły na męskiej twarzy mówiącego. Lecz już młody człowiek ochłodził z chwilowego uniesienia. Oczy błyszczące dopiero, znów smutny wyraz przybrały — pobladło piękne, klasycznie zakreślone lice.

Przystąpił do przeciwnika, i biorąc go, mimo lekkiego oporu za rękę, rzekł zwykłym, półcichym swym głosem:

— Daruj pan, może poszedłem zadaleko — wiem, że inaczej mówić wam nie wypada... nie miej więc do mnie urazy... Ach, i ja także... niedawno, tak jeszcze cierpiałem! — dodał ciszej trochę.

Sąsiad, w gruncie widać niezłe człowieczysko, odparł na ucisk ręki serdecznie.

Oczy Matyldy spoczęły na Bolesławie z wyrazem nieopisanego spólcucia — całe zaś towarzystwo bliżej do naszej trójki przystąpiło.

— Powiedz pan! opowiedz! — wołano do kola, nie myśląc, że młody człowiek, przychyłając się do życzenia towarzystwa, głęboką, nie zabliźnioną jeszcze, musiałby może poruszyć ranę.

— Jeżeli możesz, Bołku, to opowiedz — szepnąłem po polsku. Chwilę podumał.

— Eh, co tam! — rzekł nagle. — Przed miesiącem, ostatni aktor dramatu zeszedł już do mogiły, sam pozostałem.. chcecie, to opowiem w jak dziwnym, strasznym niemal znalazłem się położeniu. Los...

— Bóg! — wtracił sąsiad ze sprzeczki przedchwilowój. Spojrzał nań Bolesław i nieznacznie ruszył ramionami.

— Nie, mylisz się się pan,—odparł chłodno. — Los... przypadek — Bóg za dobrym jest, aby siać po ziemi takie nędze i takie niedole—daremnie nam Go w tak złém świetle przedstawicie. Los tedy wyznaczył mi rolę, po szyję we krwi prawie...

Chcecie, opowiem jaki węzeł gordyjski do rozwiązania mi przedłożono i czy słusznie postąpiłem, przecinając go, a właściwie: milcząc, gdy przecinano go wbrew prawu.

Wiska, szachów i rozmowy nikt już nie miał ochoty zaczynać na nowo.

Na zewnątrz zamku szumiał huragan śnieżny, bijąc białemi płatkami o wysokie, wązkie, gotyckie okna sali.

Dorzucono kilka bukowych polan w komin olbrzymi—rozstawiono zabezpieczające od żaru zasłonki, i otrzymaliśmy ponętne pozwolenie: zapalić cygara i papierosy, oraz wypróbować kilka butelek znakomitego xeresu, który ze słynnemi biszkoptami z Reims, na tacy w tej chwili nam przyniesiono.

Damy, dla zbawienia pozorów, wzięły różne robótki do rąk i Bolesław zaczął opowiadać temi słowy:

## II.

W roku 1869, zaraz po otrzymaniu prawa francuskiego obywatelstwa, przeszedłem w stopniu podoficera z cudziemskiego legionu, do 3-go pułku huzarów.

Majorem w naszym szwadronie był młody oficer, moich lat prawie; nazwę go wam baronem Gastonem de Crécy-Brissac. Ojciec jego hr. de Crécy, wraz z żoną i córką zamieszkiwał wspaniałą rodziną posiadłość w okolicach Orleanu.

Gaston, w pierwszych już dniach przybycia mego z Orleanu do m. Algieru, gdzie wtedy cały pułk był na zimowych leżach,—dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, okazywał mi niezwykle względy, często bardzo od uciążliwej uwalniał służby, potem — w kolumnach—przy jego bywałem boku—gdy zaś został starszym majorem w pułku (administratorem zwanym we Francyi „le gros Major“), wystarał się o przydzielenie mnie do głównego sztabu i wziął potem za przybocznego sekretarza.

Znane są wszystkim istniejące we Francyi do ostatniej wojny ustawy, dozwalające prostemu żołnierzowi marzyć najwyższe wojskowe zaszczyty. Smutny one wpływ wywarły we wczorajszej kampanii; więcej bowiem inteligencya i wykształcenie Niemców, niż oręż ich nas pokonały. Nie rzadko, mnie samemu, zdarzało się widzieć wyższych nawet oficerów, którzy zaledwie czytać i pisać umieli, a o ziemiach obcych prawie żadnego nie posiadali wyobrażenia. Raz nawet, pamiętam, iż pułkownik Legii zapytywał mnie

z powodu jakiegoś sporu co do Polski — czy potrzeba koniecznie płynąć przez ocean do Warszawy i czy czerwone morze także do nas należy.

Otóż, Gaston de Crécy, w kole oficerów, spędzających czas na grze w bilard i w karty — był jednym z tych ludzi, dla których umysłowa rozrywka wszystkim jest prawie. Znalazłszy, że i ja, choć na tak niskim szczeblu hierarchii wojskowej, jakie takie jednak posiadam wykształcenie — zaczął coraz częściej poszukiwać zemną rozmowy; gdy zaś, po pamiętnej wyprawie do Fuiguigu, zostałem podporucznikiem w pułku — łączące nas już węzły znajomości, w ścisłą się przyjaźń zamieniły.

Obrazowo pięknej twarzy, Gaston posiadał wszelkie przymioty: szczere, dobre serce, łagodność usposobienia, co zaś głównie, nieposzlakowaną prawość charakteru. Mimo jednak takiej, jak nasza zażyłości, prócz wspomnienia z dzieciństwa siostry — nigdy o swojej nie wspominał mi rodzinie.

Raz tylko, otrzymawszy przy mnie list z Crécy — bo tak się posiadłość jego rodzina nazywała — zerwał się z krzesła na równe nogi — on, tak zwykle spokojny i umiarkowany, zmiętosił otrzymane pismo i rzucając je w kominek, zaczął szarpać wąsy, gryźć wargi i szybkimi krokami chodzić po pokoju.

— Widać niezbyt przyjemną nowinę otrzymałeś, Gastonie, rzekłem, patrząc z podziwieniem i niepokojem na zmienioną twarz przyjaciela.

— Ja myślę, odparł zgrzytając zębami. I powiedzieć, że temu zaradzić wcale nie można! dodał jakby do siebie.

— A czy wolno wiedzieć o co chodzi? szepnąłem, biorąc go za rękę.

Stał przedemną, popatrzył mi w oczy i po chwili wahania:

— Au fait, odparł ze smutnym uśmiechem — dla czegoż miałbym ci taić moje zmartwienie?

— Lecz cóż się stało takiego, Gastonie?

— Co? Siostra moja, biedna Lucy — a ręczę, że przeciw swęj woli — ma zostać wkrótce żoną człowieka, który... który...

Znów chwila wahania.

— Który, podług mnie pod żadnym względem nie budzi zaufania i żadnej na przyszłość rękami dać nie może.

— Sądzę, że jako brat, powinienbyś przecie...

— Właśnie, że się mylisz! ojciec mój, człowiek bardzo zacny, lecz ma swe słabostki i żelazną — niewzruszoną wolę. On właśnie zawiadamia mnie, iż ułożył to małżeństwo.

— A czy nie możnaby mu wyłomaczyć?

— P. de Nortonville, kilkunastoletni przyjaciel hr. de Crécy i od lat dawnych, codzienny gość w naszym domu.

— A ileż ma lat siostra twoja?

— Lucy za dwa miesiące skończy lat siedmnaście.



— A p. de Nortonville?

— Czterdzieści ośm, do pięćdziesięciu lat, może więcej!

— Mais c'est une monstruosité, que ce mariage! szepnąłem zdumiony.

— Je le sais bien, parbleu! lecz znać mego ojca potrzeba. Co postanowił, to wypełni choćby z życia ofiarą.

— I poświęci córkę?

— Nie wiem... Lucy się zgodziła... dobrowolnie przystała na to małżeństwo.

Nic już nie rozumiałem.

— To właśnie zgodzenie się jój bez wahania, wprawia mię w podziwienie i tak niepokoi...

— Dam ci dobrą radę Gastonie—rzekłem po chwili namysłu, widząc ciężką troskę na licu przyjaciela.

— Jaka?

— Podaj natychmiast o urlop, choćby miesięczny tylko.

— Tak—toby może i dobrém było.

— Ja jutro jadę do Algieru—postaraj się, żeby dziś podanie twoje w kancelaryi pułkownika odrobiono i sam je zawiozę...

Uścisnął mi rękę w odpowiedzi.

Obozowaliśmy wtedy o sto kilometrów na południe kolonialnej stolicy i nazajutrz o świcie, miałem powiedzieć do dywizji różne sprawozdania z ruchów dotychczasowych naszej kolumny. Zabrałem więc z sobą i podanie, opatrzone przychylną uwagą pułkownika. Co zaś do rozmowy dotyczącej rodziny Gastona — tyle tylko co wyżej powiedziałem, powierzył mi ze swęj tajemnicy.

Może wtedy, a i teraz nawet, opowiadając wam ten smutny epizod mego życia, myślę się, przypuszczając, iż Gaston wiedział, lub przynajmniej odgadywał rzeczywistą przyczynę zgodzenia się Lucy na połączenie z człowiekiem starszym od niej o lat trzydzieści i kilka — to tylko pewne, że stosunki rodzinne zupełnie obce mu nie były.

„Pojedzie i może tam co zrobi. Jeżeli na ojca wpłynąć nie zdoła — może z p. de Nortonville, choćby ze szpadą w rękę wyjaśni ciemną sprawę.“

Tak myślałem, wracając w ośm dni później z Algieru, już z urlopem Gastona w kieszeni.

Eskorta moja, złożona z dwunastu Spahisów, tak była znudzona, iż ostatnich dwóch etapów w jednym dniu zrobić nie była w stanie; niecierpliwy więc, objawić co prędzej radośną nowinę przyjacielowi — zostawiłem moich ludzi na ostatniej leży a sam, korzystając ze świeżego konia, którego znalazłem na posterunku, zdałem dowództwo sierżantowi i puściłem się cwałem do Mifii — oazy, w której brygada nasza stała obozem.

Niedojeżdżając do przednich straży — uderzył mię niemiłe, dochodzący z wiatrem głuchy łoskot bębnow z reduty a potem,

gdy podjechałem bliżej—dźwięki żałobnej, kawaleryjskiej fanfary. „Cóż się tam stało?” pomyślałem, dziwnym przeczuciem tknięty i zmęczonego już konia spałem ostrogami, aby prędzej być na miejscu przeznaczenia.

Droga kręta i kamienista, szła głębokim jarem, zamkniętym wzgórzem, po za którym była osada Mifia. Przy samem wyjściu z tego jaru, o kilometr od reduty, której jednak, z powodu małego, zasłaniającego ją lasku, i mocnego zakrętu wawozu, jeszcze widać nie było — spotkałem się oko w oko z pikietą mego pułku, złożoną z sierżanta i dwóch brygadierów.

Mieli czarne krepy, powiewające na lewem ramieniu, gołe szable opuszczone ku ziemi. Na licach wiarusów smutna była powaga—kroczyli stępem, jakby poprzedzając większy oddział postępujący za niemi.

— Kto umarł w pułku? wyszeptalem zatrzymując tchnienie.

Stary sierżant popatrzył na mnie i otarł łzę co mu w oczach zaświeciła.

— Miěj odwagę, mój poruczniku! rzekł nie zatrzymując konia, to biednego majora de Crécy chowamy.

— Jego?.. ależ to niepodobna! krzyknąłem jak obląkany; zostawiłem go zdrowego—urlop mu do Francji przywożę!

— Onegdaj, na polowaniu, odłączył się od innych i... znaleźliśmy go pod palmą, przy Marabucie <sup>1)</sup>, z arabską kulą między żebrami. Biedny major! Żył jeszcze! Zanieśliśmy go do obozu, pocieszając się nadzieją jego wyzdrowienia. Umieszczony wygodnie w namiocie generała, zabrał się gorączkowo do porządkowania swoich interesów familijnych. Pisał listy, pieczętował, gotując się do tego królestwa niebieskiego, które wszystkim troskom ostateczny kres kładzie!

I pikietą stępem pojechała dalej.

Lecz już i tony marsza pogrzebowego doleciały do mnie, a za chwilę spotkałem i kondukt cały.

Wiernego Midzę majora prowadzono za uzdę za trumną, dalej—wszyscy oficerowie i oddziały wszystkich broni.

Złamany tym widokiem, ze łzą w oku — podążyłem za innymi.

Tu, Bolesław, zatrzymał się chwilę w opowiadaniu.

— Ah, jaka to smutna historia! szepnęła Matylda, patrząc na chmurną wspomnieniem twarz mego towarzysza.

Wszyscy słuchaliśmy z zajęciem pana S... ten zaś zaczął opowiadać dalej.

<sup>1)</sup> Marabout, pomnik grobowy wodza plemienia; także Multa (ksiądz) u Beduinów.

„Gdy spuszczone trumnę do dołu i ksiądz brygady zaśpiewał „Salve Regina“—usłyszeliśmy nagły szum tuż za nami i sygnałowa rakietą, sypiąca potoki iskier, wzniosła się w górę, opisując łuk olbrzymi.

Nie wiedzieliśmy co to znaczy.

Opodal, odprzodkowywano dwa górskie granatniki, dla pożegnanej salwy nad mogiłą—nasze huzary nabijali karabinki.

Lecz w tejże chwili, przeciągły grzmot plutonowego ognia od strony reduty, sprawił nieopisane zamieszanie.

Rzuciliśmy się do koni—myśląc, że Arabi na obóz napadli.

— Uspokójcie się, panowie! zawołał generał D... głównie komenderujący, biorąc właśnie grudkę ziemi, aby ją rzucić na trumnę Gastona—to ja kazałem rozstrzelać sześćdziesięciu jeńców wojennych z plemienia Beni-Afra, z którego był morderca pana de Crécy. Rakietą była hasłem wykonania wyroku; umarł zemszczony przynajmniej! dodał z nerwowym skrzywieniem twarzy, które mu w chwilach gwałtownego wzruszenia, było właściwe.

Zadrżeliśmy wszyscy na te słowa, i niejeden z nas pomyślał, pewnie, że sześćdziesiąt ofiar za jedno życie — może trochę za wiele!

Lecz wśród głuchej ciszy przyjęto słowa pana D., znanego z nieublaganej nienawiści dla Beduinów, którzy mu przed rokiem brata, także podstępem, zamordowali. Prócz tego, Gaston był ulubieńcem generała.

— A wy, chłopcy, rzekł jeszcze głównie dowodzący, przygotujcie się dobrze; pojutrze pojedziemy w odwiedziny do tego zbojeckiego plemienia, a biada z was temu, który mi jeńca, choćby jednego nie przyprowadzi! Razzia po wszystkim, panowie!

\* \* \*

Wieczorem, po pogrzebie pana de Crécy — pułkownik oddał mi dużego rozmiarów opieczętowaną kopertę z moim na wierzchu nazwiskiem, skreślonym ręką Gastona.

— Biedak, umarł dopiero nazajutrz po postrzeleniu; — a jakiego potrzebował wysilenia, aby dokonać tego aktu przyjaźni... w takim położeniu! rzekł, patrząc jak drżącą ręką rozrywałem kopertę.

List ów pamiętam cały i każdy wyraz wrył się w pamięć moją—powtórzyć go wam mogę wiernie:

„Mój drogi Bolesławie!

„Już się nie zobaczymy.

„Nie mam czasu na opisywanie ci mojej przygody—odrazu tedy przystępuję do proźby, którą mam do ciebie.

„Bolesławie, wierzę twój przyjaźni — więcęj wierzę, że długo będzie ci mnie brakowało w życiu, a pewny jestem, że nikt i nigdy tak cię kochać nie będzie jak ja—rzecz dziwna zaiste—przywiązałem się do mego b. sekretarza jak do żony, jak do kochanki.



„Nie mam pierwszej; druga pocieszy się z łatwością — zostawiam więc dwa skarby po sobie: Lucy i... ciebie.

„Bolesławie! umierający, zaklinam cię, żebyś czuwał nad biedną siostrą moją i, wszelkimi sposobami—słyszysz: wszelkimi sposobami (każdy będzie godziwy), przeszkodził połączeniu się jęj z p. de Nortonville. W obliczu śmierci, ja, człowiek uczciwy, chłodno i bezstronnie sąd ci o nim wydaję: to nikczemnik w całym znaczeniu tego słowa.

„Doręcz z załączonych tu dwóch kartek: jedną rodzicom moim — wyrobi ci serdeczne przyjęcie w Crécy; drugą oddasz Lucy, lecz nie pierwój, aż sam przekonasz się, że ona jest już lub ma być ofiarą i znajdziesz środek uwolnienia jęj od tego człowieka.

„Cóż więcój napiszë? Czas mój policzony. Podaj zaraz o urlop i jedź do Orleanu. Czuję, że bolesną, krwawą może misyą zostawiam do spełnienia—powierzam honor mój rodziny — lecz wiem, Bolesławie, że wy, polacy, rycerscy jesteście i szlachetni.

„Pamiętaj o Lucy!

„Twój: Gaston de Crécy-Brissac“.

„NB. Po mojej śmierci, ojciec gotów zapisać całe nasze imię i tytuły temu Nortonvillowi, aby rodzina nie wygasała... niedopusć! czuję szum w głowie... lód w piersiach... przekłety Beduin, strzelił do mnie z za kaktusa przy drodze... jakie szczęście, że nie trafił mię w piersi lub w głowę—biedna siostra byłaby zgubiona... żegnam raz...“

Ostatnich słów brakowało. •

Noc całą rozmyślałem nad treścią tego zagadkowego listu — przeglądałem wręczone mi papiery Gastona, szukając bliższych wskazówek... lecz prócz zwykłych listów rodziców majora i naiwnych, tchnących pensyonarką listów Lucy i jęj fotografii — nie w nich o stanie rzeczy objaśnić mię nie mogło.

Nazajutrz rano, poszedłem do generała D.!

— Generale! rzekłem doń, po kilku chwilach rozmowy—generale, daruj, że zmuszony będę powierzyć ci część niemojój tajemnicy—proszę tedy o słowo honoru francuzkiego oficera, że zapomnisz natychmiast co przeczytasz teraz.

Dobyłem z pugilaresu list majora.

Zacny D... bez wahania i nie obrażając się, dał żądane słowo—przeczytał list i rzekł poważnie:

Urlop pański natychmiast będzie gotów—za trzy dni będziesz mógł opuścić brygadę—a co przeczytałem—już nie pamiętam! dodał ze smutnym uśmiechem. Pozostaje mi tylko jeszcze jeden obowiązek do spełnienia:

Pan de Crécy, przed śmiercią, kazał sporządzić i podpisać przy świadkach testament, mocą którego osobisty swój majątek, spadły nań po ciotce, pani de Villedieu, w ilości dwudziestu pięciu

tysięcy fr. rocznej renty, przechodzi na zupełną pańską własność, poruczniku.

Patrzyłem zdziwiony na generała.

— Nie powinienes się wahać przyjąć tej pamiątki od przyjaciela, ciągnął dalej pan D... nikogo przecie tém nie skrzywdzisz — bo rodzina de Crécy-Brissac posiada miliony, a te pieniądze w walce, którą ci przedsięwziąć wypadnie, wierz mi, przydadzą się z pewnością.

Wyjął z szuflady biurka arkusik stemplowego papieru i wręczył mi go ze smutnym uśmiechem.

\*

\*

\*

We dwa dni później, pułk nasz, z pomocą batalionu lekkiej afrykańskiej piechoty i baterji granatników — zdobył szturmem ogromny aul Beni-Afra.

Nasze huzary — z szabłą w ręce, jak huragan wpadli do zajętej Smohli.

Generał D... dotrzymał słowa — a wojsko przykaz pamiętało: gdy bowiem nazajutrz opuszczaliśmy dymiące zgliszcza — w gruzach i popiele walało się do półtora tysiąca arabskich trupów, między którymi kilkaset ciał kobiet i dzieci.

Wzięto jednego tylko jeńca — kaida Ben-Rugo — mordercę majora, którego nam pierwój wydać nie chcieli arabscy naczelnicy, przynosząc szturm i rzeź nad ukaranie złodniarza.

Nieubłagany D... kazał go rozstrzelać na mogile pana de Crécy.

Tak skończył się pierwszy akt dramatu, który dziś jeszcze mam w całej swój grozie przed oczami.

W oznaczonym dniu urlop mi przysłano i niebawem, wolny na trzy miesiące od służby, wysiadałem na dworcu w Orleanie.

### III.

Karol Amaury de Brissac, hr. de Crécy, ojciec biednego Gastona, był z tych coraz bardziej zacierających się typów francuzkich magnatów, których przodkowie mordowali kobiety i dzieci w nocy Św. Bartłomieja, a ojcowie sprowadzili swym uciskiem tak straszną potém rewolucyą, sami zaś, przeszedłszy w szeregi wrogów ojczyzny, zalali ją bandami obcych najemników.

Żyjąc wśród państwa jako tako konstytucyjnego, był idealnym obrazem despotyzmu. Tylko że podobne nawyknięcia hrabiego do rodziny, sług i farmerów ograniczyć się musiały: za młodu zaś, dzieckiem prawie będąc, należał już do wszystkich spisków, któ-

remi zatrutowano panowanie malowanego króla i po raz wtóry skrwa-  
wiono biedną Wandę.

Zaciekły jednak Burbonista, z ogłoszeniem drugiej rzeczy-  
pospolitój, dał się chwycić na wędkę zręcznemu dowcipnisiowi: gdy  
mu bowiem publicznie zarzucano, że jeżeli algerska armia tak mało  
liczy arystokratów w swych szeregach—to więcej spowodu draż-  
liwości nerwów szlachtetnego przedmieścia (Faubourg St. Germain)  
niż z jakich bądź innych względów—dobrém pchnięciem szpady,  
położył na miesiąc do łóżka impertynenta, a sam zapisał się do  
pułku wchodzącego w skład kolumny Lamoricière'a.

Nieustraszoną odwagą, a poniekąd i niezaprzeczalnie grunto-  
wném wykształceniem, szybko przebiegał pierwsze szczyble wo-  
jenne—i gdy Napoleon posłał swe legiony do Krymu—Amaury de  
Brissac, już jako pułkownik, uczestniczył we wzięciu bastyonu Ma-  
lachowa.

Śród nieopisanego zamieszania i zacieklego ręcznego boju,  
spowodowanych nagłym pojawieniem się kolumny Mac-Mahona—  
dwóch rosyjskich gwardzistów, ściągawszy z konia rozbrojonego  
pułkownika, już go z sobą w odwrocie uwodzili—gdy niespodziewa-  
nie dwa wystrzały z rewolweru oswoodziły de Brissac'a tak, że ran-  
ny, okopcony dymem, ale już między swymi, znalazł się oko w oko  
z młodym jeszcze żuawskim oficerem, nabijającym śród gradu kul  
i kartaczy na nowo broń swoją.

— Jak się pan nazywasz, poruczniku? rzekł de Brissac, wy-  
ciągając rękę do swego zbawcy.

— August de Nortonville—odparł zapytany.

— Dobrze, szepnął pułkownik — w życiu tój usługi nie za-  
pomnę.

I siadając na podprowadzonego wierzchowca, ranny w bok  
bagnetem, jak zawsze, nieustraszony, podniósł szablę do góry i wo-  
lając: „naprzód“, rzucił się ze swoimi na ziejące ogniem działa  
obronców bastyonu.

Po skończonej kampanii, Amaury w stopniu generała uwol-  
niony ze służby, zmusił prawie p. de Nortonville do podania się  
do uwolnienia i biednego oficera, mającego szpadę za całe mienie,  
przywiózł z sobą do Crécy.

W tajemnicy przed młodą swą żoną, kupił hrabia w okolicy  
prześliczną małą posiadłość, składającą się z pałacyku i tylko ka-  
wałka parku przy nim — lecz dołączył do tego dwanaście tysięcy  
franków renty i podarował swemu zbawcy.

W zamku, przedstawił go z całym ogniem wdzięcznego i go-  
rącego serca i od tój pory, dwaj przyjaciele byli nierozdzieleni.

Towarzystwo ciągle prawie pana de Nortonville tём pożądań-  
szem było dla hrabiego—ile że stosunki domowe, nie zdawały się  
umilać mu nad miarę życia.



Okolo 1845 r. magnat ten, którego przodkowie zaliczani byli do najbogatszych właścicieli ziemskich w departamencie, licząc zaledwie trzydzieści i pięć lat wieku — był zupełnie zrujnowany. Olbrzymie dobra, wraz z zamkiem rodzinnym — hotel w Paryżu, urocze wille: nad Renem, pod Neapolem i nad jeziorem Como, aż do mebli i zaprzęgów — wszystko stało się pastwą lichwiarzy; maleńkie tylko pied-à terre pod Lyonem, rodzaj myśliwskiego zameczku, zawieszono na skale nad szumnemi falami Loary, ocalało z ogólnej powodzi — i tam to potomek krzyżowników udał się z mocnym postanowieniem odebrania sobie życia.

Dla czego właśnie to, a nie inne wybrał na ten rozpaczliwy zamysł ustronie — historia nic nie wspomina. Hrabiemu jednak nie było przeznaczone umrzeć taką śmiercią. W wigilię fatalnego dnia, w którym postanowił rozstać się ze światem — stary sługa, jedyny, pozostały z licznych darmozjadów czeredy — zameldował mu dość oryginalnych gości. Byli nimi: p. Laurenceau, jeden z pierwszych rękodzielników Lyonu, i jego notaryusz Rémy.

De Brissac, wbrew usposobieniu samobójców, w przededniu śmierci, był w bardzo wesołym nastrojeniu umysłu.

— Wprowadź tych panów! odparł chłodno.

Nie opowiadał wam dłuższej rozmowy między tą trójką szanowną; musiano jednak dobić jakiegoś targu, gdyż goście zostali na skromnym śniadaniu, do którego wezwano i jakiegoś jeszcze sąsiada hrabiego.

Spisano zaraz potem akt kupna i sprzedaży, a nazajutrz de Brissac, zamiast na łonie przedwiecznego, ujrzał się za suto zastawionym stołem, u milionowego przemysłowca i... narzeczonym młodzieńkiem Maryi — jedyną jego córki i dziedziczki.

Lecz rok 1845 był, że tak powiem, przedświtem trzeciej rewolucji i podówczas już nie można było wlec dziewczętą gwałtem do ołtarza.

Przystojny magnat, mimo swęj ogłady i świetnego tytułu, — może dla tego że tak nagle — narzucony — dla innych powodów może — lecz obudził w biednym dziecku wstręt nieopisany. Ale, jak powiedziałem, siłą wtedy nic tu zdziałać nie było można — użyto więc środków innych: wpływu pewnych osób na spaczono pojęcia dziecka i wpływu trwogi, wobec strasznej, nieznannej dokładnie wieczności i okropnej kary za nieposłuszeństwo rozkazom rodzicielskim.

Ślub wyznaczono za trzy miesiące; wybrano podarki ślubne, odrysowano nowy krój liberyi — naradzano się jakim sposobem należy odnowić starą de Crécy'ch siedzibę — zapomniano tylko oddalić pana Galmain, młodego, przystojnego profesora angielskiego języka, który, po dawnemu, codzień udzielał lekcji przyszłej hrabinie de Brissac. A był to, jak sądzę, błąd nie do darowania.

W dniu oznaczonym pojechano do urzędu mera, a potem, po ślubie cywilnym, po błogosławieństwie do kościoła.

W siedm miesięcy później hrabina dała przyszemu generałowi dziedzica, którego Gastonem nazwano, a w dziewięć lat dopiero córkę, Lucy.

Pożycie dwojga małżonków, od samego dnia ślubu, było ściśle arystokratyczne. Widywano się przy śniadaniu i przy obiedzie: czasem składano razem wizyty, jeżdżono do Włoch i do Paryża.

Hrabia, w gruncie niezły człowiek, był już z natury nader chłodnego usposobienia, a biernie zachowanie się żony, wyrobiło w nim rodzaj pochurności charakteru, która z czasem w żelazną, niczém nie ugiętą wolę się przemieniła. Zapomniał roli męża, a nauczył się być panem.

Syna tylko kochał szalenie—może dla tego, że mu się zjawił tak niespodziewanie.

P. de Nortonville, po zamieszkaniu w sąsiedztwie zamku de Crécy, wobec rodziny hrabiego, trzymał się w biernej zupełnie roli. Greczny w miarę i w miarę także rozmowny—większą część czasu spędzał z generałem na polowaniu, lub na czytaniu angielskich poetów wieczorami,—za którą to usłużność, Marya, mająca zawsze do tego języka sympatyę, przebaczała mu prawie nagłe wdarcie się w dom jej i w serce męża.

Jedna tylko Lucy, prześliczne szesnastoletnie dziewczątko, o płowych włosach i jak południowe niebo szafirowych oczach, okazywała zbawcy ojca wstręt nieprzewyciężony. Wstręt ten powstał z lat najrańszych: drobną dzieciną jeszcze, z rąk się mu wyrwała, drapiąc czasami jak rozdrażnione kociątko—czasem kąsając twarz nachyloną do pocałunku. Najczęściej zaś, kryła się w kącie przybyciem Nortonville'a, i żadne prośby wywieźć ją z ukrycia nie zdołały. Gdy wróciła z Sacre-cœur w Paryżu—kończąc szesnastą wiosnę, witającego ją ex-oficera, obrzuciła lodowatém spojrzeniem i nie przemówiła doń ani słowa. Od tej pory—nie byłaby złamała postanowienia za nic w świecie. Pan de Nortonville zrzec się więc musiał obcowania z dziewczyną, okazującą mu tyle jawnej niechęci.

Na kilkanaście dni przed odebraniem przez Gastona listu od ojca, o którym wyżej sam wspomniałem—porucznik wyświeżony jak na bal jaki, z uczernionym szpakowatym wąsem i starannie okręconą napoleonką, wszedł niespodziewanie do salonu, w którym przy oknie z robótką siedziała Lucy, blada, z zapłakanymi oczami—śledząc z niezmierném roztargnieniem gonitwę łabędzi po parkowym stawie.

Wszedł i przystępując prosto do dziewczęcia, wziął je za rękę i rzekł półgłosem:

— Mówiłem wczoraj z mamą pani... czy mogę tedy prosić dziś ojca o pani rękę?

Lucy, pierwszy raz może od roku, podniosła oczy w obecności tego człowieka i obrzucając mu twarz błyszczącym jeszcze od łez spojrzeniem:

— Więc pan jesteś nieubłagany? szepnęła zaledwie dosłyszanie.

— Kocham cię Lucy nadzycie.

Hrabianka drgnęła na całym ciele i znów spuściła główkę w ponuręj zadumie, lecz ręki mu nie wyrwała.

Porucznik znów powtórzył natarczywie pytanie.

— Ojciec w bibliotece i... pewno oczekuje... rzekła nareszcie.

— Lucy—ty jesteś aniołem! życie ci niebem szczęścia umilę... zawołał patetycznie de Nortonville, obrzucając płomiennym wzrokiem dziewczę.

Hrabianka powstała wtedy i odstępując krok w tył...

— Mama musiała panu powiedzieć moje warunki! będziesz miał mój majątek, ale więcej nie! odparła chłodno, patrząc śmiało, tym razem w rozognioną twarz mówiącego.

Dobyła z kieszonki sukni mały, ślicznej roboty rewolwer — na oko rzeczywiste pieścidelko, w istocie zaś, straszną broń dla umiających nią władać—i dodała z mężką energją w głosie:

— Przysięgam panu na miłość moję dla matki, której miarę weź ze zrobionej przemennie ofiary, że w chwili, w której jako mąż, przestąpisz próg mych apartamentów — tą bronią cię zastrzelę! A wiesz przecie, że mi ani zręczności ani odwagi nie brakuje.

Po tych słowach, de Nortonville skłonił się głęboko i wyszedł z salonu.

Nazajutrz uszczęśliwiony generał pisał list do syna, do Algieru, i rzecz dziwna — zaślepiiony w swym zbawcy, nie widział błądności i rozpaczyc córki — nie przypuszczał, żeby z jego ulubieńcem biedna Lucy mogła być prostą... ofiarą.

Oto, w kilku słowach dom, do którego przybyłem o świcie, i nie chcąc straszyc kobiet, kazałem się zaprowadzić prosto do sypialni hrabiego.

Moja dobra gwiazda, mająca wkrótce tak srogo zawieść mię w życiu — przyświecała w tym dniu w pełni mój podróży i planom ocalenia Lucy.

De Nortonville, wezwany przed tygodniem jeszcze, telegraficznie do Nicy, do łoża cierpiącej ciotki—przesłał w dniu przybycia mego do zamku list, zawiadamiający, że przeprowadza suchotnicę do Palermo i w żadnym razie, przed jej skonek, obliczanym przez lekarzy na czas trwania jesieni, do Crécy nie powróci.

Hrabia przyjął mię w łóżku, blady, wzruszony, obrzucając pytającym spojrzeniem, jakby już przeczuwając nieszczęście, którego byłem zwiastunem.

— Co się stało z Gastonem... dla czego Gaston nie razem z panem... czy został w Orleanie... pan Bolesław S...? pisywał mi o panu... lecz co się z nim dzieje? czy chory?... czy może ranny?



Takim szeregiem pytań zarzucił mię nieszczęśliwy. Milcząc, podałem mu list syna.

Nie dokończywszy go, krzyknął i upadł bez przytomności na poduszki.

Przy pomocy zwołanej przezemnie służby, przywróciłem go do zmysłów.

Biedny ojciec—żelazna dusza—zalał się wtedy, jak dziecko, łzami. Potem, wyciągnął do mnie rękę... uściśnął moją serdecznie, i rzekł złamany:

— Syn mój pisze, że pan byłeś jedynym szczerym jego przyjacielem; że jeżeli żał mu życia—to równie dla nas, jak i dla ciebie—to wiele napisane... prawda? Uważaj więc mój zamek za własny... będziemy mówić często o nieszczęśliwym.

Prosił, żebym zadzwonił na służbę, która się znów oddaliła, i wydał rozkazy, aby mi przygotowano apartament zajmowany poprzednio przez pana de Nortonville.

— To jedyny, teraz pozostający mi przyjaciel na świecie! rzekł ze smutnym uśmiechem. Gaston, równie jak żona i córka moja, miał do niego niesłuszne uprzedzenie—a jednak ten człowiek ocalił mi życie z narażeniem własnego... Przyszły to mąż Lucy... teraz go tu nie ma, wróci dopiero za trzy lub cztery miesiące.

Lecz pan musisz być złamany podróżą tak daleką, poruczniku?

Skinąłem głową potwierdzająco.

— Ja żonę i córkę przygotowuję do tego strasznego ciosu... zejdziemy się przy śniadaniu. A smutne będzie... prawda?

\*

\*

\*

Przybywszy do przeznaczonych mi pokojów, odprawiłem lokaja i zająłem się wyjmowaniem rzeczy z mój podróżnej walizy.

Niewiem jakim wypadkiem, lecz koperta listu Gastona, dla Lucy przeznaczonego, widać na czémś wilgotnem położona, odkleiła się zupełnie.

Dla zachowania wierności w opowiadaniu, ze wstydem wyznać muszę, iż nie miałem siły oprzeć się pokusie... wyjąłem papier, rozwinąłem go i drżąc ze wzruszenia, wyczytałem zeń te słowa:

Miffia, 13 lipca 1870 r.

„Moja Biedna siostrzyczko.

Umierający mają przecucia. W chwili, gdy ten list czytać będziesz, a przeczytasz go kiedyś z pewnością—wiem, że serce Twoje będzie należyć do Bolesława. Ufaj mu, nie miej żadnej dla niego tajemnicy—on Cię wybawi. Głównie, kochaj go bardzo, jak na to zasługuje. Zdaje mi się, że lżej mi będzie spoczywać tu w obcój, dalekiej ziemi, z myślą, że moja Lucy w objęciach człowieka, którego sam kochałem jak brata.

„Wzrok mi słabnie—ubiegają siły.., moja siostrzyczko! pamiętaj, iż umieram spokojnie prawie, powierzając Cię Bolesławowi.  
*Twój brat Gaston*“.

Co czułem przeczytawszy te wyrazy—trudno Wam wypowiedzieć. Gaston w Algierii, podczas długich, bezsennych nocy spędzanych w zasadzce, lub pod wystrzałem niepokojących nas do świtu Beduinów, często rozchmurzał mi czoło tysiącem opowiadań z życia swjej siostry, gdy dzieckiem jeszcze była. Z portretu i tych opowiadań znałem tak dobrze hrabiankę, jakbym z nią razem lata przeżył całe. Czemu nie powiedzieć prawdy? nie widząc może lubiłem już tę piękną i dobrą dziewczynę. Czemuż to uczucie, oparte na świętych węzłach przyjaźni, łączących mię z jej bratem, miało otrzymać tak krwawe zakończenie?

Z niecierpliwością oczekiwałem tedy chwili zobaczenia dziewicy, ciesząc się już niespodzianką, jaką jej później, gdy żał po stracie trochę osłabnie, uczynię opowiadaniem naszych rozmów z Gastonem.

— I pan oddałś kiedy pismo tej... Lucy? przerwała nagle opowiadanie Matylda.

Bolesław spojrział na nią, lecz zbył pytanie milczeniem, co na twarz dziewczęcia mocny rumieniec wywołało.

— Twoje opowiadanie na straszny dramat zakrawa! rzekłem głośno, chcąc wybawić śliczną pannę Y... z kłopotliwego trochę położenia.

— Dalej, dalej! opowiadaj pan, odezwano się do koła. Sądziad nawet, bliżej przysunął krzesło—nie zapominając jednak, przy tym ruchu, pociągnąć za sobą i stoliczka, na którym jeszcze jedna butelka xeresu go nęciła.

Mój przyjaciel potarł ręką czoło i spojrział na zegar pokazujący drugą ranną godzinę.

— Darujcie i zwolnijcie mię na dzisiaj! rzekł błagalnie prawie. Jestem cały pod wpływem przykrych wspomnień i zmęczenia. Wieczorem tedy... teraz nie mam już siły.

Usiadł w kącie sali, z cygarem w ustach, z głową ukrytą w dłoniach; nieśmieliśmy nalegać i niebawem, wszyscy też udaliśmy się na spoczynek.

(*Dok. nast.*.)

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

---

„Lelewel w Brukselli“ przez Henryka Merzbacha. — „Pater“ (Ojciec nasz!) dramat Franciszka Coppée. — Joanna d'Arc, misterjum Juliusza Barbier z muzyką Gounoda. — Pamiętniki Talleyranda. — Kwiaty zimowe, przez Ernesta Legouvė.

Otrzymałiśmy w tych dniach od pana Henryka Merzbacha ciekawą książeczkę, świeżo przez niego napisaną, pod tytułem „Joachim Lelewel w Brukselli.“ (Poznań, 1889, str. 49. Zrycina). Nie jest to właściwy życiorys. Autor przebiega w kilku rzutach pióra początki zawodu historyka naszego, a zatrzymuje się głównie nad trzydziestoletnim pobytem jego w stołeczném mieście Belgii. Kiedy zamieszkał tam stale p. Merzbach, Lelewel już nie żył, ale imię jego przeszło tam do legendy. Rozproszone podania zebrał więc autor w jedną wiązkę, a co ważniejsza, dołączył do niej wspomnienia z młodych lat swoich, kiedy przebywając czasowo w Brukselli, spotykał Lelewala i spędził z nim nie jedną, na zawsze pamiętną mu chwilę.

„Byłem bardzo młody, mówi autor, kiedym go poznał podczas pobytu mego w Brukselli, jako wolontaryusz w księgarni Maquarta. Dom nasz był w ciągłych z nim stosunkach, dostarczał mu materyału do prac, ułatwiał wydawnictwo „Jeografii średnich wieków“. Przychodził nieraz do księgarni, gdzie uczeni Brukselscy, albo przyjeżdżający się zbierali i prawdziwą czią go otaczali. Zdumiewająca jego pamięć bibliograficzna, była źródłem nieocenioném, z którego czerpali uczeni wszelkich narodowości. Mówił dwunastu językami, a w pięćdziesięciu innych, nowych i starożytnych, umiał wyczytywać napisy, jako znakomity paleograf. Sławni orjentaliści, Carmoly w Brukselli, Pietraszewski w Berlinie, z całym zastępem innych znakomości codziennie niemal udawali się do niego po radę w najzawilszych kwestyach językowych.

„Adwokat Lubliner i Sawaszkiwicz, schodzili się z nim w naszej księgarni, i mieli dar szczególny ożywiania go i wpro-



wadzania w dobry humor. Wtedy ze wspomnień swych wydobywał prawdziwe skarby i opowiadał w malowniczych i oryginalnych zwrotkach swoje profesorowskie i późniejsze przygody. A znał wszystko i wszystkich: gdzie się tylko pokazał, otwierały się przed nim wrota na oścież, pomimo, że zwykle chodził w niebieskiej bluzie jak robotnik, w czapce bardzo starój, z daszkiem olbrzymich rozmiarów i wyglądał na dyogenesowskiego żebraka.

„Słuchając go z wyteżoną uwagą, ciągnie autor, zrozumiałem odrazu, jaki wpływ przez pół wieku mąż ten wywierać musiał na młodzież nauką swoją, miłym organem głosu, łagodnym obliczem, smutnym uśmiechem i okiem nie często rozpromienioném radością. Zwykle milczący, zatopiony w swych myślach i wspomnieniach, mało się udzielał, nie dbał o poklask ani uznanie. Mógł być niezrozumianym przez tych, którzy sądząc li tylko z powierzchowności, nie nurtują głębi duszy ludzkiej; ale gdy jedném choćby słowem rozbudziłeś w nim młodzieńczy zapal, wtedy z jego warg zwykle zaciętych, płynęły całe strumienie wspomnień, całe poemata przeżytych wypadków, najdrobniejsze fakta jego długiego żywota, illustrowane misternie narysowanemi sylwetkami ludzi i spółeczeństw, z którymi miał stosunki. A każde jego słowo odkrywało niemal uniwersalną wiedzę, pogląd filozofa i historyka“.

Nie podobna lepiej określić postaci Lelewela, jak to uczynił p. Merzbach. I my też mieliśmy szczęście poznać w tych czasach historyka naszego, przepędzić z nim kilka wieczorów, wsłuchiwać się pilnie w jego słowa, nacechowane dziwną oryginalnością. W słowach tych na pozór poszarpanych, przebiegających z przedmiotu na inny przedmiot, panowała ścisła loika, ale trzeba było pochwycić wątek i na chwilę nie spuszczać go z uwagi. Oblicze jego zmieniało się w zadziwiający sposób. W miarę jak mówił, cera pergaminowa ożywiała się nagle, czarne, zwykle zagasłe oko rzucało błyskawice, zgrzybiałe rysy rozpromieniały się jakimś młodzieńczym urokiem. Z żywem zajęciem wypytywał nas o znajomych w Warszawie, Wóycickiego, Maciejowskiego i kilku innych jeszcze. O jednych wyrażał się z najwyższém uznaniem, o drugich z wielką pobłażliwością.

Surowy tylko dla siebie, tę surowość posuwał czasem aż do przesady. Między innemi opowiada p. Merzbach, jak zaproszony do księżnej de Ligne, z domu Lubomirskiej, odwiedzał ją czasami. Jednego wieczoru, gdy stara czapka jego wisiała w przedpokoju, księżna kazała kapelusznikowi wziąć miarę i wykonać całkiem podobną. Znając drażliwość swego Dyogenesa i nie chcąc mu dokuczyć, pragnęła, aby nie dostrzegł téj strategii i przy następnej wizycie, zmusiła go do wychylenia kilku kieliszków wina.

Trochę podchochocony, wziął na wychodnym nową czapkę, zawieszoną na zwykłym miejscu. Ale nazajutrz rano, otrzymuje książkę od gościa swego list z wyrzutami i z nową czapką, czyta w nim te gorzkie słowa: „Żebrakiem nie jestem, jałmużny nie potrzebuję“.

Biegły lingwista, z właściwą sobie oryginalnością w listach do Pietraszewskiego wykazuje związek i analogią, zachodzącą pomiędzy językami wschodnimi, germańskimi a słowiańskimi. Dowcipnie zaś żartuje z pseudo lingwistów, wyciągających fantastyczne wnioski z przypadkowego przybliżenia. Te brednie i żarty jeograficzne przypomina p. Merzbach.

„Gdy przybył do Belgii, mawiał Lelewel, pierwsze miasto, którego nazwa mnie uderzyła, Bruksella, ma niewątpliwie Słowiańskie pochodzenie: to Brusilow z przedmieściem Skarbeck (Scharbeck). W wędrówce narodów, Słowianie natrafili na pociwne plemię, zamieszkałe nad morzem, które przyjęło ich po bratersku. Pobratali się z nim, to Bretania. Wsiadli na statki długo szukali przystani, nareszcie dobili do łądu, ztąd Londyn. Ja sam, jadąc nad Ren, zatrzymałam się w Düsseldorfie. Tu nie ma na nieszczęście nic słowiańskiego, myślę; ale idę zamysłony na przechadzkę; nagle mocny zapach torfu dochodzi mnie i dusi. Zakrztusiłem się: „dusił cię torf ztąd Düsseldorf. Oto czysto polska nomenklatura!“

Pokazawszy w Lelewelu dziwaka, unikającego ludzi, pełnego werwy humorystę, nowego Dyogenesa, jakgo przezwali Belgijczycy, p. Merzbach przedstawia następnie niez mordowanego erudyte, którego prace rzuciły nowe światło nie tylko na dzieje własnego narodu, ale na historią cywilizacji europejskiej. On pierwszy przełamał wstręt, jaki panował od czasów odrodzenia do badań nad historią średnich wieków. Wielkiem dziełem „N u m i s m a t i q u e d u M o y e n â g e“, przekonał świat naukowy, że te spotwarzone wieki, nie były epoką ciemnoty i barbarzyństwa, ale pozostawiły tysiące pomników, świadczących o ich żywotności. W lat kilka po tej pracy, puszcza w świat nową pod tytułem: „Etudes numismatiques et archeologiques: types Gaulois et Celtiques“. Tém dziełem, pełnym genialnych pomysłów, otwiera oczy francuzom na pierwotne dzieje ich narodu. Pokazuje monety galskie bite na 260 lat przed narodzeniem Chrystusa, określa ich miejscowy charakter, tłumaczy ich druidyczne symbole. W pierwszej epoce daje poznać rozwój tych monet. Typy mnożą się i mieszają: „cała menażerya, mówi Lelewel wkrada się do nich, podobne nieraz do stodoły lub do ogrodu“. Z tych zwierząt, koni w biegu, dzików i t. p., usiłuje rozróżnić rozmaite szczepy środkowej Galii, widzi w nich ślady druidyzmu. Ślady te zacierają się z panowaniem rzymskim, dłużej od innych szczepów, zachowali je bretonowie, lecz i ci ulegli konieczności. Znikły monety

krajowe, zastąpiła je moneta kolonialna, z nazwiskami rzymskich gubernatorów.

W téj pomnikowej pracy, poświęconej badaniom ściśle archeologicznym, maluje się żywo cały Lelewel. Głęboki erudyta — jest zarazem poetą. Wstrętny mu obraz Cezara nakreślił po mistrzowsku. Rozmiłowany w ludzie galskim, wprowadza go w głąb starych lasów dębowych, do owych puszczy druidycznych, —gdzie według tradycyi ukrywają się dawni wodzowie.

Francuzi utyskują, że dzieło tak wielkiej wagi dla ich dziejów, pisane stylem niepoprawnym, częstokroć niezrozumiałym. Tak je osądził ogół, który szuka przedewszystkiem oglądy, a przebacza ubóstwo myśli, gdy tylko pokryta piękną frazeologią. Inaczej ocenili dzieło ludzie prawdziwej nauki, że wymienimy tylko Jana Reynaud i Henri Martin. Dla tych Lelewel stał się prawdziwym inicjatorem studyów historycznych, odkrył przed nimi świat nowy, ową starożytną Gallią, nieprzebraną krynicę odwiecznych podań, skąd naród czerpał od wieków ducha ofiary, i całą żywotną siłę swoje, która, bądź co bądź, odrodzi go w przyszłości:

Przed Lelewelem świat galski zamknięty był szczelnie dla literackiej Francyi. Przeszość swoją historyczną wywodzili Francuzi od rzymskich najazdów, nie bacząc na to, że Cezar w komentarzach swoich oblicza sześć milionów ludności galskiej. Zasłepienie tak było powszechne, iż ogarnęło samychże nawet koryfeuszów nauki. Guizot w historyi cywilizacji francuskiej, wyliczając żywioły, na których wyrabiała się tu cywilizacja, wymienia tylko żywioł rzymsko-pogański, germański i chrześcijański, z zapomnieniem starożytnych tubylców, Gallów. Prąd ogólny, zbudzony przez Lelewela oddziaływał i na samego Guizota. W ostatniem dziele swoim „Historyi Francyi opowiadanej wnukom“, uznał nareszcie w Gallach pierwotnych budowniczków narodu.

Ciekawe wspomnienia zakończył p. Merzbach smutnym obrazem, mianowicie obrazem chwili, kiedy schorzały Lelewel, na żądanie dawnych przyjaciół, zmuszony był opuścić Bruksellę, 26 maja 1861 roku.

Gdy nadszedł przeddzień wyjazdu, mówi p. M., prosił, aby mu przyprowadzono gospodynią domu, p. Peron, i córeczkę jej, którą do chrztu trzymał. Skoro przyszły, zapłacił należytość, z bojnym naddatkiem. Rękoma przyczepił się do drzwi pokoju, pożegnał gospodynią, ucałował dziewczkę ze łzami, nie miał siły oderwać się od nich. Kazał wydobyć z zapakowanych rzeczy mały krucyfiks, a dając go matce rzekł z łkaniem: „oto krzyż, daję go dziewczęciu na pamiątkę, zawieś go nad jej łóżkiem, niech ją strzeże, a ona niech się czasem za mnie pomodli!“

W tym dniu wieczorem przybył Lelewel do Paryża; w trzy dni potem już nie żył.



Rysunek, dodany do książeczki, przedstawia historyka w ubo-  
gięj izdebce. Siedzi przed prostym stolikiem, odziany w bluzę,  
głęboko zadumany, z głową na piersi pochyloną. Na stoliku roz-  
rzucone w bezładzie książki, kałamarz, pióra i okulary. Na pół-  
kach przybitych do ściany wśród książek widzimy trupią głowę.  
Litografia ta wykonana według rysunku Aleksandra Lessera.

W tutejszym świecie dramatycznym zdarzył się w tych  
dniach niezwykle wypadek. Znany poeta Franciszek Coppeé,  
napisał w roku zeszłym jednoaktowy dramat wierszem, pod tytu-  
łem „S u t a n n a“. Tytuł ten nie zadowolił autora, zamienił go na  
P a t e r, w znaczeniu modlitwy Pańskiej (P a t e r n o s t e r). Dy-  
rekcyja Teatru Francuzkiego przyjęła utwór, pierwsi artyści wy-  
uczuli się ról swoich, nastąpiły już próby. Za parę dni „Pater“  
miał się ukazać na scenie. Nagle przychodzi zakaz z ministeryum:  
sztuka nie może być przedstawioną. Powodem tak surowego wy-  
roku, że osnuta na zbyt świeżych, niezapomnianych jeszcze wy-  
padkach. Te świeże wypadki, odnoszą się jednak do roku 1871,  
snać ministeryum trzyma się zasad wyszydzonych niegdyś przez  
Mickiewicza, że czekać należy — aż się figa ulukruje i tytoń  
uleży!

Oprócz względów politycznych były inne jeszcze względy.  
Jakże tu mogli pozwolić na uczczenie religii, ci co ją tak systema-  
tycznie prześladują? Ale sam fakt, że są dziś pisarze wpływowi,  
którzy uważają za gwałtowną potrzebę protestować przeciw  
zgubnemu kierunkowi, sam fakt ten, powtarzamy, nadzwyczaj jest  
wymowny. Pamiętajmy o tém, że Franciszek Coppée uważany  
dziś powszechnie za jednego z pierwszych poetów i dramaturgów  
we Francyi.

Treść poematu krótka i bardzo prosta. Rzecz odbywa się  
w Paryżu na przedmieściu Bellevile, w końcu maja r. 1871, w chwili  
kiedy Wersalczycy opanowali Paryż i wywierają zemstę na kom-  
munistach za łuny pożarne, unoszące się jeszcze nad miastem  
i za krew pomordowanych ofiar. Do tych ofiar, ujętych jakoby  
w zakład należy ksiądz Jan Morel, wikary przy kościele na Belle-  
ville. Jesteśmy w jego domu. Czém był ów kapłan, dowiaduje-  
mu się z rozmowy stariej sługi Bretonki z ubogą wyrobnicą  
z przedmieścia. Obie zalewają się łzami. Wyrobnica błogo-  
sławi jego pamięć, wysławia miłosierdzie.

Pierś mi z bólu pęka,

Gdy wspomnę twardą zimę przed kilkoma laty,

Plaga spadła na miasto, zamknięto warsztaty:

Brak pracy, widmo głodu, zagląda w poddaszu,

Ten poczciwy ksiądz Morel, to opatrność nasza!  
Sam głodny, niesie drugim chleb od ust odjęty.

Obie kobiety z głębokim żalem, mówią o pannie Róży, siostrze zamordowanego. Grom, który spadł na nią, zamącił niejako jój zmysły. Dobra zwykle, pobożna, wpadła w szał, przeklina zabójców, wywołuje pomstę na ich głowy. Po gwałtownych wybuchach wyczerpana z sił, zasnęła na chwilę w przyległej izdebce. Czém była ta siostra, pełna poświęcenia i miłości, niech opowie stara Bretonka.

Minęło lat piętnaście, jak jestem jój sługą.  
Rodzice ich z kmiecego pochodzili rodu,  
Pomyślnie gospodarka poszła im za młodu;  
Ale szczęście na ziemi długo trwać nie może,  
Choroba po jednemu rzuciła na łoża,  
Pomarli: dwie sieroty po nich pozostały,  
Dziewcze dwudziestoletnie i chłopaczek mały.  
Dla Róży oczkiem w głowie, ukochany Janek,  
Czuwa nad nim, do szkoły prowadzi co rano,  
Cieszy się, gdy z pochwałą co wieczór powraca.  
Janek, to szczerze złoto, nie trwoży go praca,  
To też siostra mu szersze chce otworzyć pole.  
Gdy podrósł, umieściła brata w miejskiej szkole.  
Z końcem roku, on pierwsze odbierał nagrody,  
Wtedy sąsiad znęcony krasą jój urody,  
Chciałby zaślubić Rózię, lecz za skarby świata,  
Różia ukochanego nie opuści brata.  
— Jam, rzecze, poprzysięgła, gdy księdzem zostanie,  
Zająć się gospodarką przy bracie kapłanie.  
Jakoż święcie przysięgi dotrzymała sobie!  
Jedna myśl ożywiała te duszyczki obie.  
Nagle burza zmąciła bieg życia spokojny,  
Biedny ksiądz padł ofiarą tej domowej wojny.  
Kiedy przed laty kilku, przy proboszczu starym,  
Na belwilskim przedmieściu on został wikarym,  
Włos powstał mi od grozy... Wskroś trwogą przejęta,  
Rzekłam do niej: ci ludzie, to istne bydłota!  
Ale w dzielnym jój sercu nie trwogi nie budzi,  
Tem lepiej! rzecze, brat mój przemieni ich w ludzi.  
Och! tę ufność krwawymi opłakuje łzami!

Słychać szmer w przyległym pokoju, budzi się panna Róża. Sługa oddała sąsiadkę, aby widok jój nowego nie sprowadził wybuchu. Nieszczęśliwa, okryta żałobą wchodzi chwiejącym się krokiem, sługa bieży ku niej, chwytając pod ramię, sadza na krześle, naprzeciw drzwi otwartych od ogrodu; panna Róża

patrzy z boleścią na błękit nie przyémiony chmurą, na rozkwitłe drzewa i kwiaty, mówi z głębokim żalem:

Wnet, wszystko do ładu

Powrócił... Krwi stoczonej nie będzie ni śladu,  
Słońce tak jasno świeci na czystym lazurze,  
W ogródku tak zielono,—kwitną bzy i róże.  
Gdy my cierpim, przyroda jednako się toczy,  
Szydź z naszych męczarni, urąga nam w oczy,  
Bezmyślny kwiat w powietrzu, bucha kłębem woni,  
Ptastwo śpiewa, rój pączków po kwietnikach dzwoni,  
I cóż ich to obchodzi, że cierpię, że płaczę!

Za chwilę przyjdzie stary proboszcz; panna Róża uwiadomiona o tém przez sługę, nie pragnie tych odwiedzin. „Alboż on ukoi boleść moję?“ rzecze rozpaczliwie.

Powie, że mi trzeba

Z całym ducha poddaniem przyjąć wyrok nieba!  
Od téj ohydnej zbrodni, jam inną kobietą  
Pobożność, co mi była do życia podniętą,  
Zagasła do iskiarki w méj piersi! Daremno  
Mówić mi o nadziei—nie już... nie przedemną,  
Tylko otchań bez granic, i boleść bez miary!  
Nie wskrzesi we mnie proboszcz nadziei, ni wiary!

Otóż i on. Wchodzi kapłan, starzec z bieluchnym włosem, pragnie słowem religijnej pociechy podnieść duszę zbolalęj. Panna Róża odpowie z goryczą.

Ojczel! widzisz go tylko wśród niebieskiej chwały,  
Ja widzę śmiertelnemi przesytego strzały,  
Na ohydny śmietniku ztąd o kilka kroków,  
Oczy moje nie sięgną przez tuman obłoków  
Tam, gdzie przed tronem Bożym, z palmą w dłoni świeżą,  
Czuwają męczennicy; patrzę tu, gdzie leżą  
Trupy zamordowanych, w ulicy, tuż blisko,  
Widzę krwawą kałużę.. straszne cmentarzysko.  
Ja bluźnię, przywalona zbyt ciężką żalobą.  
Przeklnij mnie sługo Boży!  
Nie! ja płaczę z tobą! słodko odrzecezo kapłan.  
Twoich bluźnierstw, biedaczko Bóg nie zapamięta,  
Ja także ich przeponnę—lecz ta dusza święta,  
Co w majestacie chwały cała spronioniona,  
Przyświeca u stóp Bożych, wśród aniołów grona,  
Ani ta dusza boleje, bluźnierstwo ją rani,  
Upamiętaj się, biedna!... milcz... przez miłość dla niej!

Ale nieszczęśliwa upamiętać się nie chce. Życie, to straszna dla nięj męka, pragnie jedynie umrzeć. Kapłan, aby wzruszyć



do głębi zbolełe jój serce, przemawia do niój w imię brata, widzi go i słyszy, powtarza słowa téj niewinnej ofiary.

Biedna ty siostró moja! odbiegłem cię wcześniej!  
 Dzięki ci za twą miłość, za łez strumień żywy,  
 Lecz porzuć to bluźnierstwo, ten szaf rozpaczliwy,  
 Płacz, ale tą łzą cichą, co w odwagę zbroi.  
 Ja żyć będę w twém sercu i w pamięci twojej,  
 Nie upadnij na duchu, czytaj księgę świętą,  
 Idźże śmiało do celu drogą w niej wytkniętą.  
 Czytaj w głos, czytaj pilnie, serce przytul do niej,  
 Może tam głosu mego echo ci zadzwoni,  
 Pod moim krucyfiksem, siostró ukochana,  
 Co dnia z głęboką skrucą padnij na kolana,  
 Módl się!... ja będę z tobą... złączym modły nasze,  
 A kiedy zakolączesz w ubogie poddasze,  
 Gdy biedni dar odpłacą serdecznemi dziękami,  
 W ich uścisku odczujesz uścisk mojej ręki.  
 Chrześcianko! idź naprzód, wytkniętą Ci drogą;  
 Ciężki twój krzyż, lecz barki twe dźwignąć go mogą,  
 Idź i walc, ja ci będę przewodniczył wiernie,  
 Nie bacz na to, choć stopy pokrławisz o ciernie,  
 Nie pytaj czy twa droga bliska, czy daleka,  
 Dojdiesz tam, gdzie brat doszedł, gdzie na ciebie czeka!

Panna Róża gotowa już ukorzyć się w duchu i przyjąć wyrok Boży; w tém strzały karabinowe dają się słyszyć w pobliżu. Wersal przemógł kumunę, to krwawy odwet za popełnione gwałty.

Strzały te przerażają kapłana, budzą w nim litość dla nowych ofiar. Inaczej słucha ich panna Róża. Woła zapalona zemstą i nienawiścią:

Ten huk mnie nie straszy.

Niech biją! to mściciele łez i krzywdy naszej!

— Takie słowa z ust kobiety! zawoła kapłan ze zgrozą.

— Mamże ja litować się nad nimi, powie nieszczęśliwa.

Niech przepadnie na wieki hałastrą zbujecka!

Te wściekłe Belwilczyki, począwszy od dziecka,

Do starca, do kobiety, to wilki — nie ludzie,

Mój Janek, dusza święta, żył w słodkiej uludzie,

Że dobrocią ich umysł ulagodzi hardy,

Karmił ich, przyodziewał, a te komunardy

Pięknie mu odpłaciły! On ich duszą całą

Umiłował i garnął; serce mu topniało.

Gdy posłyszał o nędzy, nie spoczął ni chwili,

Biegł z datkiem a nędznicy jak psa go zabili.

Ostatni kęsek chleba dzielił z tą hołotą,  
Ileż to czynił dla nich!

Tu panna Róża biegnie do szafy — wydobyć starą sutannę  
i kapelusz.

Moj ojcze — patrz, oto  
Sutanna połatana, kapelusz zszarżany,  
Rzekłam raz: „Wstyd mi czynią, bracie, te łachmany,  
Czas się tobie przyodzierać... Mam trochę pieniędzy.  
On na to: Duwałowie umierają z nędzy,  
Biedaki do żywienia jest ich aż pięcioro,  
Byłem tam, dzieci matkę otoczyły chorą,  
Wolając na gwałt chleba, wczora im zajęto  
Wszystkie sprzęty,... mamże się stroić jak na święto,  
Kiedy oni półnaczy!... Szyj sutannę, Różo,  
Wyprostuj mi kapelusz, boć jeszcze posłużą.  
W parę dni potem Janka do lochu wtrącono,  
Któryż z tych niekzemników wystąpił z obroną?  
Kto wspomniał, ile swemu dobroczyńcy dłużny?  
Ten lud, co od lat kilku żył z jego jałmużny,  
Gdy krew strugą wytrysła z piersi męczennika,  
Przyklaskiwał mordercom! Ach z oczu mi znika  
Obraz, twojemi ojcze nakreślony usta!  
Przyszłość moja, to otchłań, step głuchy i pusty,  
W martwą pierś żadna siła nadziei nie wszczepi,  
Niech siekają, niech mordują! — tym lepiej — tym lepiej!

Znieważasz mnie przekleństwem, zawoła kapłan, wnet poru-  
cując te progi, wprzód jednak, rzucę ci jeszcze ostatnie słowo:

Bóg-Człowiek, co za grzesznych oddał w okup życie,  
Chrystus ukrzyżowany na Golgoty szczycie,  
Ten, którego ofiarę brat twój świątobliwy  
Spełniał u stóp ołtarza, Bóg dobry, Bóg żywy,  
On przebaczył przestępcom! I brat Twój przed skonem  
Patrzył na swych morderców okiem rozżalonem,  
A gdy czuł, że ostatnia chwila już się zbliża,  
Podniósł rękę, nad niemi nakreślił znak krzyża!  
A, ty niesyta pomsty, krwi i mordów głodna,  
Przyklaskujesz mścicielom!... wiedz siostro niegodna,  
Gdyby twój brat, ksiądz Morel, chrześcijanin prawy,  
Sądzić miał dziś ofiary onej pomsty krwawej,  
Przebaczyłby zbrodniarzom!...

Słowa te przeniknęły do głębi duszę biednej siostry: zawoła  
tedy żywo:

Prawdaż to? Drogi brat mój, na chwilę przed skonem,  
Błogosławił swym katom! serce mi przeszywa

Twe słowo... mów co zrobić?

— Módl się nieszczęśliwa!

Odrzeczce kapłan i odchodzi.

Biedna siostra bierze w rękę różaniec, wymawia na głos początek modlitwy pańskiej:.. słowa jednak: „Bą dź wola T w o j a!” wstrząsnęły nią do głębi. Wyrzekła je przecież z wysileniem, ale gdy przyszło wymówić: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy je naszym winowajcom“ modlitwa skończyła na jej ustach Odsuwa różaniec: te słowa byłyby kłamstwem.

— Ja przebaczyć nie mogę! zawoła rozpaczliwie.

W tej chwili wpada Jakób Leroux: to jeden z naczelników Komuny ucieka przed pogonią.

— Pani! ratuj mnie, woła, miej litość nademną!

Życie moje w twem ręką, tyś nie głazem przecie,

Masz ojca, męża, syna, lub brata na świecie,

W imię ich, dobra pani, kark przed tobą chylę,

Ulituj się nad zbiegiem, ukryj mnie na chwilę.

Wspomnienie brata doprowadza siostrę do szału, zawoła z gniewem:

Pytasz mnie, czy mam brata? Słuchaj, ty potworze,

Miałam go, ale nie mam. zapytasz mnie może,

Kto był ten brat? On dobrze wam nędznikom znany.

Tym bratem był ksiądz Morel, przez was rozstrzelany!

— Zginąłem! wyszepece komunard,

— Tak jest, odpowie Róża:

Zginąłeś, bandyto!

Już mi ztąd nie ucieczesz drożyną ukrytą,

Romknę trop w trop za tobą, krzyknę, co tchu starczy:

Bierzcie go, to morderca! Pod cieniem mej tarczy,

Tyś szukał bezpieczeństwa, przekłęty nędzniku!

— Mylisz się pani, zawoła komunard, jam nie palił i nie mordował.

Ja jestem Jakób Leroux, jeden z naczelników

Komuny, nie należę do zgraj nędzników,

Co rostiła pożarne nad Paryżem łuny,

Co lała krew bezbronych!—Działami komuny

Odpierałem Wersalskie bagnety i działa,

Posłuchaj mnie kobieto... Twe serce jak skała,

Czci w kościele Chrystusa, ale nie przebaczy

Jak On, co błogosławił z krzyża swych siepaczy.

Obłudnico!

Słowa to przebodły na wkroś sumienie panny Róży. W tej chwili wpada Bretonka: Oddział goni za zbiegiem, będzie tu za chwilę, przetrząśnie dom.



Jakób Leroux stoi jak skamieniały. Panna Róża oddała służbę.

— Brat mój byłby przebaczył; wyszeptał z cicha; bierze z krzesła sutannę i kapelusz, podaje komunardowi, drugą ręką ukazuje mu drzwi na prawo:

— Idź tam, włóż ten kapelusz, oblecz tę sutannę. Ledwie że wybiegł, wpada oficer z oddziałem żołnierzy, wzywa o wydanie zbiega. On wie, że jest tutaj strażę poznały go w ulicy po galonie. Grozi zemstą.

Panna Róża odpowiada bez trwogi: „Rozpatrz się pan, gdzie jesteś!“ Podczas gdy oficer spogląda na krucyfiks i na obrazy świętych, Jakób Leroux ukazuje się we drzwiach.

— Mieszkam tu z bratem księdzem, przedstawiam go panu, rzecze spokojnie panna Róża.

Zmieszany oficer odkrywa głowę, przeprosza, woła za sobą żołnierzy.

Na znak panny Róży, Jakób Leroux wychodzi wolnym krokiem przez ogród. Ona, spełniwszy ofiarę, uświęcona w duchu, podejmuje różaniec, klęka przed krucyfiksem, woła z głęboką skruczą:

Z błogosławieństwem Twojem, bracie, jam gotowa,  
Mej modlitwy ostatnie wypowiedzieć słowa.

Dramat nie ukazał się na scenie, ale ogłoszony niezwykłym cennie drukiem, ściągnął dla autora zasłużone oklaski?

Myśl do dramatycznego poematu podoba Coppemu przygoda jednego zgłośnych dowódców komuny, generała Cluzeret, który sam ją zapisał w pamiętniku drukowanym przed dwoma laty.

Kiedy Cluzeret delegowany był przez komunę do pełnienia obowiązków ministra wojny, odwiedził go ksiądz jeden, prosił, aby dopuścił go do więzienia arcybiskupa, który pragnął wyspowiadać się przed nim. Cluzeret uczynił zadosyć tej prośbie, przez ostrożność zapisał nazwisko owego kapłana.

Wkrótce potem, gdy wojska regularne pokonały komunę, Cluzeret szukał schronienia, gdzieby mógł czekać bezpiecznie, na chwilę sposobną do ucieczki za granicę Francji. Napróżno kołatał do progu przyjaciela swego, korespondenta *T r y b u n y N o w o j o r s k i e j*. Nie znalazłszy tu gościnnego przytułku, sam nie wiedział, co czynić. Nagle przychodzi mu na myśl imię owego księdza, znajduje adres, spieszy do jego domu.

„Mieszkanie, pisze on, skromne było i szczupłe“. Nie miałem czasu usiąść, kiedy ksiądz ukazał się przedemną.

— Witaj księżu proboszczu, rzekłem, powiedz czy mnie poznajesz?

— Poznają wybornie.

— Zgadujesz zapewne, co mnie tu przyprowadza?

— Zgaduję: jesteś pan gościem moim, uważaj, żeś jak w własnym domu.

Wyrzekł to po prostu bez wahania.

Przywołał sługę, powiedział jój kto jestem. Sługa przyjęła mnie gościennie“.

Gospodarz uczynił uwagę, że gość nie może przebywać u niego w ubraniu cywilném, bez zwrócenia na siebie uwagi. Zdaniem jego wypadałoby lepiej przyoblec sukienkę duchowną.

„Posłuchałem rady, mówi Cluzeret i przez pięć miesięcy przebywałem w Paryżu, jako kapłan z prowincyi, sposobiący się do egzaminów na doktorat, w fakultecie teologicznym“.

Dalej generał komuny opisuje szczegółowe ucieczkę swoją do Belgii.

„W listopadzie, mówi on“ gospodarz mój osądził, że nadeszła dla mnie pora do ucieczki. Ułatwił mi środki po temu. Z Belgii wyprawiono po mnie księdza: miał paszport umyślnie dla mnie przygotowany, poczem wszyscy trzej, mój gospodarz, przybyły ksiądz i ja, udaliśmy się na dworzec kolei północnej, miałem na głowie kapelusz księży belgijskich, o trzech rógach, na oczach błękitne okulary, szyję obwinąłem chustką czarną wełnianą.

„Zamówiono dla nas cały wagon, a ponieważ dwaj towarzysze okazywali mi wielkie poszanowanie, obecni pochyłali przed nami głowę, biorąc mnie za wysoką osobistość duchowną. Podróż odbyła się spokojnie. Na granicy komisarz policji czekał przy fórtce; pilnie się w nas wpatrywał. Szliśmy jeden za drugim. Gdy nastąpiła moja kolej, towarzysz mój, przez szacunek usunął się zostawiając mi pierwszeństwo. Widząc to komisarz, zamiast mierzyć mnie wzrokiem, pochylił głowę z uroczystą powagą, i najspokojniej wstąpiłem na ziemię belgijską.

Dramat Coppego nie ukazał się na scenie, ale inny dramat religijny, „Porte Saint Martin“, przyciąga dziś publiczność paryzką do innego teatru. Tu Jonna d'Arc znalazła świetną przedstawicielkę w genialnej Sarze Bernard. Dramat ten Juliusza Barbier, napisany był po ostatnich klęskach Francyi, odegrany w r. 1873, dla podniesienia wiary i nadziei w upokorzonym narodzie.

Nie pierwszy to raz bohaterka ukazała się scenie frauczkiej. Jeszcze za życia Karola VII i zapaśników, którzy walczyli pod chorągwią słynnej Dziewicy, przedstawiono „Misteryum Orleańskie“, w pierwszej połowie piętnastego wieku. O wiele później w r. 1581, odegrano sztukę z muzyką i chórami p. t. *Dziewica z Domremy*. Roczniki teatralne zapisały do dwunastu tragedyi, osnutych na bohaterskich czynach Joanny; jedne bezimiennych autorów, inne przyznawane różnym poetom, jak Mesna-

dière, Boiserade i t. d. W obecnym wreszcie wieku, odegrano dwie tragedye pod tytułem *Joanna d'Arc*. Jedna z nich przez d'Arivigny ukazała się w Teatrze francuskim r. 1819. druga Sonmeta, członka Akademii, w teatrze odeońskim o kilka lat później.

Dwaj ostatni poeci przewyższyli o wiele poprzedników: Juliusz Barbier przyćmił ich atoli obu, nie tylko pięknnością formy, ale ogólnem pojęciem sztuki dramatycznej. Połączył on historią z legendą, okazał Joannę w trzech charakterach: jako prostą dziewczynę wiejską, jako bohaterkę i męczennicę. Trzy odrębne działy sztuki, połączone z sobą w tym utworze, sprawiają, że poemat Barbiera przypomina starożytne misteryum. rodzaj dziś zapomniany, którym zachwycał się naród, przez całe średnie wieki, aż do czasu Henryka Walezyusza.

Mimo poklasku, jaki zdobył Juliusz Barbier w r. 1873, dziś po latach kilkunastu, przerobił on z gruntu swój dramat, streścił go, wiele rzeczy zostawił w cieniu, rzucił całe światło na trzy odrębne fazy z życia Joanny d'Arc. Utworzył, rzecz można, wspaniałe tryptyk, na wzór starodawnych mistrzów pędzla. W osobnych obrazach ukazał posłannictwo, tryumf i męczeństwo. Gounod ze swęj strony, w myśl autora, przeistoczył do gruntu dawną swą partycyą.

Zobaczmy teraz treść sztuki, jak dziś przedstawia się na scenie.

Introdukcyja muzyczna ma zupełnie ludowy charakter: odzywają się kobzy i ligawki. Za podniesieniem zasłony, widzimy dom Joanny. Rodzina ukończyła wieczerzę, słońce jeszcze nie zaszło. Droga, wiodącą przez wieś, widać tłumy włościan, niewiast i dzieci; wojna wypędziła ich z domów, uciekają przed najezdnikami. Joanna błaga ojca, aby im dał przytułek do jutra. Biedacy śpiewają chórem pieśń żalosa, rodzaj lamentacyi biblijnej „*super flumina Babilonis*“. Te smętne dźwięki przebodły na wskroś duszę Joanny; drży, z ust jęj tryskają palące słowa: marzeniem jęj wesprzeć obleżony Orlean; oswobodzić Francyą od Anglików. Rodzice słuchają przerażeni. Jakób d'Arc skłania córkę do związków małżeńskich; zgodnie z wolą ojca, młody wieśniak Thibold oświadcza jęj miłość, ale Joanna wstrzymuje go za pierwszym słowem, w nakazujący sposób.

Thibold pogląda jakby na obłąkaną. Wtedy Joanna powierza mu tajemnicę. Od trzynastego roku życia, słyszy cudowne głosy. Archanioł Michał, z dwoma świętymi, Katarzyną i Małgorzatą, nakazują jęj oswobodzić ojczyznę. Idź! idź! wołają bez ustanku.

Nagle wpada do chaty dziewczyna. żołnierz goni za nią w te tropy. Joanna chwyta sierp, staje pomiędzy nimi. Jednym zamachem rozbraja anglika. wytrąca mu z rąk oręż. Włóścianie rzucają się na zgraję napastników.



Wybiegają wszyscy. Joanna zostaje sama w chacie; czuje, że godzina już uderzyła, musi posłuszną być głosom niebieskiem, pada na kolana: „Panie! zawoła, pozostaw mnie w cieniu i ciszy, złóż ciężar na inne godniejsze barki!”

Tu promień księżyca ogarnia ją swym blaskiem. Dwie święte ukazują się na złocistym obłoku... zabrzmiał chór niewidzialny:—próżno Joanna walczy przeciw wyrokowi Bożym.

Pokonana odchodzi, woła do ojca z silnem postanowieniem:

Bóg tego chce! Ojcie przebacz Joannie twojej, uległa woli Bożej, musi być tobie nieposłuszną!

Zmienia się obraz: jesteśmy w zamku Chinon u Yzeulty Lore, ulubienicy królewskiej. Zapowiadają przybycie Joanny, Dziewicy z Domremy, która ma oswobodzić Francją. Yzeulta i poplecznik jej Thuars, chcieliby utrzymać króla w bezczynności. by tam pewnie nim rządzić. Dzielny La Hire przeciwnie, radby czemprędzej zmierzyć się z Anglikami; — podczas gdy toczą spór zacięty, ukazuje się Joanna, w błyszczącej zbroi, w srebrnym hełmie: na piersiach jej świeci wizerunek Boga-Rodzicy. Wiadomo z historyi, w jaki sposób król wystawił ją na próbę. Dziewica poznaje go wśród dworskich panów, mimo że dotąd nie widziała go nigdy na oczy. Klęka przed królem, odpowiada na myśl jego tajemną, mieni go prawym synem Karola VI. Zdumiony, pełen radości król nakazuje dworzanom pochylić głowę przed posłannicą Bożą.

Wszyscy powstają: Joanna wypowiada pełne zapału słowa: Bóg tego chce! Zapał ogarnia wszystkich.

Obraz trzeci przenosi nas pod warowne mury Orleanu, w dniu 7 maja 1429 roku. W głębi: wały najeżone w kusze i śmigownice, po za nimi błyszczą tu i owdzie wody Loary—dalej widać nieprzyjacielskie szanice.

Joanna wydaje rozkaz do ataku. w koło niej klęczy rycerstwo, wzywa chórem Pana Zastępów. Geniusz religijny Gounoda utworzył arcydzieło: głos Sary Bernard góruje nad chorałem.

Czwarty obraz przechodzi wszystkie inne przepychem dekoracyi i wystawy. Nawa katedry w Reims, ukazuje się w całym blasku, gorejąca od światła, jak było 17 lipca 1429 roku, w dniu koronacyi Karola VII. Przed ołtarzem otaczają królewską parę księżęta krwi, parowie Francyi, wielcy dostojnicy koronni, opaci i biskupi, strojni pontyfikalnie. Dalej zapełniają nawy nieprzeliczone tłumy rycerstwa w błyszczących zbrojach i pióropuszcach, dworzanie w bławatach, szamerowanych złotem, dworskie panie, w malowniczym stroju téj epoki; husarzy paziów i germków, lud wieśniaczy w odzieży świętecznej. Takiego przepychu nie widziano w żadnym teatrze. Joanna cała w bieli, w kolczudze złotój, z białym w rękę sztandarem, na

którym świeci Imię Jezusa i Maryi, przystępuje do ołtarza przy dźwięku marsza tryumfalnego, następuje *Veni Creator* i Arcybiskup dopełnia aktu koronacji. Trwoga ogarnia bohaterką Dziewicę, czuje, że spełniła już posłannictwo, ale godziż się jęj teraz usunąć, skoro stopa angielska depcze jeszcze Francją? Ona pójdzie do kresu: oczy wlepią w chorągiew, woła z najwyższym uniesieniem: „kiedy anioł śmierci dotknie mnie skrzydły swemi, ty obwiniesz mnie całą!”

Król wydobywa oręż z pochwy. Joanna klęka, odbiera z rąk pomazańca pasowanie rycerskie. Dzwony biją do taktu z chórem tryumfalnym.

Trzecia część dramatu obejmuje szereg coraz to smutniejszych obrazów. Widzimy Joannę w więzieniu, wystawioną na urągawisko wrogów niesytych pomsty. Nakoniec widzimy ją na stosie w Rouen. Bohaterka kona w płomieniach. Głosy 14-tu świętych, połączone z niewidzialnym chórem, przywołują męczenie przed tron Boży.

Sztuka odniosła tryumf prawdziwy; zachwyt publiczności dochodził, rzec można, do szału. Juljusz Barbier, za pomocą zręcznego połączenia historyi z legendą, wykonał dzieło wielkiej wartości literackiej. Gounod prześcignął sam siebie, utworzył arcydzieło. Co do Sary Bernard, to znalazła ona tu odpowiednie pole do rozwiązania całej potęgi dramatycznego geniuszu. W roli młodej wieśniaczki pełna naiwności i wdzięku; w roli tryumfatorki natchniona, promienista nadziemskim żarem, w chwilach ucisku, staje się znów prostą dziewczyną wiejską, cierpi, płacze jak dziecię. Wszystkie te odcienia, artystka oddała po mistrzowski.

Nie sami tylko Francuzi, ale co dziwniejsza Anglij, również zachwyceni dramatem. Wkrótce, jak mówią, Joannad'Arc wystąpi na scenie londyńskiej w pełnej apoteozie.

Pamiętniki Talleyranda, tak ważne dla dziejów bieżącego stulecia, dotąd spoczywające w ukryciu przeszły w tych czasach w ręce księcia de Broglie, członka Akademii francuskiej, historyka Maryi Teresy i Fryderyka II-go, można się spodziewać, że wielkie to dzieło doczeka się nakoniec publikacji.

Talleyrand, zmarły w roku 1838, przekazał testamentem owe pamiętniki, bratance swojej, księżnie Sagan i poufnemu sekretarzowi swemu p. Bacourt, który czynnie przyłożył do nich rękę, pod kierunkiem słynnego męża stanu. W testamencie zastrzegł warunek, że pamiętniki nie mogą być drukowane przedź, jak w trzydzieści lat po jego skonie, pozwalał nawet przedłużyć termin, w razie gdyby wymagał tego wzgląd na żyjące osoby, lub też na bieg spraw politycznych. Księżna Sagan przed śmiercią

przekazała prawa swoje panu Bacour, ten zaś testamentem oddał je w depozyt mężom, godnym zaufania; jednym z nich był Chate-lain, notaryusz Talleyrandów, drugim Andral, były prezydent Rastanu, który usunąwszy się od służby publicznej, zamieszkał w zamku Chatauvieux.

W tymto zamku złożony był drogocenny depozyt, w opieczętowanych skrzynkach. W roku 1868, po ulywie zastrzeżonych lat trzydziestu, Andral, pomimo ogólnego nalegania, oparł się ich publikacyi, uważał bowiem, że nie przyszła na to pora. Odłożył termin na lat dwadzieścia, w roku 1888 też same zatrzymywały go skrypyły.

Przed laty kilku jeden z pierwszych wydawców z Lipska, udał się do zamku Chatauvieux, ofiarował p. Andral 50,000 franków, domagając się, aby pozwolił skopiować połowę pamiętników. Przyrzekł najściślejszą tajemnicę, pozwalał nawet, po wyjściu ich z druku protestować przeciw ich prawdziwości i ogłosić je jako sfałszownne. Andral odrzucił taką propozycyą.

Nie sam względ na żyjące osobistości wstrzymywał go od publikacyi ważnego dzieła. Uczony prawnik, nie był z powołania pisarzem. Pamiętniki Talleyranda tymczasem wymagały historycznego wstępu, notat i komentarzy. Uląkł się odpowiedzialności, jaką zredagowanie ich pociągało.

W tych czasach właśnie umarł p. Andral w zamku swoim. Depozyt przekazał testamentem księciu Broglie, jak to mówiliśmy powyżej.

Jakkolwiek p. Andral trzymał w ukryciu pamiętniki Talleyranda, czasami przecież ukazywał je poufnym przyjaciółom. Ztąd treść ich mniej więcej wiadoma, lubo całość nieznaną nikomu.

Talleyrand opowiada namprzód przygody z lat młodych, początki zawodu politycznego, udział w zgromadzeniu narodowym, podróż do Ameryki, i pobyt tam aż do chwili, kiedy po upadku Robespiera, wolno mu było powrócić do Francyi. Spostrzeżenia jego nad społeczeństwem francuzkiem przed zwołaniem stanów Jeneralnych i po ich zebraniu, nadzwyczaj są ciekawe, działalność prawodawcza dwóch pierwszych Zgromadzeń narodowych wybornie określona. Wyrzuca sobie Talleyrand, że przyjął udział w ułożeniu cywilnej kontystucyi dla duchowieństwa; był to, jak mówi, wielki błąd polityczny.

Następuje potem historia Talleyranda, jako ministra spraw zagranicznych, za Dyrektoryatu, za konsulatu i Cesarstwa od 1797 roku, do 1814. Jest to, jak mówią, najważniejsza część pamiętników. W ciągu tych siedmnastu lat Talleyrand był u władzy podczas najwyższej chwały napoleońskiej, później stał na uboczu, kiedy chmury przyćmiły słońce nad Francyą, wreszcie wystąpił znowu na widownię. Przywiązał on się mocno do Na-



poleona, nawet do jego błędów; cieszył się chwałą bohatera, której promienie spadały na jego współpracowników. Nieraz chwalił się za życia, że mówił prawdę w oczy cesarzowi, kiedy ten chciał jeszcze jęj słuchać, a później ostrzegał go wielokrotnie za pośrednictwem innych osób.

Wiadomo jak przeważną rolę odgrywał Talleyrand w roku 1814. Pamiętniki jego rzucają nowe światło na tę chwilę dziejową i pokażą, że jeśli monarchia Burbonów nastąpiła zaraz po cesarstwie, stało się to przez niego. Cesarz austriacki skłaniał się tajemnie na rzecz rejdencyi cesarzowej Maryi Ludwiki, Anglia, reprezentowana na stałym lądzie przez lorda Castelreagh, nie dbała wcale o Burbonów, król pruski małą rolę odgrywał w koalicyi, szło mu głównie o odebranie zajętych posiadłości. Jedyny monarcha, Aleksander 1-szy, miał stanowczy głos w tej sprawie. Otóż więc po jednej nocy, spędzonej sam na sam z cesarzem rosyjskim, Talleyrand przywrócił monarchią.

Niemniej ważne w pamiętnikach rozdziały, dotyczą kongresu wiedeńskiego. Tajemne działania Talleyranda wyjaśnione już były w jego korespondencyi z Ludwikiem XVIII, od czerwca 1814 roku, do marca 1815. Te listy, oprawione w mały tomik, znajdowały się w archiwach ministerstwa spraw zagranicznych. Do czasu trzeciej republiki nie pokazywano ich wcale, później dopiero korzystał z nich Thiers, a po nim Mignet, Viel Castel i Haussonville; nakoniec Pallain przepisał je i wydał na widok publiczny.

Talleyrand pisał pamiętniki swoje zaraz po roku 1815, nie przeszkadzał mu do tej pracy urząd w-go szambelana z pensją 100,000 franków. Ukończył je właśnie, kiedy w roku 1823 ukazały się w druku pamiętniki księcia Rovigo. Autor ich ściga Talleyranda na każdym kroku, stawia go pod pręgierzem opinii publicznej. Oskarża go o czynny udział w egzekucyi księcia d'Enghien, i w późniejszym zamachu Maubreula. Oburzony Talleyrand pochwyca znów pióro; zarzuty księcia Rovigo odpiera z całą siłą.

Maubreul służył naprzód w intendenturze wojskowej, później wszedł w służbę króla westfalskiego, był nadwornym koniu-szym w Kassel. Książę Rovigo opowiada, że ów Monbreul, w r. 1814 z upoważnienia Talleyranda, zobowiązał się zamordować Napoleona, za co przyrzeczono mu 200,000 franków renty. Urządzono wyprawę, lecz ta prędko się zakończyła. Dowódca jęj, (Monbreul), zrabował na publicznym gościncu srebra i kosztoci byłęj królowęj westfalskiej.

Talleyrand odpiera zarówno w pamiętnikach, zarzut dotyczący egzekucyi księcia, d'Enghien.

Dotknięty do żywego pamiętnikami księcia Rovigo, Talleyrand napisał do króla, domagając się śledzwa przed izbą parów. Ludwik XVIII nie uczynił zadosyć prośbie: osłonił jednak Talleyranda nakreśleniem kilku słów, powtórzonych w Monitorze: „możesz księżę śmiało przybyć do dworu, bez obawy spotkania tu nieprzyjaciół”. Zaraz potem książę Rovigo opuścił Paryż i wyjechał do Rzymu.

Dokonawszy obrony swojej w pamiętnikach, Talleyrand złożył pióro, zajął się wyłącznie pielęgnowaniem zdrowia, siły bowiem zaczęły go opuszczać. W kilka lat potem rewolucya lipcowa, wyprowadziła go znów na widownię. Ludwik Filip wezwał go, by mu pomógł ustalić się na tronie, wobec nieufnej Europy. Mianowany ambasadorem francuzkim w Londynie, pospiesza do Anglii, załatwia tam zęcnie sprawę belgijską, wraca w tryumfie do Paryża. Ośmdziesięcioletni starzec, czuje, że dni jego już policzone, mimo to nie ustępuje z pola, nie zręka się działań politycznych. Król ceni go wysoko, rodzina królewska okazuje mu względy, słowem Talleyrand wyrocznią jest na dworze. Obrazem tych ostatnich tryumfów zakończył pamiętniki, wprzód jednak oświadcza stanowczo, że nie wziął udziału w utworzeniu monarchii 1830 roku.

Dzieło całe obejmie około piętnastu tomów. Wkrótce, jak mówią, książę de Broglie zabierze się do zredagowania tój pomnikowej pracy. Nie wiedząc jeszcze o depozycie, historyk ten, rodzony wnuk pani de Stael, wydobyl z rodzinnego archiwum i ogłosił drukiem zbiór listów Talleyranda, pisanych do babki z Anglii i z Ameryki od roku 1793 do 1795. Za czasów Dyrektoryatu pani de Stael wyjednała mu powrót do kraju, a następnie zabiegom jój zawdzięczał Talleyrand tekę ministra spraw zagranicznych.

---

Najstarszy z akademików francuzkich, Ernest Legouvé, pełen życia mimo lat z górą ośmdziesięciu wydaje wspomnienia swoje, obmyślane w oryginalny sposób. Wyszły już dwa tomy tój ciekawej publikacji. Z trzeciego tomu, który wkrótce się zapewne ukaże, autor drukuje po przeglądach, bardzo zajmujące ustępy. Wspomnienia te składają się z życiorysów ludzi współczesnych, z którymi Legouvé złączony był węzłem przyjaźni lub współpracownictwa, w długim pasmie dni swoich. O tój zajmującej galerii, mówiliśmy już w kronikach naszych. Spotkaliśmy tam wiele głosnych w swoim czasie osobistości, których zatarte rysy, autor ożywił z miłością, a zasługi ich przypomniał narodowi. Szereg ten rozpoczął wspomnieniem ojca swojego, głośnego niegdys poety. Dalej ukazał nam ożywione postacie Lemerciera,

pisarza tragedyi z epoki napoleońskiej. Kazimierza Delavigne, śpiewaka Messenianek, apologisty dźwigających się ludów, Scie-bégo, ulubieńca publiczności paryzkiej, obsypywanego w teatrze poklaskami dwóch czy trzech pokoleń, Labiche'a, który umiał rozweselać społeczeństwo, dotknięte już chorobą pesymizmu. Legouvé mówiąc o drugich nie stawia się nigdy na pierwszym planie, wszędzie jednak czuć jego obecność, wszystko ożywia tchnieniem swęj ciepłej piersi.

Mamy właśnie pod ręką nowy jego obrazek, pod tytułem *kwiatki zimowe*. Sliczną tę wiązkę posypał współczesnym na noworoczny upominek. Po raz pierwszy mówi tu poważnie o sobie; odmalowawszy tyłu innych, maluje własną postać, z włosiem białym, pogodnym czołem, słodko uśmiechniętymi usty, głębokim spokojem na obliczu.

Przytaczamy w głównych zarysach tę rozprawkę, pełną życia i poezyi.

„Co znaczą te kwiatki zimowe? zapyta mnie kto może, mówi autor; to kwiatki mojej zimy, kilka uwag, kilka myśli, rozkwitłych we mnie, to na widok pięknej rośliny, to przy spotkaniu z wieśniakiem, to w rozmowie z miłym przyjacielem, to wskutek odebranego listu. Posyłam je wam pomieszane bez związku, jedno smutne, drugie wesołe; wszystkie dały mi chwile pociechy, uкрепиły mnie w duchu: dzielę je chętnie z wami“.

Po tém wstępniem słówku idzie szereg obrazków, na pozór luźnych a jednak ścisłym węzłem połączonych z sobą. W pierwszym autor pokazuje jakim ma być starzec, aby dla drugich nie stał się uprzykrzonym ciężarem.

„Dziś rano wracając z przechadzki ze starym przyjacielem, rzekłem do niego: chcesz, dam ci pożyteczną radę. Obierz sobie pokój od południa, otaczaj się młodzieżą. W naszym wieku, chłód to główny nieprzyjaciel. Ogrzewaj ciało słońcem, a serce stosunkiem z młodymi.“

Wiesz-li czemu przebywanie z młodzieżą tak dla nas pożyteczne? bo nas przymusza do czuwania nad sobą. Wobec dwudziestoletnich towarzyszków, musisz bądź co bądź, schować jakie lat sześćdziesiąt do kieszeni! A naprzód: nie utyskuj nigdy na stan zdrowia. Gdy cię zagadną: „jak się masz“? odpowiedz: „bardzo dobrze“; nie mały ztąd pożytek. Skarżąc się, powiększamy cierpienia nasze, milcząc zapominamy o nich. Milczenie twoje nie zwiedzie kochających cię osób: chcesz, aby cię żałowano, nie uskarżaj się nigdy. Ale nie dosyć na tém: musisz zawsze ubierać się starannie, aby nie razić oczu; musisz wykrzesywać iskry z myśli twojej, by nie zostać nudziarzem, musisz wydobywać płomień z serca, aby cię choć trochę kochano. Od lat sześćdziesięciu, kokieterya koniecznym jest obowiązkiem. Sam widok śmiejącej się młodzieży



rozwesela, napełnia cię radością; tracisz przy niej część twego wieku, odmładzasz się widocznie“.

Oto inny obrazek:

„Kilka dni temu przechadzałem się po ogrodzie z panią podeszłą w lata, dawną przyjaciółką. Dochođzimy do drzew brzoskwińowych, rozpiętych na murze, pokrytych najpiękniej-szym owocem.

„O! przepyszne brzoskwinie! wołam uradowany, spojrzij pani tylko.

Ona patrzy, ogląda długo, nareszcie ukazuje mi jedną.

— Ta, rzecz, zupełnie zepsuta.

Słowa te utkwily przykro w myśli mojej, przez cały dzień pozbyć ich się nie mogłem. Duch zgryźliwy! oto główny nieprzyjaciel starości. Godziż się wśród tylu pięknych, widzieć tylko owoc zepsuty? wszystko ciemną pokrywać zasłoną w sobie i w koło siebie. Nie pozwolę nigdy, aby ten jadowity chwast krzewił się w duszy mojej. To zgubny korzeń pesymizmu.

Pessymiści uczynili mnie optymistą. Głównym rysem ich charakteru, gorycz złączona z pychą. Jaka to w nich zarozumiałość, jaka pogarda względem nas biednych ludzi, którzy przechowaliśmy nadzieję! W ich oczach my niedołęgi, dotknięci śle-pym obłędem. Oj nie tak bardzo ślepi, jak wam to się wydaje! My przynajmniej cierpim tylko, jak w nas jaki pocisk ugodzi; wy cierpicie zanim przyjdzie złe, a nawet kiedy przeminęło. Wspomnienie zgryzoty usposabia was do przewidywania nowej, która może nigdy nie nadejdzie!

Niech oto zdarzy się komu wywrózone przez nich nieszczęs-cie, rzekną: „a co—czy nie mówiłem?“ I cieszą się z biedy naszej, bo usprawiedliwia ich przenikliwość. Mój Boże! jakże ja nie-nawidzę tych małych i wielkich Schopenhauerów, którzy na owo-cu widzą jedynie plamę, w kwiecie tylko truciznę, na niebie sa-me chmury, w sercu ludzkim tylko występki, w człowieku tylko zwierzę, a w walce o byt jedynie tylko zbrodnię!“

Zobaczymy inny rzewny ustęp:

„Po powrocie ze wsi odwiedziłem jednego z współczesnych moich, ślepego Jakóba. Widok jego przejął mnie głęboką lito-ścią. Cztery miesiące zimowe posunęły go o lat dziesięć. Nie chodzi już, ale powłoczy nogi. Do ślepoty dołączyła się i głu-chota. Pamięć opuszcza go chwilowo, widzi to i wiele cierpi na tęp. Chciałem go pocieszyć, lecz słowa konały mi na ustach. Gdy odszedłem, smutne myśli moje ułożyły się w formę wiersza:

Ach! śmierci się nie lękam, lecz trwoży mnie życie.

Gdy patrzę na to męki, na straszne rozbicie,

Jakie pociąga starość! Drodzy moi! biada

Czuć, jak się ciało nasze na szmaty rozpada!

I nim dębowe trumny wieko nas przytłoczy

Szpetną karykaturą przerażać wam oczy!

Nazajutrz, zawstydzony słabością moją, wróciłem do Jakóba. Zdobyłem się sam na odwagę, aby ją w nim rozbudzić. Przystępuję do cierpień, jakie biedak przetrwał przez zimę.

— O tak panie! cierpiałem bardzo, drżałem na myśl o śmierci.

— Drżałeś przed nią?—pytam zdumiony.

— O! tak panie, pomyśl tylko, gdybym umarł, pensyjka dożywotnia umarłaby razem ze mną, dzieci moje ucierpiałyby na tém.

Ta nauka poszła mi do serca. Tak jest, słusznie mówi biedny męczennik. Jakkolwiek ciężkiem życie, dopóki może przydać się na coś lub dla kogo, należy je przyjąć i błogosławić!“

Po tym smutnym obrazku następuje inny weselszy.

„Przyjaciel mój, artysta muzyk, przybył do mnie na wieś — w końcu sierpnia.

Jednego poranku rzeknę do niego: chodź, posłyszysz jak śpiewają moje gladyolusy.

— Śpiewają? zapyta z uśmiechem, co chcesz przez to rozumieć?

— Chodź tylko...

I prowadzę go do prześlicznie rozkwitłej grządki.

— A co? albowiem to wszystko nie śpiewa? albowiem z tego akordu kolorów, z tej różnaitości form, nie wybiega cudna harmonia, przypominająca tony Mozarta i Webera?

— Więc to wszystko mówią ci twoje gladyolusy?

— Wszystkie kwiaty powtarzają mi to samo i wiele innych rzeczy. Wiesz-li jakie co rano pierwsze moje zajęcie? Gdy wstanę, spieszę do ogrodu, szukam nowych kwiatów rozkwitłych podczas nocy, potem puszczam się na łąkę i okoliczne pola. Wieśniacy znają mnie dobrze, kiedy koło nich przechodzę z koszykiem, zatrzymują mnie, zaglądają com zebrał. Za powrotem do bywam moje plony, układam bukiet w wielki wazon, stawiam go na moim stoliku; gdy piszę, spoglądam na niego, on mi daje lekcję stylu. Śmiejesz się a przecież to prawda. Mój bukiet nie błyszczy układem, szukam w nim tylko harmonii, mieszczę obok siebie kwiaty, odpowiednio do ich kolorytu, a gdy piszę, staram się zachować w słowach moich też samą harmonijną różnaitość, pochodzącą ze sprzeczności tonów i wzajemnego ich oddziaływania. Woń kwiatów podnosi też mój umysł lepij niż wasza zatruta tabaka, lub duszące cygaro.

— Liryzm, czysty liryzm! odpowie mój przyjaciel, ale to prawdziwa mania.

— Tak, mania, mania, ale dobroczynna. Miłość kwiatów przynosi nie jedną korzyść; prowadzi do braterstwa, zaciera różnice społeczne, zbliża do siebie ludzi. Czy chcesz na to do-

wodu? Oto od pięćdziesięciu lat, jak mieszkam w tej wiosce, widzę z radością, jak rozwinęło się tu upodobanie w ogrodnictwie. W oknie najuboższej chaty kwitną wiosną laki, gwoździki, geranie. Jeden z moich sąsiadów ma pysznego kaktusa, drugi piramidalne fuksye. Nieraz zachodzę do nich, rozmawiamy o chowaniu roślin, ja przynoszę im młode płonki, oni udzielają mi nasion. Miłość jednych przedmiotów pobudza nas do wzajemnej życzliwości.“

Inny znów ustęp Legouvé poświęca poezyi:

„Im dalej zachodzę w lata, mówi on, tém silniej rozwijają się we mnie dwa upodobania, tém bardziej kocham życie wiejskie i poezyą. Jedna miłość staje się podniętą dla drugiej. Kiedy w maju wracam do mojej wioski, zostaję na nowo studentem: uczę się na pamięć różnych wierszy, powtarzam je w głos, są to moi towarzysze w codziennój przechadzce. Dzięki Bogu nie lękam się jeszcze i obszernych dzieł prozą, ale długie czytanie utrudza mi głowę i oczy. Poezja ma to w sobie dobrego, że wiele treści obejmuje w małym tomiku. W poezyi krystalizują się idee i uczucia wszystkich czasów. Słusznie wyrzekł Lamartine:

Wszystko, co człowiek stworzył, nie ujdzie przemiany,

Ale proza to glina, wiersz z brązu ulany.

Inna jeszcze wyższość poezyi nad prozą, że ją łatwo przenosić, mamy ją bowiem w głowie. Zresztą, dla miłośnika pięknej dykcji, jakim ja jestem, nic miłszego jak badanie ój rymów, rytmów i tyśiącznych odcieni, i modulowanie głosu odpowiednio do wiersza. Dokaż-że tego w Paryżu, szukaj melodyi wśród zgiełku ulicznego; przechodnie wezmą cię za waryata. Inna rzecz w pełnym lesie, na pełnym polu, pod pełnym niebem, w zupełnej samotności!

Kiedy trzecia wybije na zegarze, wybiegam z kijem w rękę, z czołem do góry podniesionem, z kieszenią pustą, ale pamięcią pełną wszystkich drogich mi poetów. Mówię wszystkich, bo nie mam wyłącznie uprzywilejowanych, a raczej każdego wolę kolejno, zależy to od miejsca, od godziny, od dnia, od pory roku. Niektóre pieśni same spływają mi na usta w piękny majowy ranek, inne pogwizdują mi jak kosy, owiane mgłą jesieni. Dla tych przystał szeroki widnokrąg, pogodny błękit nieba, dla tamtych cisza głęboka wśród zielonej dąbrowy. Mam nawet osobue, na długą noc bezsenną. Bezsenność to zwykła plaga starców. Aby zasnąć kołyszę się piosenką. W szczególny sposób działa na mnie bajka Lafontaine'a, kiedy skowronek mówi do piskląt swoich: „Oczyszczcie się przynoszę wam ziarnka“, wnet nasycone zasnęły obok matki. Gdy dochodzę do tych wierszy, czuję się jakby w gniazdku i zasypiam spokojnie.



Do snu nie biorę nigdy Wiktora Hugo, on zanadto błyszczący, ani Musseta, on podnieca zbyt gorączkowo, ani też Berengera, bo i tego się uczę a z nim i wielu innych. Kornel, Racine, Andrzej Chenier, Lamartine, wszystko to żyje obok siebie w pamięci mojej. Hugo zadrżałby od grozy, gdybym mu powiedział, że po wspaniałym ustępie z „Legendy wieków“, powtarzam z rozkoszą ustęp z Ducisa, „O cichym domku z bieluchnymi ścianami — Kędy sztuka nieznaną, z kąd zbytek wygnany!“

Trzeba doprawdy urodzić się w roku 1807, aby pozwolić sobie tego. Żądaj-że od młodzieży podobnego polytheizmu? Zakrzyczy cię, nazwie świętokradcą! Uwielbienia jej zbyt wyłączone, antypatye zbyt gwałtowne. Ona, jeśli buduje posąg, to na gruzach innego posągu; znieważyla by Szekspira, gdyby Othellem nie powaliła Andromaki. Ale kto tak długo jak ja żyje na świecie, kto widział nie jedną sławę zmarłą i pogrzebaną, acz głoszone jej nieśmiertelność, nie jedną błędną gwiazdę, którą mieniono słońcem, w tego oczach znikają drobne różnice, odnoszące się do rodzaju lub mody, ten ocenia to wszystko, co przetrwało. Ja rozgrzebuje popioły przeszłości, badam czy w nich połyska życie. Czasem wydobęde drobna tylko iskierkę, mniejsza o to, mam dla niej miejsce obok promienistej pochodni, obok gwiazdy świecącej na widnokręgu. Jestem jak starożytny Druid, przechowuję święte ognisko w domu moim“.

Przytaczamy wreszcie ostatni obraz, pełen głębokiego znaczenia,

„Jeden bogaty włościanin w wiosce naszej, wydawał za mąż córkę, zaprosił mnie na świadka. Przebywał u mnie gość prześląkły zasadami filozofii, zabrałem go z sobą na obrzęd do kościoła.

Z powrotem, towarzysz szedł obok mnie milczący i zamyślony.

— Co ci jest?—zapytałem. Odrzece na to szorstko:

— Czyż cię nie rażą te strupieszale obrzędy katolickie? Możesz-li patrzeć spokojnie na tę mieszaninę materyalizmu z mistycyzmem, na tę zmianę odzieży, na te wszystkie obrzędy? mnie to okropnie razi...

— Mnie przeciwnie, to do głębi poruszał! Znać w inny sposób poglądamy na rzeczy. Patrzałem pilnie na zgromadzonych, icóżem tam widział? Oto pannę młodą z czołem pochyloném, klęczącą w głębokiem ducha skupieniu; obok niej modliła się matka, z twarzą rozweseloną, przeciw zalana łzami, oczy podniosła w niebo, snąc szuka tam wsparcia i otuchy. W koło niej siostry, krewne, przyjaciółki, wszystkie połączone wspólnym węzłem pobożności i modlitwy. Widok ten dziwnie oddziałał na wyobraźnię moją. Patrząc na ten mały kościółek z trzynastego wieku, myślałem: ilc te ubogie ściany, w ciągu tylu ubiegłych lat

widziały pokoleń, klęczących przed owym ołtarzem, z równem uczuciem radości, z jednakim żalem religijnym. Wspomniałem sobie, jak w chwilach żałoby i radości, w dni pogrzebu jak i wesela, te obrzędy rażące cię tak bardzo, przemawiały potężnie do wyobraźni, wnikały do głębi duszy ludzkiej, pomyślałem: ile to katolicyzm od tysiąca ośmset lat, osuszył łez stroskanym, ile pocieszył zrozpaczonych, ile oświecił sumień, ile umocnił serc, uzbroił je w odwagę, usposobił do cnoty! I odszedłem przeniknięty wielkością tej religii, która tyle dobrodziejstw rozsypała po świecie.

A chcesz-li zdać sobie sprawę z jej wpływu na cywilizacyą. Wyobraź sobie na chwilę, że wcale nie istniała; zatrzyj myślą to wszystko, co pozostało z niej w troistej dziedzinie dobra, pięk? na i prawdy? Zaczynij od sztuk plastycznych: przebiegnij wszystkie muzea; zedrzyj ze ścian wizerunek Chrystusa jak to czynią edyle nasi, usuń wszystkie obrazy Bogarodzicy i Bożego dzieciątka, zniszcz płótna i posągi, przedstawiające świętych apostołów i męczenników. Od rzeźby i malarstwa przejdź do architektury. Obruć w gruzy wszystkie katedry! Po architekturze muzyka. Usuń z liczby kompozytorów Haendla, Palestrynę, Bacha i tylu innych; wyrzuć z utworów Mozarta, Pergoleza i Rossiniego—to wszystko, co im natchnął duch chrześcijański! Wnikaj na ostatek w sferę myśli i poezji. Zniszcz Bossueta, Paskala, Fenelona, Massiliona; odbierz Kornelowi Polyucta, Rasynowi Atalią, Wolterowi Zairę i Alzyrę. Wyrzuć imię Chrystusa z utworów Lamartina, Musseta, Wiktora Hugo! Nie dosyć na tém, postąp krok jeszcze dalej, zamaż w historii imiona świętych Wincentych á Paulo, świętych Salezyuszów, świętych Franciszków w Assyrzu! Zatrzyj nakoniec, zatrzyj na ziemi wszystkie ślady krwi, pociekłej z ran Ukrzyżowanego! Spełniwszy to wszystko, obróć głowę, ogarnij wzrokiem tysiąc ośmset lat, pozostałych za tobą, i spojrzysz bez trwogi, jeśli możesz, na tę przerażającą próżnię w pasmie wieków, gdyby brakło krzyża na ziemi!

Przytoczę ci tu przykład człowieka, którego imię może mieć dla ciebie znaczenie—Litrego, tak Litrego! W dniu, kiedy przyszła mu na świat córka, rzekł te słowa do żony: „Wiem, że jesteś żarliwą i praktykującą katoliczką; wychowuj córkę w zasadach twoich, kładę tylko jeden warunek! W dniu, kiedy skończy rok piętnasty, przyprowadzisz ją do mnie. Przedstawię jej idee moje, niechże sama wybiera. Matka przystała na układ, lata szybko ubiegły. Dnia jednego żona wchodzi do gabinetu męża.

— Przymnij sobie, rzeczce, com ci przyrzekła, chcę dziś dotrzymać obietnicy. Twoja córka jest już gotowa słuchać cię z całym poszanowaniem, z całą ufnością, jaką budzi w niej ukochany ojciec. Czy chcesz, aby tu weszła?

— Tak jest, niech wnijdzie, ale po co? Abym jęj przedsta-  
wił moje idee? Nie, nigdy, nigdy! Jakto? wychowałaś dziecię  
nasze na istotę dobrą, prostą, kochającą i szczęśliwą! szczęśli-  
wą mówię, a ten wyraz w duszy niewinnęj jednoczy w so-  
bie wszystkie cnoty! Idee moje; ja poprzestaję na nich, kto  
mi powie, że będą dobre dla nięj? Mamże prawo, zniweczyć two-  
je dzieło? Nie, nigdy! Niech córka nasza wnijdzie, abym cię,  
droga zono, pobłogosławił w jęj obecności, za wszystko, coś dla  
nięj uczyniła!“

Ta wiązka zimowych kwiatów, to testament głębokiego my-  
śliciela. Z miłością przekazuje Legouvé młodemu pokoleniu na-  
ukę życia, zdobytą długoletniem doświadczeniem; naucza, jaką  
bronią odganiać pesymizm, straszne widmo, grożące dzisiaj spo-  
łeczeństwu.

---



# PISMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

Połączenie Rusi Czerwonej z Polską przez Kazimierza Wielkiego. Napisał Kazimierz J. Górzycki. Lwów, nakładem Drukarni polskiej 1889.

P. Górzycki rozdzielił pracę swoją na trzy części: w pierwszej mówi o politycznych, w drugiej o kościelnych, w trzeciej zaś o wewnętrznych stosunkach Rusi Czerwonej w epoce Kazimierza Wielkiego, czyli w okresie lat trzydziestu. Treściwe sprawozdanie z rozprawy p. G. nastęrczy nam sposobność wskazania dodatnich i ujemnych stron pracy, dotyczącej ważnego faktu w dziejach nie tylko wewnętrznej organizacyi, ale i ustroju międzynarodowych stosunków państwa polskiego pod koniec epoki piastowskiej i następnego Rptej rozwoju.

Ród Daniłowiczów, panów na Rusi, wygasł, jak wiadomo, na Andrzeju Jurjewiczu i Danielu Mćcisławowiczu. Po nich dostaje się Ruś Czerwona na krótki przeciąg czasu w ręce tatarów, którzy osadzili na tronie Bolesława, syna Troydena, ks. mazowieckiego. Bolesław przyjął wyznanie greckie i imię Jerzy. W początkach swego panowania utrzymywał najściślejszy sojusz z Mazowszem i Krzyżakami przeciw Litwie a pośrednio i przeciw Polsce. Po bitwie zaś pod Płowcami 1331 r. i zaślubieniu córki Giedymina r. 1332 zbliża się na czas krótki do Litwy i Polski. Po zawarciu pokoju Wyszohradzkiego a właściwie już nawet przedtem zbliża się ponownie do krzyżaków. Mając przeciwko sobie bojarów i kler grecki, popiera ks. Jerzy rozwój miast swego księstwa, lecz to właśnie sprowadza jego zgubę, ponieważ bojarowie, zagrożeni w swych interesach, usuwają go z drogi za pomocą trucizny około 9 kwietnia 1340 r. Wkrótce potem (20 t. m.) oblega już Kazimierz Lwów, by pomścić zabójstwo krewnego sobie księcia i przyłączyć kraj jego do korony polskiej, na podstawie praw dynastycznych, które częściowo przelali na niego także i książęta mazowieccy.

Pierwsza wyprawa zamierzyła zdobycie insygniów książęcych „ażeby się pokazać z koroną i berłem kniaziów ruskich w Polsce i zyskać w narodzie własnym ufnosć do sprawy, którą rozpoczął” (str. 23): zajęcie stolicy i wzięcie jeńców popierają te prawa. Kazi-

mierz nie koronował się jednak kniazem ruskim, ponieważ postanowił ziemię tę wprost do państwa swego przyłączyć i to połączyć ją z Polską nie chwilową „unią personalną, jednorazową“ (str. 21), co przy braku następcy Piasta byłoby miało przechodnie tylko znaczenie, ale unią trwałą, nieprzerwalną.

Jeszcze tego samego roku wybiera się król polski po raz drugi na Ruś z 20,000-ém wojskiem: łamie, przy pomocy takiej siły, energiczny opór bojarów i zdobywa liczne grody ruskie. Zupełny jednak i trwały zabor tego kraju, nie był bynajmniej łatwy: fakt zajęcia grodów nie decydował jeszcze o zaborze. Prócz króla polskiego rościli sobie bowiem do Rusi Czerwonej prawa zdobywców tatarzy, litwini a wreszcie i węgry— z nimi to wszystkimi należało się jeszcze rozprawić.

Już po drugiej wyprawie Kazimierza, a właściwie w ciągu niej, zbliżają się ruscy bojarowie, namówieni przez możnowładców Detka i Daniela z Ostrowa, do tatarów, którzy urządzają straszliwy najazd na Polskę i Węgry. Kraje te łączą się ze sobą, odpieirają nawałę tatarską, Ruś Czerwona się poddaje, Detko się upokarza i zostaje namiestnikiem Kazimierza. Żyje on jeszcze do r. 1346, rządząc nie jako namiestnik króla polskiego; ale jako pan samostny. Po jego śmierci zdobywają litwini Ruś Czerwoną r. 1347 i zamieniają ją w swoje prowincją.

Od r. 1349—1360 widzimy tu walkę między Litwą a Polską, która utrzymuje się ostatecznie przy bezsporném panowaniu, posuwając granicę jeszcze dalej na wschód przez zajęcie (1360—1370) Włodzimierza, Chełma a po części i Podola.

Taką jest treść części pierwszej. Druga zaś przedstawia obraz polityki kościelnej Kazimierza Wielkiego w nowo nabytym kraju; trzecia zaś zastanawia się kolejno nad wszystkimi warstwami społeczeństwa ruskiego przed zaborem i po jego nowém urządzeniu, ujawniając ostatecznie faktyczny rezultat zrównania społeczności ruskiej z polską.

Rozprawa p. Górzyckiego nie przysparza nam wiele nowego światła do tych zamierzchłych dziejów; ponieważ pod wielu względami nie czyni zadość ścisłym wymaganiom naukowym.

Autor zaniedbał najważniejszej rzeczy przy studyach historycznych t. j. krytycznego porównania ze sobą odnośnych źródeł, które nam są dzisiaj dostępne. Nie była to wcale ani tak wielka praca, jeżeli się zważy skromną ich ilość, ani też tak trudna w obec skromniejszej jeszcze ich objętości. Brak metodologicznej krytyki czujemy szczególnie w pierwszej części rozprawy, gdzie pojedyncze fakta się z sobą wiklą, a nawet w rażącej pozostają ze sobą sprzeczności.

Rozpatrzmy np. pierwszą wyprawę Kazimierza Wielkiego z r. 1340.

Janko mówi pod tym rokiem wyraźnie tylko o jednej wiel-

kiej wyprawie; rocznik Traski zna ich już dwie; Długosz, „Litopys ławrentjewska” i „hustyńska” również dwie.

W jakim tedy stosunku pozostają te źródła do siebie?

Janko jest sekretarzem a następnie podkanclerzem króla Kazimierza, nie odstępował go na krok. Zdobycie Rusi nastąpiło za jego życia. Rocznik t zw. Traski, dotychczas należycie zbadany nie jest, wiemy tylko o nim, że nie stanowi jednolitej całości (Mon. Pol. T. II). Długosz zaś trawestuje tekst tego Rocznika, zabarwia zdarzenia, i jak sam autor zauważył, grzeszy często mylnym przedstawieniem faktów. „Litopys ławrentjewska” i „hustyńska” dosłownie niemal powtarzają to, co Długosz podaje, bo widać z niego tylko korzystały. Faktycznie tedy mamy tylko jedno pierwszorzędne źródło, a jeżeli przyznamy to znaczenie pod pewnym względem i rocznikowi Traski, to otrzymamy dwa źródła ze sobą bądź co bądź w danych sprzeczne i zupełnie odrębne. Któremuż z nich przyznać wiarę?

Za Jankiem przemawia fakt, iż jest sumiennym w przedstawianiu zdarzeń; nie ulega też wątpliwości, że jest współczesny wypadkom, o których pisze.

Należało tu zwrócić uwagę jeszcze na jedną nader charakterystyczną okoliczność. Pan Górzycki przyjął jako datę otrucia ks. Jerzego „około 9 kwietnia 1340 r.” a zatem 6, 7, 8, 10, 11 kwietnia 1340 r., a jako datę przybycia Kazimierza pod Lwów „około 20 kwietnia 1340 r.” a zatem 17, 18, 19, 21 lub 22 kwietnia 1340 r. <sup>1)</sup> Przyjmując daty skrajne 6—22, nie zdaje nam się być możliwym, by w 17 dniach r. 1340-go, przy ówczesnych utrudniających środkach komunikacyjnych, król Kazimierz mógł odebrać wiadomość o śmierci krewnego, zebrać wojsko i obleść miasto, odległe od miejsca jego zwykłego pobytu, o mil 45.

Wręcz niefortunnym jest pomysł autora, że królowi zależało na tém, ażeby „pokazać się z koroną i berłem kniaziów ruskich w Polsce i zyskać w narodzie własnym ufność do sprawy, którą rozpoczął”; przecież sam autor przypuszczał dopiero, że krzyż ten prawdopodobnie stanowił berło kniaziów ruskich i nawet nie usiłuje niczem prawdopodobieństwa tego poprzeć.

Mojem zdaniem była tylko jedna wielka wyprawa Kazi-

<sup>1)</sup> Rocznik „ubi spolia multa in argento, auro et gemmis thesaurum ducum antiquorum tollens, inter quod (?—czy nie quae—sc. spolia?) erant aliquot cruces auree, precipue unam, in qua magna quantitas de ligno crucis Domini fuit reperta et duo preciosissima dyademata et una tunica valde preciosa... (Mon. Pol. T. II). Długosz zaś (Ks. IX, pg. 197) „plura antiquorum Russiae principum magni valoris in auro, argento, gemmis, lapidibusque clenodia et deposita illic reperions, inter quae duas cruces aureas, notabili portione ligni Domini insignes, duoque diademata lapides et graves censu uniones habentia” i t. d. Długosz wprost cały ustęp o wojnie z r. 1340 wziął z Rocznika Traski i tylko go nieco obrobił.



mierza na Ruś 1340 r.; nie było zaś żadnej awanturycznej wycieczki w kwietniu „w szczupłym gronie rycerzy“. Również i co do dalszych wypraw należało w s z y s t k i e źródła rozebrać, a nie milczeniem niektóre z nich pokrywać. Do buntu Detka znajdujemy pod r. 1343 pewne wiadomości w „Prybawlenje ku ypatiewskiej litopysy“ i „hustyńskiej litopysy“ (Polnoje sobranje), obydwaj źródła zawisłe od polskich; do najazdu zaś z r. 1349 podają opisy „Nowhorodskaja perwaja litopys“ „czetwertaja“ „Sofijskaja perwaja“ i „Woskresieńskaja“ (Polnoe sobranje) tudzież „Kronika ruska Daniłowicza“.

Ta sama wiadomość podana pięć razy, cztery razy zgodnie, u Daniłowicza odmiennie. Ostatni zna dwie wyprawy Kazimierza W. na Ruś 1348 i 1349. Na to autor winien był zwrócić uwagę.

Przyznaję chętnie, że latopisy nowogrodzkie, sofijski i woskresieński są nawskróś od polskich źródeł zawisłe, że wiadomości ich pochodzą z drugiej, ba nawet z trzeciej ręki—to jeszcze jednak nie usprawiedliwia autora, że ich nie przytoczył i tego nie zaznaczył w swój rozprawie.

Nadto p. Górzycki nie zna „Kroniki Dubnickiej“ Endlichera i Florianusa, oraz następujących trzech dokumentów.

1) 24 stycznia 1355. Ludovicus Rex Hungarie etc. Casimiro Polonie Regi etc, promittimus ac spondemus, *quod debitum, quo nobis occasione Regni Ruthenorum tenemini, quod ante recognovistis et super quo mediantibus litteris vestris nobis exististis obligati, a Vobis non repetemus, nec Vos impetere intendemus super ipso vel illud exigere, donec possessionem pacificam seu dominium prout predecessores Vestri habuerunt oblinere valueritis Regni prenotati.* Sed cum illam obtinueritis Deo Duce, volumus, ut debitum ipsum plenarie, prout tenemini, persolvatis“.

Z dokumentu tego okazuje się ten ciekawy szczegół, że między królem Ludwikiem a Kazimierzem nastąpił dotychczas nieznaną układ co do Rusi między r. 1352—1355 i że Kazimierz opiera tytuł swój co do posiadania tego kraju na prawach przodków. Odpadają w ten sposób inne kombinacye w tej mierze podawane.

2) Pyzdry 1346. Poręczyciele Jana, króla czeskiego, Karola, margrab. morawskiego i Jana, ks. Karynty, zobowiązują się Kazimierzowi W. w razie wybuchu jakiegoś sporu w 14 dniach po upomnieniu jawić się w H a l i c z u.

Obydwa dokumenty znajdujemy u Dogiela (T. 1).

3) 3 grudnia 1340. Biskup chełmiński i inni piszą do collegium kardynałów z usprawiedliwieniem, że mistrz Dietrich z Altenburga nie jawił się przed papieżem z powodu groźącego napadu Chana tatarskiego „una cum regibus Litwinorum et Ruthenorum suis tributariis“ (Voigt, Cod. dipl. Prussiae. T. 3. N. 21).

Z dokumentu tego oraz z dokumentu, wystawionego w Wislicy d. 6 maja 1341 przez króla Kazimierza (Monum. medüanevi T. 10

Nr. 214) da się mniej więcej oznaczyć, kiedy napad tatarów na Polskę nastąpił. Oto 3 grudnia 1340 roku kupcy donoszą krzyżakom, że taki napad zagraża, a 6 maja 1341 już król bawi po wyprawie w Wiślicy. W ten sposób nie będziemy odtąd mówić: wyprawa tatarów na Polskę r. 1341, lecz określimy ją ściślej.

Nie tylko atoli autor w pracy swój pomija, jak wykazałem, źródła, które winien był zużytkować, ale nadto jeszcze z tych, które zna mylnie wyciąga wnioski i to zasadniczo mylne, lub też wniosków żadnych wyciągnąć nie umie!

Mam tu na myśli dokument, który autor kilkakrotnie cytuje (Theiner Mon. Pol. T. I. N. 566). Pan Górzycki dochodzi do tego wniosku, że król Kazimierz miał zamiar najszczerzy dotrzymać układ zaprzysiężony Rusinom 1341 i przy religii greckiej ich utrzymać. Dokument wspomniany przemawia przeciw temu twierdzeniu, papież bowiem z walnia króla z tój przysięgi na jego własną prośbę, wniesioną bezpośrednio po zawartym pokoju. Prawda, że ostatecznie król był nader łagodnym i względnym—(tak przynajmniej dotychczas znane nam źródła mówią) — dla wyznawców obrządku greckiego; ale w początku 1341 r. zawahał się widocznie.

Z dokumentu, drukowanego Voigta l. c. T. II. pod r. 1334 okazuje się, że ów buntownik Demetrius Detko stał w bliższych stosunkach z otrutym księciem Jerzym i figuruje jako znakomity świadek.

W części drugiej swój rozprawę zdradził autor nieznajomość gruntownej rozprawki Reifenkugla o stosunkach kościelnych na Rusi—w części trzeciej zaś nie ruszył wcale nawet materiału drukowanego w Aktach grodzkich i ziemskich Liske'go i nie zaznajomił się z rezultatami rozprawy pan R. Hubego — ztąd też część ta jest najslabszą. Tak żywotnej i niesłychanie ważnej kwestyi historycznej, jak wytworzenie się m o d u s v i v e n d i między dwoma narodowościami, nie można rozstrzygać w sposób zbyt pobieżny, i bądź co bądź wymaganiom dzisiejszjej nauki nieodpowiadający, zwłaszcza, gdy nagromadzony w ostatnich czasach materiał pozwalał i nakazywał rozbiór gruntowniejszy i wszechstronniejszy zdażeń tak doniosłego znaczenia.

*Dr. Zygmunt Lisiewicz.*

Dr. Witold Załęski. Zasady Ekonomiki (nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1889 r. str. 389 i 16-o.

Objawy życia społecznego są tak trudno do zrozumienia i naukowego wyjaśnienia, tak zawile i nieuchwytnie, tak spomplikowane i od tyłu przyczyn, współcześnie działających zależne, że wszelkie poważne i sumienne badania, dążące do wyjaśnienia tych zjawisk są bardzo pożądane, ponieważ pożytek nauce i społeczeństwu przynieść mogą i powinny. Jeśli nie osiągną zamierzonego celu, jeśli pomimo wszelkich starań badacza, nie wszystko w danym zjawisku społecznym należycie wyjaśnionem zostanie, to sumienne nowe poszukiwania rzucą zawsze pewne światło na kwestye dotychczas nie rozstrzygnięte, lub nawet nieuwzględnione — i nauka na tém skorzysta. Prace poważne, skierowane ku wyjaśnieniu zagadek życia społecznego, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek są na czasie. Współczesne narody cywilizowane przechodzą bardzo ważną fazę w swoim rozwoju — fazę krytycznego dociekania. Pytanie: co to jest, po co to istnieje, na co, do czego służyć ma ta lub owa nowopowstająca instytucja — dotyczą wszelkich objawów życia społecznego, rozum ludzki ze wszystkiego pragnie zdać sobie sprawę, — a ponieważ człowieka najbardziej zawsze człowiek obchodzi, — z tą więc i nauki, badające objawy życia ludzkiego, tak wielkiej nabrały doniosłości. A jeśli zwrócimy uwagę i na tę okoliczność, że nie tylko prosta, wrodzona umysłowi ludzkiemu ciekawość zmusza człowieka do głębszego badania objawów indywidualnego i społecznego życia ludzkiego, ale i nieprzeparta konieczność zaspokojenia istniejących i nieustannie wrastających potrzeb codziennego życia, — to oczywiście ważność i doniosłość nauk społecznych tém jaśniej i dotykaliściej nam się przedstawi. Trudno jednakże rozpoznać dokładnie zjawiska społeczne, ich przyczyny i prawami rządzące, tak, że niektóre szkoły wyrzekły się możliwości ich badania — i ograniczyły swą działalność do rejestrowania i grupowania faktów, unikając tłumaczenia i wyjaśnienia ich istoty. Nauka jednak rzec się tego w zasadzie nie może, gdyż przestałaby być nauką. Dociekanie prawdy — istoty rzeczy — oto cel i zadanie wszelkiej nauki. Dojrzały umysł zasadza poznanie na zrozumieniu danego faktu lub idei, nie zadowolniając się powierzchownym opisaniem zauważonego zjawiska.

Ta doniosłość nauk społecznych, czyni tém cenniejszymi prace, podjęte w celu zbadania zjawisk życia społecznego. Dla tego też z żywą radością witamy nową oryginalną pracę d-ra Witolda Załęskiego, mającą na celu przedstawienie zasad Ekonomii politycznej w obszernym i wszechstronnym wykładzie.



Praca d-ra Załęskiego dzieli się, oprócz wstępu, na siedm części; autor rozpoczyna od wyjaśnienia pojęć zasadniczych ekonomii politycznej, a następnie, rozpatrzywszy w treściwym zarysie historią systemów ekonomicznych, przechodzi do wykładu teorii o wytwarzaniu dóbr, o ich obiegu, podziale i spożyciu. W ostatnim rozdziale autor przedstawia zasady zarządu ekonomicznego.

Autor obok własnych swych poglądów, przedstawia teorie innych ekonomistów, zestawia je i krytykuje. Wyczerpujący rozbiór zasad ekonomii politycznej w obszerném dziele wyluszczonej, jest niepodobieństwem w krótkiej ocenie, mającej na celu poinformowanie ogółu o treści i wartości dzieła. To też o niektórych tylko zasadniczych pomówimy kwestyach.

W przedmowie utrzymuje autor, że „zadaniem ekonomiki jest nauczać klasy nieposiadające, że tylko pracą i oszczędnością mogą przyjść do posiadania dóbr materialnych“... i że „klasom posiadającym ma ekonomika przedstawić ich obowiązek przyczyniania się do podniesienia klas robotniczych i pomagania im do osiągnięcia celów ogólnie ludzkich“.

Oczywiście autor miesza cel pedagogiczny z celem naukowym. Żadna nauka nie naucza jednych tego, innych owego; lecz zadaniem nauki jest zbadanie pewnej grupy zjawisk i praw niemi rządzących, poznanie prawdy w pewnym właściwym jój badaniom zakresie. Poza tym bezwzględny cel, — nauka innych celów nie zna. Gdybyśmy wymagali od niej, aby bez względu na rezultat swych badań i dociekań nauczała pewnych raz na zawsze ustalonych teorii, to odebralibyśmy jój to, co istotę nauki stanowi — prawo bezgranicznego rozwoju. Nauka musi i powinna zmieniać i udoskonalać swoje teorie bez względu na to, czy w daném stadyum swego rozwoju nie wyrze nawet szkodliwego wpływu na umysł ludzki. Mając zaś to na względzie, że prawda nie może stać w stosunku przeczenia do dobra i piękna, możemy śmiało twierdzić, że i poznanie prawdy tylko dobroczynny wpływ na umysł ludzki wyrzucić musi i powinno. Tylko zakresu i celów nauki w ogólności ani zacieśniać, ani rozpraszać nie podobna. Czy klasy posiadające lub nie posiadające do tego lub innego przyjdą wniosku, — teorii ekonomii politycznej krępować to nie powinno. Jój zadaniem jedyném zawsze pozostanie poznanie prawdy w zakresie zjawisk ekonomicznych i praw niemi rządzących, — i nic innego. Cele pedagogiczne posiada tylko nauczanie i wychowanie.

Nie idzie zatém, abyśmy mijali się w dążnościach z autorem co do przekonań, które panować winny wśród klas posiadających i nieposiadających, przeciwnie, piszemy się na nie w zupełności; zaznaczyliśmy tu tylko konieczność zachowania ścisłości pojęcia nauki, pojęcia, wolnego od wszelkich praktycznych względów. Wy-

robienie w ludziach pojęć humanitarnych i sprzyjających rozwojowi cywilizacji, jest zadaniem szkoły i wychowania. Cele pedagogiczne i cele ściśle naukowe odróżnić od siebie należy.

Nie godzimy się również na podział ekonomii politycznej na trzy części: historyczną, dogmatyczną i praktyczną (str. 6). Szczególniej ten ostatni dział jest dla nas zupełnie niezrozumiały. Nauka jest teorią, a my teorii praktycznej, ani praktyki teoretycznej pojąć nie jesteśmy w stanie. Praktyka i teoria—są to dwa logiczne zasadniczo różne pojęcia—mieszać więc ich w nauce nie podobna. Jest to tём dziwniejszy pogląd, że do części praktycznej ekonomiki zalicza autor teorie polityki ekonomicznej i nauki finansów. Nad bezzasadnością tych poglądów dłużej zastanawiać się nie będziemy, zaznaczymy tylko, że w każddej nauce rozróżniamy inne jeszcze oprócz historycznej i dogmatycznej części, a mianowicie metodę badania i część krytyczną, zasadniczo różną od dogmatycznej, o których autor nie wspomina. Oczywiście literaturę przedmiotu włączyć można do części historycznej. Zastosowanie zaś w praktyce wyniku nauki — części składowej nauki samėj nie stanowi.

Autor niepotrzebnie, zdaniem naszym, wdaje się w określanie pojęć filozofii moralności, etyki, prawa i tym podobnych, tём bardziej, że w określeniach tych brak należytej ścisłości. I tak na str. 1 autor utrzymuje, iż „przedmiotem filozofii moralności jest wola ludzka, urzeczywistniająca najwyższe dobro na ziemi, dobro moralne!“ Nieco dalej czytamy: „filozofia moralności jest nauką o najwyższych dobrach na ziemi i żąda ich bezwarunkowego urzeczywistnienia“. Co więc według autora stanowi przedmiot nauki filozofii moralności?—czy wola ludzka, czy dobro najwyższe? Nam się zdaje, że wolę i jej objawy bada psychologia, a nie filozofia moralności. Lecz w obec sprzeczności poglądów autora na powyższą kwestyą, nie wiemy, które określenie autor za słuszne uznaje.

Daliej autor zaznacza, że „choć punktem wyjścia jest wolna wola człowieka, każdy jednak uczynek moralny przypuszcza zupełne jej zaparcie się“. Zapewne użycie wyrazu „zaparcie się“ jest w powyższym zdaniu prostą omyłką. Zaprzec się wolnej woli człowiek, jeśli ją posiada, nie może. Może tylko, jak to się mówi w polszczyźnie, zaprzec się samego siebie, to jest, zrzec się zaspokojenia pewnych potrzeb ciała lub ducha, lecz właśnie przy tём zaparciu się własnego „ja“ dla wyższych etycznych celów, musi zachować całą swobodę wolnej woli, która nadaje pewien kierunek jego działalności i daje mu możność utrzymania się przy tym kierunku wbrew tysiącym przeszkodom i pokusom. I nie „pokonanie i przewyciężenie naszej woli“ stanowi drogę do osiągnięcia dobra najwyższego, lecz emancypacja tej woli od wszelkich ograniczeń i wpływów postronnych i zapanowanie tej woli nad całym na-

szym organizmem. Z chwilą zaparcia się, inaczej, z chwilą wyzucia się z tej wolnej woli, wszelki czyn ludzki traci cechę moralności i odpowiedzialności — człowiek staje się mechanizmem. Zastosowanie czynów człowieka do pewnych z góry powziętych zasad i celów wymaga całej niezależności tej właśnie wolnej woli. W ogóle nie wiemy, po co w ekonomii politycznej spotykamy tę metafizykę wolnej woli.

Niepotrzebnie również autor zaznacza, że „człowiek, jako istota cielesna i materyalna, należy do świata zewnętrznego i potrzebuje środków zewnętrznych dla zaspokojenia swych potrzeb“ (str. 3). Jest to prawda oczywista jak to, że słońce we dnie świeci. Tylko niejasność pewną budzi wyrażenie „świat zewnętrzny“. A gdzie jest świat *wewnętrzny*? Rozróżnienie świata zewnętrznego od wewnętrznego subiektywnie odczuwa każdy człowiek, ale naukowo określić różnic tych dwóch światów i szafować wyrażeniami świat zewnętrzny i świat wewnętrzny — nie można. Niejasność jest tu wynikiem względności tych pojęć. To, co dla mego „ja“ stanowi świat wewnętrzny, dla innego człowieka należy do objawów świata zewnętrznego. Ekonomia polityczna, wbrew twierdzeniu autora, nie potrzebuje przed żadną inną nauką uchylać czoła, nawet przed etyką, gdyż równie jedna jak druga nauka ma swój specjalny zakres, a niezależność nauk jest konieczną zasadą ich rozwoju. Tymczasem autor tak wielką ogarnia czytelnika; mimowoli rodzi się pytanie, do czego też zejdzie w końcu przedmiot „ekonomii politycznej“? Autor utrzymuje, że „zajęcia ekonomiczne są zastosowaniem praktycznym zasad moralności“ (str. 3). Polerowanie np. kamienia jest zajęciem ekonomicznym, otóż radziłyśmy wiedzieć z jakiej zasady etycznej wypływa polerowanie kamienia? Sądzimy, że etyka z tą czynnością nie ma nic wspólnego i że trudno w niej dopatrzyć się cech moralności lub niemoralności.

Autor nie wskazuje dostatecznej zasady dla zmiany dotychczas powszechniej nazwy nauki ekonomii politycznej; przekształcając tę nazwę na „ekonomikę“ z dopisaniem nawiasowo na tytule książki odpowiedniego komentarza. Ze autor chce skrócić nazwę nauki, to dostatecznego powodu do zmiany utartej nazwy nie stanowi, a rodzajów nazwy tej z greckiego autor własnym twierdzeniem osłabia (str. 6), przyznając, że wyraz grecki „οικονομική“ oznacza naukę gospodarstwa, pojętego jako gospodarstwo *domowe*!! Tymczasem nauka ekonomii politycznej dotyczy zasad gospodarstwa narodowego lub społecznego, jak to autor sam zresztą przyznaje. Zmieniać moglibyśmy w razie nieuniknionej konieczności nazwę nauki, lecz gdzie nie ma tej konieczności, tam wszelkie innowacje w nomenklaturze nauk są zbyteczne i wywołują niejasność, wymagającą następnie komentarzy.

Autor utrzymuje, że „potrzeby człowieka można podzielić na



potrzeby: przyrodzone, przyzwoitości, stanu i nakoniec potrzeby zbytku“ (str. 10). Klasyfikacja ta, zdaniem naszym, nie jest ani ścisłą, ani wyczerpującą. Potrzeby ludzkie są tak nieskończone, ilość i różnorodność ich jest tak wielką, że kusić się o ujęcie ich w pewną klasyfikację jest niesłychanie trudno. Potrzeby i rodzaje tych potrzeb zmieniają się stosownie do rozwoju ludzkości, do postępu i uspołecznienia. Potrzeby te są mniej lub więcej naglące, różnie zaspokajane. Względność ich niemal zupełnie wyklucza możliwość klasyfikacji, a jeśli już mamy je grupować, to według cech jak najogólniejszych. Tak na przykład można podzielić potrzeby ludzkie na takie, których zaspokojenie koniecznym jest dla podtrzymania bytu i potrzeby, których zaspokojenie koniecznym jest dla rozwoju cywilizacji. Można by również podzielić potrzeby ludzkie na potrzeby ducha i ciała, i tym podobnie. Klasyfikacja autora zdaniem naszym nie wytrzymuje krytyki. Co to są, na przykład, potrzeby przyzwoitości? O jakiej tu przyzwoitości mowa? Wszak etyki narodów są bardzo różne, a cóż dopiero konwencyonalne pojęcie przyzwoitości! To, co przyzwoitą jest według Amerykanina, jest nieprzyzwoitą według Europejczyka; to, co przyzwoitą zowie chrześcianin, za nieprzyzwoite uważa muzułmanin (np. zakwestionowanie kobiety wobec mężczyzn), i odwrotnie. Gdzie więc miara dla stałego naukowego pojęcia i określenia przyzwoitości?

A co to są potrzeby zbytku? Gdzie znowu miara dla stałego określenia tak zmiennego i względnego pojęcia, jak to autor sam poniżej wykazuje? (str. 333 i nast.). Jakie potrzeby zalicza autor do potrzeb zbytku? Na przykład kareta dla wziętego doktora pod względem ekonomicznym bynajmniej nie jest zbytkiem, bo zaoszczędza mu czas i siły a powiększa jego produkcję. Dla iluż jednak ludzi stanowi ona zbytek. Również niejasne są potrzeby stanu. Na jakie „stany“ przedewszystkiemi dzieli autor ludzkość, która dąży do uwolnienia się od podziału na stany? Dopóki autor nie przeprowadzi swego podziału na stany, jego „potrzeb stanu“ zrozumieć nie możemy. Nie wiemy również, do jakich potrzeb według klasyfikacji autora zaliczyć mamy potrzeby estetyczne. Czy do potrzeb zbytku czy do potrzeb przyrodzonych. Błąd w klasyfikacji autora na tym polega, że wbrew wymaganiom logiki, klasyfikacja jego nie posiada jednej i tej samej podstawy.

Nie przeczyamy bynajmniej, że określanie pojęć ekonomicznych jest bardzo trudnym, i wiemy dobrze, że jedno i toż samo pojęcie ekonomiczne różne wśród szkół ekonomicznych znajduje określenie. To też żaden autor nie potrzebuje oglądać się na zdania sprzecznych szkół, lecz raz ustaliwszy swoje określenie, w stosowaniu i używaniu go powinien być konsekwentnym.

Na str. 14 autor utrzymuje, że od pojęcia użyteczności różnym jest pojęcie *kosztowności* t. j. nakład trudu i czasu, połączony z nabyciem lub wytworzeniem danego przedmiotu. Kosztowność wyra-

za trudności, które należy przewyciężyć, chcąc otrzymać przedmiot. Na str. 15 czytamy: „kiedy użyteczność jest powszechnie uznana i z nią się połączy kosztowność, powstaje *wartość*.“ Dalej po tych dwóch określeniach utrzymuje autor, iż (str. 16), „ponieważ znajduje się *wiele* osób, które czują gwałtowną *potrzebę przystrojenia się* w brylanty i ponieważ te kamienie, z przyczyny *rzadkości*, są bardzo *kosztowne*, koniecznością jest zatem, żeby posiadały wysoką *wartość*.“ Otóż przytoczony przez autora ostatni przykład (brylanty) zbija zdaniem naszym dwa pierwsze określenia.

Według tego poglądu brylanty posiadają *wartość*, ponieważ: 1) „znajduje się *wiele* osób, które czują gwałtowną *potrzebę przystrojenia się* w brylanty“ (a więc silny popyt, zapotrzebowanie); 2) *rzadkość* tych kamieni, (małą podaż w stosunku do zapotrzebowania), 3) wynikająca (?) z tej *rzadkości* *kosztowność*, 4) *użyteczność* tych kamieni. Widzimy więc, że na wywołanie *wartości* brylantów złożyły się cztery czynniki, gdy tymczasem *wartość* zdaniem autora wynika jedynie z połączenia *kosztowności* i *użyteczności*. Określenie zatem *wartości* przez autora jest niedokładne, gdyż nie uwzględnia prawa podaży i popytu.

Nie sądzimy również, aby *rzadkość* przedmiotu mogła być przyczyną *kosztowności*, w tém znaczeniu, jak to autor powyżej określił; nakład trudu i czasu dla uzyskania brylantów bynajmniej nie jest tak wielkim, aby zaważył przy ocenianiu *wartości*. Gdyby *wartość* wynikała jedynie z *użyteczności* i *kosztowności*, to przy zwiększeniu się któregośkolwiek z powyższych czynników i *wartość* wzrastać — by powinna. Tymczasem np. dwa domy, wzniesione z różnym nakładem trudu i czasu (co zależy od uzdolnienia robotników, pory budowania, nieprzewidzianych przeszkód i t. p.), a zatem różnej *kosztowności*, lecz jednej i tej samej *użyteczności*, będą posiadały jedną i tę samą *wartość*, właśnie dla tego, że stosunek podaży i popytu pozostanie niezmienny.

Z tego wynika, że *kosztowność* obok tej samej *użyteczności* nie zawsze znajduje się w stosunku prostym do *wartości*, — i w ogóle *wartość* od *kosztowności* nie zależy. Zdaniem autora powietrze nie posiada żadnej *wartości* (str. 15). Przeczymy temu. Dla zdobycia powietrza zdrowego dla chorych płuc pacjent ponosi częstokroć wielkie nakłady (stacje klimatyczne), a wówczas to powietrze posiada *wartość* nawet według określeń autora, gdyż łączy w sobie i *użyteczność* i *kosztowność*. Dalej np. (str. 19) autor utrzymuje, iż „pamiętka po zmarłej osobie może mieć dla krewnych i przyjaciół wielką *użyteczność*... i ten przedmiot jest nieskończenie *kosztowny*, albowiem w razie jego stracenia, żadna siła ludzka nie jest zdolną przywrócić go na powrót.“

Nie potrzebuję chyba nadmiernie silić się na dowiedzenie, iż zastosowanie pojęcia *kosztowności* do pamiętki po zmarłym jest pozbawione naukowej podstawy. Pamiętka taka bezwątpienia

dla osób interesowanych posiada wartość, lecz gdzież ma być kosztowność. Wszak kosztowność, to jest nakład trudu i czasu, połączony z nabyciem lub wytworzeniem danego przedmiotu. A czyż posiadający pamiętkę ową zżytkował dla wytworzenia jej choć chwilę czasu lub najmniejszy wysiłek trudu? Przecież nie ma żadnej zasady naukowej utożsamiania rzadkości z kosztownością. Przytoczony powyżej przez autora przykład jest oczywistym dowodem, że dany przedmiot może posiadać wielką wartość, jakkolwiek nie jest kosztownym.

Na str. 18 autor bardzo trafnie zaznacza, iż wysokość wartości będzie zależała od ilości osób posiadających żądany towar i od liczby, ile z nich ma chęć pozbycia się tego towaru—a dalej (str. 19), że „ostatecznie na wysokość cen wpływa rozstrzygająco stosunek zaofiarowania (podaży) do poszukiwania“. Otóż tę zasadę należało uwzględnić przy oznaczeniu pojęcia wartości, które jest zupełnie względne.

Tak naprzykład słynna w swoim czasie zabawka cri - cri posiadała względnie wysoką cenę, obok żadnej niemal kosztowności i żadnej użyteczności. Jedyne zaofiarowanie i zapotrzebowanie, wynikające z bezmyślnej chwilowej mody decydowało o cenie i wartości zabawki.

Autor, rozpatrując kwestye istnienia praw w ekonomiczném życiu społeczeństw i kwestye postępu — chwytne bardzo wypowiada poglądy, a właściwie unika wypowiedzenia stanowczego słowa. A jednak jest to kwestya pierwszej wagi, od której rozstrzygnięcia zależy cały kierunek nauki (str. 33 i nast.).

Autor sądzi, iż uchyla wszelkie trudności, nazywając „prawami ekonomicznemi prawidła, podług których życie ekonomiczne narodów się urzeczywistnia.“ Czyżby autor uważał to omówienie swoje, nie dające dokładnego wyjaśnienia, za rozstrzygające kwestyą?

Zastrzegamy, iż prawem bynajmniej nie nazywamy stałego stosunku zależności, zachodzącego między przyczyną i skutkiem (str. 33), lecz normę, regulującą i obejmującą całe grupy takich stosunków, co wcale nie na jedno wychodzi.

W uznaniu „stałych i niezmiennych“ praw w zjawiskach ekonomicznych stoi autorowi na przeszkodzie wolna wola człowieka, a jednak p. Z. uznaje stałe prawidło rozwoju ekonomicznego. Trudna rada, Scylli i Charybdy w nauce ominąć nie można, gdyż brak takiego głównego fundamentu cały gmach o ruinę przyprawi.

Co do postępu, to autor przechyla się ku sceptycyzmowi, twierdząc, iż „w historii nie znajdujemy nieprzerwanego postępu, można zatem powątpiewać, czy taki postęp na wielką skalę w ogóle istnieje.“ Przynajmniej poglądy Volgera, Mill'a i Roscher'a, autor unika wypowiedzenia własnego, twierdząc raz, że jest postęp ogólny ludzkości, który tylko „przez falowanie życia historycznego... zakryty bywa przed oczami naszymi,“ to znów utrzymując, że „nie możemy jedno-



częśnie przyjmować postęp (u) trwały (ego) i ciągły (ego).“ Tymczasem na str. 314 i nast. autor trafnie przedstawia charakterystykę postępu ekonomicznego, a więc istnienie postępu kategoriycznie przyznaje.

Na str. 31 autor przypuszcza istnienie postępu rzeczywistego i twierdzi, że „postęp czasów obecnych leży w kierunku interesu ogólnego.“ Po cóż więc ta chwiejność i sceptycyzm?

Przy rozbiórce pojęcia zbytku, autor twierdzi, zdaniem naszym, mylnie, iż „pojęcie zbytku jest zupełnie względne“ (str. 333), rozróżniając następnie zbytek rozumny i nierozumny. Jeśli pojęcie zbytku ścisłego określenia u p. Z. nie znalazło, to oczywiście jeszcze mniej ścisłym, a nawet wprost niezrozumiałym będzie pojęcie złożone: „zbytek rozumny“ i „zbytek nierozumny“. Autor mówi np. o „zbytku czystości, z jego następstwami zbawiennymi dla ducha i ciała.“ Wyrażenie to jest zdaniem naszym, sprzecznością samą w sobie. Zaspokojone potrzeby, stanowiącej warunek zdrowia, jak potrzeba czystości ciała, do rzędu zbytków żadną miarą zaliczonym być nie może.

Również nie godzimy się na zdanie autora, iż użycie zdrowe, gustowne i prawdziwe dóbr tego świata jest zbytkiem (str. 336). Autor formalnie igra tym pojęciem, tak, że w głowie czytającego nieobeznanego zkądinąd z kwestyami ekonomicznymi, może powstać kompletny chaos. Raz naprzykład autor twierdzi, iż „zbytek danego wieku, zwraca się zwykle do towarów najtańszych“ (str. 334), na co się godzić trudno, to znów, że „zbytek pogardza towarami, które produkowane są w wielkich ilościach“ (str. 338). Tymczasem nie potrzeba, zdaje się, dowodzić, iż towary produkowane w największych ilościach są najtańsze. W obec powyższych sprzeczności, nie wiemy, jakie istotnie jest zdanie autora, nie wiemy, na co się zgadzać mamy, tem bardziej, że oba powyżej przytoczone poglądy są wypowiedziane bez żadnego uzasadnienia. W rozdziale o zarządzie ekonomicznym utrzymuje autor między innymi, że „społeczeństwo, doprowadzone do uznania swęj osobistości, do osobistęj woli i osobistego działania, nazywa się państwem“ (str. 348). Twierdzenie to mija się z istniejącymi stosunkami państwowemi. Społeczeństwo nie jest państwem i państwo nie jest społeczeństwem. Ponieważ teoretyczny rozbiór obu tych pojęć zająłby zbyt wiele miejsca, zwrócimy tylko uwagę autora na fakty świata rzeczywistego, które zaprzeczają jego poglądom. Rzym starożytny, tworzący jedno państwo, w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej obejmował kilkanaście społeczeństw. Nowożytna historia składa bardzo dużo dowodów, iż pod jednem berłem łączy się kilka społeczeństw (Turcyja, Austria, Rosyja) lub odwrotnie, że jedno społeczeństwo podzielono na części pod względem terytorjalnym i wcielono do państw różnych. W innych miejscach, nie kępując się powyższem określeniem, nazywa autor państwo „organizmem“ (str. 54). Taka

niejednostajność i chwiejność w określeniach przeszkadza wyrobieniu się jasnych pojęć w umyśle czytelnika.

Do wad książki zaliczyć trzeba styl w wielu ustępach ciężki, zawiły, nieswojski, utrudniający w wielu miejscach zrozumienie myśli autora. Z przykrością zaznaczyć też musimy, że język w pracy dra Załęskiego pod względem czystości i poprawności pozostawia nadzwyczaj wiele do życzenia a przecież i w dziele naukowym błędów językowych jak najstaranniej wystrzegać się należy, jeżeli praca nasza ma społeczeństwu jakąkolwiek korzyść przynieść. Dla przykładu przytaczamy: „w sześćdziesiątych latach byli wszyscy pod wpływem...“ (str. 1); „i przedmioty muszą być wytwarzane *na zakaz*“ (ma być na zamówienie; str. 10); „trzy kategorie dóbr ekonomicznych powiększył Macleod *czwartą*“ (str. 12); „jeżeli przy tworzeniu się wartości *brakuje pierwiastek* uznania powszechnego“ (str. 19); „zasługą Roschera jest *pokazanie*, że wszystkie prawdy ekonomiczne są względne“ (str. 36); „ponieważ zbyt radykalnie wziął się do reform, nie zdołał *je* przeprowadzić“ (str. 44).—Przypadków czwartych przy słowach czynnych z przeczeniem w książce spotykamy bez liku: „brakuje mu *znajomość* historii“ (str. 60); — „one... nie przedstawiają *tę samą* przypadkowość“ (str. 195). Rażą nadto takie dziwotwory: „polityka kolonialna, której się *przytrzymał* rząd angielski“ (str. 50); „*pokupki* domowe na rachunek“ (str. 210—zapewne autor chciał powiedzieć „zakupy“?); „brak bezpieczeństwa publicznego i *nieswoboda* wymiany“ (str. 211); „Rodbertus nie odróżnia zatem *czynności* materyjalne i *ruchy* naturalne od czynności ekonomiczno-technicznych“ (str. 278). i t. d. i t. d. Jest to, oprócz braku ścisłości w terminologii i w wielu razach konsekwencji w zasadach naukowych—jedna z najbardziej ujemnych, zaniedbanych stron książki autora, który w tyłu pracach już dowiódł, że przy pilnej uwadze lepiej po polsku pisać umie.

J. K. Dworzaczek.

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Rzut oka na ważniejsze wypadki polityki międzynarodowej. — Zatarg angielsko-portugalski. — Polityka finansowa rządu bułgarskiego w obec dyplomacji europejskiej. — Fyzyognomia republiki francuskiej. — Budząca się opozycja reprezentantów narodu w sejmie niemieckim. — Ugoda Czechów z Niemcami o konstytucyjny *modus vivendi* obydwoch narodowości w granicach korony Św. Wacława. — Czeska Akademia Umiejętności w Pradze. — Włochy nieustające w walce z Kościołem katolickim: ustawa o fundacjach dobroczynnych. — Uniwersytety katolickie w państwach protestanckich. — Rossya zajęta sprawami wewnętrznymi: sprawą finansów, wojskowości, szkół. — Ósmy zjazd naturalistów i lekarzy w Petersburgu. — Zjazd w sprawie szkół technicznych i profesjonalnych. — Uniwersytet Warszawski. Temata konkursowe na wydziale prawnym. — Objasnienie ogłoszonego przez uniwersytet tematu konkursowego z zapisu Ad. Chojnackiego („Warunki urodzajności roli“). — Posiedzenie Wydziału historyczno-filoz. Akad. Um. w Krakowie. — Posiedzenie Wydziału filologicznego tejże Akademii. — Walne zebranie Tow. Mickiewiczowskiego we Lwowie. — Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiej. — Wystawa konkursowa architektury, zapowiedziana przez Komitet Tow. Zach. Sztuk pięknych w Warszawie na styczeń 1891-o roku. — Likwidacya Spółki sprzedaży owoców w Warszawie.

Na horyzoncie stosunków międzynarodowych, zabarwionym od kilku miesięcy bardzo pckojowo, zatworzyły w ostatnim czasie opinią publiczną dwa obłoki czarniejsze, które chwilowo zdawały się grozić niespodziewanym wybuchem, mianowicie: zatarg angielsko-portugalski w sprawie kolonizacyi południowej części wybrzeża wschodnio - afrykańskiego i finansowa polityka rządu bułgarskiego na półwyspie bałkańskim.

Spór, wszczęty z niezwykłą żarliwością nad rzeką Zambeza przez gorliwych urzędników portugalskich i angielskich ma w tej chwili dwojakie znaczenie. Wobec współzawodnictwa państw europejskich, ubiegających się o zawładnięcie jak największymi terytoriami afrykańskimi, porusza zatarg angielsko-portugalski jedną



z zawilszych kwestyi prawa międzynarodowego, mianowicie kwestyą znaczenia prawnego t. zw. *jus primi occupantis*. Czy zatknięcie chorągwi na terytorium nieurządzonego jeszcze państwa stanowi prawny tytuł *własności*, czy też użytkowanie rzeczywiste z terytorium, które wśród barbarzyńców zajęto? Prócz tego zatarg ten nastęrcza republikanom portugalskim i hiszpańskim sposobność do podżegania umysłów ludowych w kierunku aspiracyi republikańskich, które pobudzone rewolucyą brazylijską, zechcą wyzyskać niezadowolenie masy ludowej z przezornój, umiarkowanėj polityki gabinetu lizbońskiego wobec przemożnego napastnika, obrażającogo groźbami swe mi godność narodową słabszėj Portugalii.

Portugalia, nie mając od początku w. XVI-go współzawodnika w afrykańskich krajach nad rzeką Zambezą, poczytywała siebie za bezsporną panią i władczynią tych przestrzeni, nie przedsięwzięjąc jednak nic, coby świadczyć mogło, o jej działalności kolonizacyjnej i cywilizacyjnej. Dopiero gdy Anglia, posuwając się od przyłądka Dobrzej Nadziei ku północnemu wschodowi, zagroziła pod pewnym względem interesom Rzeczypospolitej trans-waalskiej i zetknęła się z okolicami, które Portugalczycy, siedzący na wybrzeżu wschodnio-afrykańskim, poczytywali faktycznie za swoje, chociaż nie uczynili dla społecznienia ludności miejscowej — powstał spór o granicę nie tylko wpływów, ale i posiadania. Spór ten z początku czysto dyplomatyczny, zaognił się nie lada, gdy Portugalczycy pobili w końcu roku zeszłego nad Zambezą plemię Makololów, osłaniające się chorągwią angielską, która jako łup dostała się w ręce zwyciężkich portugalczyków. Sprawa nabrała groźniejszego jeszcze znaczenia, gdy wyprawa portugalska zaczęła się obwarowywać na punktach przez siebie zajętych, które Anglia poczytywała za niezajęte i dla siebie przeznaczone.

To dało powód gabinetowi londyńskiemu do nadzwyczaj groźnego, gwałtownego wystąpienia w Lizbonie z żądaniem natychmiastowego opuszczenia terytorjów spornych przez Portugalczyków, pod zagrożeniem zerwania stosunków dyplomatycznych, popartém demonstrancją floty angielskiej na wodach portugalskich. Gabinet portugalski ugiął się pod taką groźbą, nakazał wycofanie wojsk z terytorjów spornych; ale zarazem podał się do dymissy, zostawiając następcom rozwikłanie lub rozeicie tego nowożytnego węzła gordyjskiego. Postąpienia gabinetu londyńskiego oburzyło w najwyższym stopniu opinią publiczną nie tylko w masach narodu portugalskiego, zlorzeczących małoduszności ministrów młodego monarchy, który niedawno dopiero objął rządy królestwa po śmierci ojca, ale i w całej prasie europejskiej. Z powodu zawilości sporu nie można liczyć na to, aby którekolwiek z państw pierwszorzędnych zechciało nakłonić Anglików do uszanowania postanowień konferencyi berlińskiej w sprawie Państwa Kongo, przekazującej tego rodzaju spory rozpoznaniu sądu polubownego; najprawdopo-

dobniej nastąpi porozumienie między stronami interesowanymi na podstawie ustępstw wzajemnych, które jednak ostatecznie wypadną na korzyść mocniejszego, co nie przyczyni się do wzmocnienia idei monarchicznych na półwyspie iberyjskim.

Kwestya finansowej polityki rządu bułgarskiego, która, po uwagach dyplomacyi rossyjskiej, zdawała się całą kwestyą wschodnią popychać na zbyt niebezpieczne drogi, została ostatecznie zredukowaną do znaczenia „zastrzeżenia prawnego“, ponieważ wystąpienia gabinetu petersburskiego nie poparła Turcya analogicznem wystąpieniem, bo jak dowodzą organa wiedeńskie, tylko jedna W. Porta mogłaby tę sprawę wprowadzić na pole poważnej dyskusyi dyplomatycznej. Porta zaś zadowolila się objaśnieniem agenta bułgarskiego, Wulkowicza, który dowodził, że nie ma tu żadnego naruszenia traktatu berlińskiego, bo oddana na zastaw pożyczki droga żelazna Carybrod—Wakareł nie leży w Rumelii, ale w Bułgarii, droga zaś żelazna Jamboli—Burgas znajduje się wprawdzie w Rumelii, ale ona nie istniała jeszcze podczas zawierania traktatu berlińskiego i nie mogła służyć za podstawę, na której oparto wynagrodzenie okupacyjne.

Franeya osamotniona w dziedzinie polityki międzynarodowej, czepiała się kwestyi konwersyi długu egipskiego, słuchała chętnie nawracających się do niej polityków włoskich w zakresie polityki handlowej—odtrącała z oburzeniem podsuwany prezydentowi Carnotowi zamiar spotkania się z cesarzem Wilhelmem II w Brukseli; ale ciekawsze oko zwracała na działalność nowej Izby reprezentantów narodu, która się 15-go stycznia zgromadziła. Stronnictwa monarchiczne, skompromitowane podczas ostatnich wyborów, nie potrafiły się jeszcze zorientować w sytuacji dosyć kłopotliwej, którą sobie zgotowały. Skrajna lewica, zwątpiwszy o skuteczności przedsięwziętych dotychczas środków radykalnych, próbowała zorganizować się w ściślejszą grupę reformistów. Bulanżysci, znuzeni bezskutecznością napaściami na dotychczasowy parlamentaryzm, uciekli nieco z propagandą reprezentacyi prawdziwie narodowej pod chorągwią „wyższego“ patryotyzmu, okazywali gotowość zaciągnięcia się pod sztandary antisemityzmu; lecz idea ta spowodowała dalszy rozkład stronnictwa. Gorszące szamotanie się przywódców tego stronnictwa w Izbie podczas sprawdzania wyborów, a mianowicie Joffrina, antagonisty Boulanger'a w Paryżu, oraz junackie ich wystąpienie podczas rozpraw nad usunięciem uchwały rady municypalnej Paryża, przyznającej zasiłek robotnikom, którzy porzuciwszy dotychczasowe zarobki za pomocą zmywu pragnęli wycisnąć wyższą płacę od swoich chlebodawców—przybrało formy tak gorszącej, iż zostali siłą usunięci z Izby. Sceny tego rodzaju obezwładniają rząd republikański, a nie podnosząc w kraju powagi skompromitowanego tyłkrotnie stronnictwa szkodzą stanowisku międzynarodowemu Rptej.

Prace parlamentarne w Berlinie — zaniebane przez ks. Bismarcka, nie wychylającego się ze swojego Tusculum pomorskiego nie dawały powodu do niepokojenia sytuacji europejskiej, chociaż dawniejsi słuźbiści, nie słysząc gromkiego głosu swego Jowisza, zapominali niekiedy o najpierwszym obowiązku obywatela pruskiego, nawykłego do ślepego posłuszeństwa skinieniu żelaznego swego rozkazodawcy. Parlament niemiecki nie zgodził się na rządowy projekt nowój ustawy przeciw socyalistom, bo wykreślił paragraf o wydalaniu z kraju obywateli podejrzanych bez wyroku sądowego drogą administracyjną. Zniósł karę banieyi, wiszącą nad księdzemu katolickim za spełnianie obowiązków kapłańskich bez upoważnienia rządowego. Nareszcie uchwalił zwolnienie seminarzystów, kształcących się na kapłanów od poboru wojskowego przez czas odbywania studyj teologicznych. Zjawiska tego rodzaju nie są pożądane dla rządów ks. Bismarcka, zwłaszcza w chwili tak bliskiej nowych wyborów do sejmii Rzeszy.

Donioślejsze jeszcze znaczenie mogą mieć dla Austrii narady między przywódcami Czechów i Niemców czeskich, prowadzone w miesiącu styczniu w Wiedniu przy czynnym współdziale gabinetu hr. Taaffego. Podejmowana już tylokrotnie od czasów hr. Alfr. Potockiego próba wytworzenia w Czechach konstytucyjnego *modus vivendi* między nienawidzącemi się dwiema narodowościami, została nareszcie szczęśliwie dokonana — w teoryi. Konferencya, złożona z przywódców stronnictwa niemieckiego, historycznej szlachty czeskiej i klubu staroczeskiego, porozumiała się co do używania dwóch języków narodowych w sądownictwie, co do podziału sejmii czeskiego na 3 kurye: czeską, niemiecką i szlachty historycznej. Jedna kurya ma mieć prawo *Vetu* w zakresie postanowień interesu ogólnego. Układ, zawarty w Wiedniu, komunikowany już klubom w Pradze, został jednomyślnie przyjęty przez Niemców i przez staroczechów; młodo — czesi zażądali 8 dni namysłu, aby mogli rozebrać gruntownie punkt po punkcie umówione wzajemne koncesyie. Pamiętając o wypróbowanej *karności* narodu czeskiego wszędzie tam, gdzie chodzi o dobro publiczne, można mieć nadzieję, że i Młodocezsi zrozumieją doniosłość konieczności interesów między-narodowych, które tę zgodę w tej chwili podpisać każą — i nie podepczą legalnej podstawy narodowego swego odrodzenia i dalszego rozwoju, chociaż ją ich antagoniści, t. j. Staroczesi z Niemcami zbudowali. Będzie to próba rozumu politycznego wśród ostentacyjnie krykliwej falangi szowinistów husyckich i słowiańskich. Z tego co dotychczas wiadomo w tej sprawie, widzimy, że chodziło Czechom i Niemcom zarówno jak i rządowi głównie o to, aby wytworzyć w kraju taki stan legalny, na którymby obiedwie narodowości obok siebie konstytucyjnie żyć i rozwijać się mogły. Na posiedzeniu klubu niemieckiego w Wiedniu oświadczył jednak poseł Plener, że Niemcy mogą z uczuciem pewnego zadowolenia zapatrywać się na



ugodę z Czechami. Podział rady szkolnej w Czechach, podział okręgów sądowych, zorganizowanie kuryj narodowych w sejmie czeskim z prawem do *Veto* w kwestyi zmian wewnętrznych urzędów w kraju i w sprawie wyborów do sejmu, a wreszcie w kwestyi języka, wszystko to, wedle słów Plenera, jest stanowczą wygraną po stronie Niemców. Dzięki tej umowie, mówił Plener, przy dalszej rewizyi paragrafów o języku państwowym, stronnictwo niemieckie pozostanie przy swoich zapatrywaniach na rolę, jaką powinien odgrywać w Austrii język niemiecki“.

Praktyka dopiero pokaże, o ile zawarta co tylko tranzakcyja, stanie się podstawą pożytecznego normalnego rozwoju społeczeństwa czeskiego, bo nie brak w tym nowego rodzaju dualismie materiału, który dawniejsze właśnie podżęgać może.

Tymczasem z radością witamy zatwierdzoną przez cesarza austriackiego czeską Akademią Umiejętności w Pradze, z protektorem arcyks. Karolem Ludwikiem, którego opiece i Akademia Krakowska poruczona; spodziewamy się bowiem po licznym zastępie gruntownie uczonych Czechów, odznaczających się systematyczną wytrwałością w pracy, że nowa ta w świecie słowiańskim instytucya naukowa obfite owoce i po za granicami Czech przyniesie.

We Włoszech nie słabnie prąd wrogi kościołowi oraz instytucjom katolickim. Po nowym włoskim kodeksie karnym, który z 1-ym stycznia wszedł już w życie, naruszając wolność duchowieństwa i przeszkadzając mu w swobodnym spełnianiu obowiązków powołania swego, ustawa o fundacyach dobroczynnych zadała Kościołowi nową ranę. Ustawa ta znosi lub zmienia cel fundacyj, które mają źródło w duchu miłosierdzia chrześcijańskiego. Prawie wszystkie fundacye na cele pogrzebowe i na korzyść dziewcząt, udających się do klasztorów, zostały zniesione i na inne cele przekazane. Jestto naruszeniem ostatniej woli testatorów, którzy na te, a nie inne cele, mienie swoje przeznaczyli, wiedząc, iż o ile cele te dotyczą religii, są wieczne, tak jak prawa, łączące Boga z człowiekiem. Jako kontrast do wrogiego postępowania rządu włoskiego przeciwko Kościołowi i Papieżowi można przytoczyć powstawanie uniwersytetów katolickich w państwach protestanckich, które w ostatnich czasach otwarto w Waszyngtonie, Ottawie (w angielskim związku Kanady w Ameryce) i Fryburgu w Szwajcaryi, co świadczy korzystnie o swobodnym rozwoju katolicyzmu w krajach protestanckich, słynących nie tak dawno z wrogiego nader fanatyzmu przeciw Kościołowi i Papieżowi.

W Rosyi zajmują się władze zwierzchnie z niesłabnącą energią w dalszym ciągu doskonaleniem spraw wewnętrznych, mianowicie: gospodarstwa finansowego, reformą szkół i edukacyi publicznej, nie mniej i udoskonaleniem siły zbrojnej, bo rozsiewane w publicystyce europejskiej pogłoski, jakoby Rosya miała protestować

przeciwko ewentualnemu zawarciu traktatu handlowego między Anglią a Bułgarią, są według petersburskiego korespondenta „Norda“ potwarzą. „Rosya ma zawsze żywe sympatyje dla Bułgarii, jak zresztą i dla wszystkich ludów słowiańskich i nie chce bynajmniej szkodzić jej materyalnemu interesom. Jedynie tylko wobec rządu Koberga, jako nielegalnego, Rosya zajmuje wrogie stanowisko“.

Dnia 9-o stycznia r. b. zebrał się 8-y Zjazd naturalistów i lekarzy w Petersburgu. Przemawiał najprzód prof. Beketow, jako organizator, Lichaczew jako głowa Petersburga; Dokuczajew o robotach przedwstępnych. Ponieważ prof. Mendelejew nie przyjął prezesostwa, wybrano prof. Beketowa. Prof. Mendelejew wygłosił odczyt „O zastosowaniu nauk przyrodniczych przy badaniu cen“, a prof. Sklifasowski „O potrzebach wykształcenia lekarskiego“. Zjazd rozdzielił się na sekcye: matematyki, astronomii, fizyki, chemii, mineralogii, botaniki, anatomii, geografii, agronomii, medycyny i higieny, które rozbrały specjalne kwestye z przynależnej gałęzi wiedzy.

Oprócz tego zajmował prasę drugi zjazd uczonych w Petersburgu, mianowicie zjazd w sprawie technicznego i profesyjnego wykształcenia, który miał tym większe znaczenie przez to, że poprzedza bezpośrednio zaprowadzenie w całym państwie szkół technicznych i rzemieślniczych. Nie brak tu było przeciwników szkół profesjonalnych, dowodzących, że najlepszym środkiem wykształcenia dobrych czeladników i majstrów jest dawny system terminowania. W ogóle zauważyć można było dwa prądy, z których jeden pragnął szkół specjalnych, któreby odpowiadały potrzebom kraju, a więc rolniczych, górniczych i kolejowych; drugi zaś dopominał się przedewszystkiem szkół dobrych w ogóle, wychodząc słusznie z tej zasady, że Szkoła wychować powinna przedewszystkiem człowieka, a następnie dopiero zrobić z niego specjalistę. W ogólności nadmienić trzeba, że w obec żywego zainteresowania się ogółu potrzebną reformą wychowania publicznego, pojawia się w publicystyce równie rosyjskiej jak i polskiej wiele głosów powierzchownych, niekompetentnych w rzeczach pedagogicznych, które prowadzą opinią na liczne bezdroża, dla tego należy krytycznie rozbrać podnoszone codziennie projekty nowych systemów pedagogicznych.

Etat uniwersytetu warszawskiego wynosi na rok bieżący 252,148 rs. - Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujące temata do rozpraw studenckich w celu uzyskania medalów: 1-o z prawa rzymskiego: „Znaczenie juris gentium i wpływ tego prawa na rozwój prawa cywilnego rzymskiego“, 2-o z prawa karnego: „O oszustwie podług teorii prawodawstw cudzoziemskich i prawa ruskiego“, 3-o z procedury cywilnej: „O wybieralności i nie-

rugowalności sędziów“ i 4-o z prawa państwowego: „O znaczeniu ministerjów w szeregu innych instytucji państwowych ze szczególnem uwzględnieniem prawa ruskiego.“

Wskutek wynikłych w prasie nieporozumień co do treści konkursowego tematu z zapisu Adama Chojnackiego, Cesarski warszawski uniwersytet poczytuje sobie za obowiązek rzezonny temat powtórnie ogłosić, a mianowicie: „Temat podany przez fakultet fizyko-matematyczny dla ubiegania się o nagrodę Adama Chojnackiego w latach 1889—1891, jest za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu, a za treść „Warunki urodzajności roli“. Praca przedstawiona na powyższy temat, zawierać powinna, w formie przystępnej dla ludu prostego, odpowiedź na następujące kwestye: 1) rola pod względem geologicznym (mineralogicznym i fizycznym); 2) uprawa i użyźnianie roli; 3) jaki klimat i jaki grunt sprzyjają uprawie rozmaitych roślin pastewnych i zbożowych i 4) roślinność ziemi, jako wskazówka, że dany grunt odpowiedni jest do uprawy tych lub owych roślin pastewnych, albo zbożowych. Nagroda przyznana będzie w ilości 900 rs. Dzieło powinno być nadesłane nie później, jak 30 kwietnia 1891 r. Powinno być napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego, bądź to już drukowane, bądź też w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim, pozostawia się uznaniu autora“.

Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie, odczytał dr. Wł. Ostrożyński pracę p. t. „Ostatni projekt reformy prawa i procesu karnego w Polsce“, dr. St. Krzyżanowski mówił: „O dyplomach Bolesława Wstydlivego dla katedry krakowskiej“. Na posiedzeniu komisji historyi i sztuki, przedłożył jej przewodniczący, prof. Łuszczkiewicz, zeszyt 3 tomu IV „Sprawozdań komisji“ następnie przedstawił p. Alfred Römer zdjęty przez siebie widok rysunkowy cerkwi św. Trójcy w Wilnie. Prof. M. Sokołowski zawiadomił, że p. Ptaszyciemu w bibliotece Ces. w Petersburgu powiodło się znaleźć bardzo ważne księgi rachunkowe dworu polskiego z czasów Zygmunta Augusta. oraz inwentarze, odnoszące się do spraw majątkowych Decyusza młodszego i jego żony. — Na zebraniu miesięcznem Tow. historycznego we Lwowie odczytał dr. Al. Czołowski ciekawą rozprawę: „Wyprawa Kazimierza Wielkiego na Mołdawię r. 1359“.

Na ostatniem posiedzeniu wydziału filologicznego Akad. umiejętności w Krakowie przedstawił prof. dr. A. Kalina materiały do „Historji języka bułgarskiego“, prof. dr. Morawski mówił o „Przekładach komedyi Arystofanesa, dokonanych przez zm. Ulricha“.

Dnia 18 stycznia odbyło się we Lwowie walne zebranie członków Towarzystwa im. Adama Mickiewicza, zawiązane przed trzema



laty w celu rozjaśnienia dzieł i żywota wielkiego naszego wieszczą. Nowe wybory na kierowników tej sympatycznej instytucji, przeprowadzone na tém zgromadzeniu, były wymownym dowodem zaufania, jakiém się cieszy dzisiejszy prezes Towarzystwa, dr. Roman Pilat, i członkowie wydziału, gdyż z jedną tylko zmianą wszyscy wybrani zostali ponownie na dalsze trzechniecie do przewodniczenia pracom Towarzystwa. Ze sprawozdania zarządu za ubiegłe trzechniecie, przekonywamy się o sumiennęj pracy Towarzystwa, której owoce widzimy w trzech sporych tomach „Pamiętnika Mickiewiczowskiego“, omawiającego źródłowo i wyczerpująco wszystko to, co tylko dotyczy tego olbrzyma naszej poezji, którego imieniem nazwano cały okres literatury polskiej między 1830 a 1850 rokiem. Towarzystwo rozwija się powoli, lecz prawidłowo, a nie wątpimy, że i publiczność polska, dla której chwala wieszczą nie jest obojętną, da mu należne i skuteczne poparcie, aby mogło i inne swoje cele, objęte statutem, w czyn wprowadzić, czego bez poparcia, o którym mówimy, osiągnąćby nie zdołało. Niechże więc jego „Pamiętnik“ jak najszerzej się rozchodzi, niech liczba jego członków nieustannie wzrasta, boć publicznym to jest obowiązkiem popierać takie cele, jakim właśnie służy Towarzystwo-Mickiewiczowskie.

Sprawa uproszczenia używanęj dzisiaj p i s o w n i w literaturach najoświecenijszych narodów, nie przestaje od lat kilkunastu zaprzatać umysłów powołanych i niepowołanych reformatorów. (Zob. Bibl. Warsz. 1880. T. 4 str. 321; 1882. T. 2 str. 502—604; R. 1883. T. 2. str. 327; T. 3-ci str. 467—469; R. 1884. T. 1 str. 488. 489; R. 1884. T. 2. str. 126—133; R. 1889. T. 1, str. 144—147) — Z Niemiec, gdzie sprawę ortografii najskuteczniej rozstrzygnął reskrypt ks. Bismarcka, bez pomocy jałowęj dyalektyki lingwistów i gramatyków. Przeniosła się ta sprawa do Anglii, a w ostatnim czasie nawet i do Francji, popierana żarliwie przez prof. Havet'a (Zob. rozprawę p. Bréal'a w „Revue des deux Mondes 1889-o r. Zesz 1-go grudnia). U nas zaś nie przestaje kwestya ulepszenia ortografii niepokoić umysłów od czasów „Mówni“ Żochowskiego (pomijając spory dawniejsze). W czasach najnowszych, najnieposobniejszych do tego rodzaju zawichrzeń w nauce języka i pisania w tym języka, wystąpiła ta od wielu lat nieposkromiona ambicya poprawienia pisowni z nowym zapalem, grożącym pożałowania godną anarchią piśmiennictwu polskiemu wśród stosunków nadzwyczaj utrudnionych.

Wobec nowego projektu ustalenia pisowni, według zasad, objętych referatem, podpisanym przez pp. A. G. Bema, J. Karłowicza i Ad. Ant. Kryńskiego, a ogłoszonym w Nr. 1 i 2 „Przeglądu Pedagogicznego“ i uprzednio przesłanym do Akademii Um. w Krakowie, liczne grono osób zainteresowanych tą sprawą, obchodzącą tak żywo prawidłowy, przyrodzony rozwój języka naszego, zwróciło się do Akademii Umiejętności z odezwą tej osnowy: „Podejmowane od lat przeszło 30 badania nad językiem ojczystym, według zasad nowoczesnej lingwistyki, z jednęj strony wyjaśniły w nim wiele zja-

wisk nierozwikłanych dla dawniejszych gramatyków; ale z drugiej wpłynęły na zmianę metody przy wykładzie jego strony formalnej w szkole.

Im więcej wszakże wykład języka ojczystego zaczęto opierać na nowo zdobytych naukowych podstawach; tym więcej dla uczących ujawniała się konieczność zaprowadzenia pewnych zmian w przyjętej dotąd pisowni, nie zawsze zgodnej z zasadami fonetyki. W tym celu już w roku 1879, niektórzy nauczyciele języka polskiego w Warszawie, zamierzili po wspólnym porozumieniu się, przyjąć konieczne pod tym względem zmiany i wprowadzić je do nauki szkolnej. Jeszcze większego znaczenia nabrała sprawa pisowni, gdy z żądaniem jej ustalenia wystąpiła w roku 1880 Redakcja Biblioteki Warszawskiej, powołując do rozpraw nad tym przedmiotem szersze koło ludzi fachowych, z tym zamiarem, aby wyniki obrad przedstawić do uznania Akademii Umiejętności w Krakowie i od niej oczekiwać dla wszystkich obowiązującej decyzji.

Jakoż odpowiedni co do tego elaborat, skreślony i uzasadniony przez p. Ad. Ant. Kryńskiego, przesłany był do Akademii w miesiącu sierpniu 1883-go roku.

Wiadomo jednak jaką decyzją, co do przesłanego elaboratu powzięła komisya językowa na posiedzeniu, w końcu 1883-go roku, odbytém. Pozostając na stanowisku Dr. A. Małeckiego i oświadczając, iż swoje na pisownią poglądy przyjmuje tylko za normę, której Akademia w publikacyach swoich nadal trzymać się będzie, tym samym nie rozstrzygnęła zasadniczo stawionej kwestyi. Elaborat p. Ad. Ant. Kryńskiego, rozpowszechniony w odbitkach, zrobił atoli swoje i jeżeli nie przekonał nikogo o potrzebie jotowania samogłoski *i* na początku wyrazów, to znaczną większość objaśnił o potrzebie przyjęcia w wyrazach cudzoziemskich rodzaju żeńskiego zakończeń *ija, yja*, oraz utrzymania *j*, jako spółgłoski tematowej w odmianie rzeczowników, zaimków i niektórych słów, jak *szyji, moich, stojisz*, i t. p.

Można też twierdzić z pewnością, iż ten sposób pisania, wprowadzony do nauki szkolnej zarówno w zakładach rządowych, jak i prywatnych, zaszczerpił się i przyjął w obecnie uczącym się pokoleniu, tak, że dziś z trudnością tylko i wielką dla uczących się szkodą, dałby się ze szkoły usunąć.

Tymczasem wiadomość podana w pismach, iż Akademia Umiejętności w Krakowie otrzymała od ministerjum Oświaty wezwanie, by zajęła się ustaleniem pisowni w celu ujednostajnienia jej w podręcznikach szkolnych w Galicyi, pobudziła Redaktorów „Prac filologicznych“, a głównie pp. Jana Karłowicza i Ad. A. Kryńskiego do przedstawienia Akademii nowego projektu pisowni, który, utrzymując w pierwotnej sile wszystkie zasady, wyłożone w elaboracie z roku 1882, odstępuje stanowczo od używania w rzeczownikach cudzoziemskich zakończeń *ija, yja*, projektując natomiast użycie samej *j*, czyli form:

Francja, Austria, racja i t. d. i motywując tę pisownią najprzód t $\acute{e}$ m, że ona jest upowszechnioną przez wiele pism codziennych, a powt $\acute{o}$ re, że jako prostsza t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m jest dogodniejsz $\acute{a}$ . Je $\acute{z}$ eli wszak $\acute{z}$ e idzie o uproszczenie, to lepiej ju $\acute{z}$  wrócić do dawnego sposobu pisania tych imion przez *ia*, *ya*, gdy $\acute{z}$  cho $\acute{c}$  równie z wymawianiem i prawami g $\acute{l}$ osowni niezgodny, ma on przynajmniej z sob $\acute{a}$  świetne tradycje pisarzy dawnych, wnioski deputacyi do ortografii b. Towarzystwa Przyjaci $\acute{o}$ ł nauk w Warszawie, utwierdzone tyloletnią praktyką szkolną i świetny stan literatury ca $\acute{l}$ ej epoki Mickiewiczowski $\acute{e}$ j.

To nicz $\acute{e}$ m nie usprawiedliwione odst $\acute{a}$ pienie p. Ad. Ant. Kryńskiego od zasady naukowo motywowan $\acute{e}$ j w elaboracie z roku 1882. jest tym smutniejsze, że zasada, do któr $\acute{e}$ j się obecnie przechyla, a wśr $\acute{o}$ d niektórych k $\acute{o}$ ł pedagogicznych, po wi $\acute{e}$ kszej cz $\acute{e}$ ści z młodszego pokolenia złożonych, szerzona, mo $\acute{z}$ e wywołać jeszcze wi $\acute{e}$ kszy zamęt w pisowni i na naukę j $\acute{e}$ zyka w sposób szkodliwy odzia $\acute{l}$ ać.

Wobec takiego po $\acute{l}$ ożenia, nie ma, wed $\acute{l}$ ug powo $\acute{l}$ an $\acute{e}$ j opinii, innego punktu wyjścia z tego ortograficznego chaosu, wytworzonego bez gwałtown $\acute{e}$ j potrzeby w tak niekorzystnych warunkach, nad odwo $\acute{l}$ anie się do Prezesa Akademii z prośb $\acute{a}$ , aby raczył przyspieszyć ostateczną decyzją co do ustalenia pisowni, a oraz sw $\acute{a}$  powag $\acute{a}$  i wplywem przeprowadził uchwałę wed $\acute{l}$ ug zasad, skreślonych w rozprawie „O pisowni *ija*, *yja*“ z powodu uchwały komisji j $\acute{e}$ zykowej wydan $\acute{e}$ j“ (Krak. 1884). Akademia Umiejętności zapewne us $\acute{l}$ ucha odezwy ministra Gautsza odnośnie do szk $\acute{o}$ ł galicyjskich, ale co do wydania przepis $\acute{o}$ w og $\acute{o}$ lnych, zajmie prawdopodobnie stanowisko Akademii francuzki $\acute{e}$ j, która  $\acute{z}$ ądanie reformator $\acute{o}$ w pisowni francuzki $\acute{e}$ j co do zadekretowania prawide $\acute{l}$  ortografii—odsunęła od siebie dla t $\acute{e}$ j zasady, że uwa $\acute{z}$ a za swoje zadanie troskliwe śledzenie za rozwojem j $\acute{e}$ zyka; ale władzy prawodawcz $\acute{e}$ j na polu ortografii przyjąć nie mo $\acute{z}$ e, bo nie posiada dostateczn $\acute{e}$ j w t $\acute{e}$ j sprawie eksekutywy.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Kr $\acute{o}$ lestwie Polskiem podaje do wiadomości pp. budowniczych, iż w miesi $\acute{a}$ cu styczniu 1891 r. odbędzie się w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa architektury, a mianowicie wszelkiego rodzaju kompozycji w zakres budownictwa wchodzących. Nie kwalifikują się na wystawę kopie i kompozycje autor $\acute{o}$ w zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Na wystawę konkursową przyjmowane będ $\acute{a}$  kompozycje, wykonane w ci $\acute{a}$ gu lat trzech ostatnich, które nie znajdowały się poprzednio na Wystawie sta $\acute{l}$ ej Towarzystwa, ani t $\acute{e}$ ż na innej wystawie w Warszawie. Obj $\acute{a}$ śniono równocześnie, iż przez nazwę kompozycji rozumieć trzeba projekta architektoniczne w rysunku i fotografie z natury z dzie $\acute{l}$  architektonicznych ju $\acute{z}$  wykonanych. Deklaracje w formie list $\acute{o}$ w Komitet Towarzystwa przyjmo-



wać będzie do dnia 15 grudnia 1890 r. W deklaracyi wymienić należy tytuł kompozycyi, imię i nazwisko i dokładny adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia i o tém, w jakiej szkole otrzymał specjalne wykształcenie. Kompozycye zaś winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa przed 31 grudnia 1890 roku. Komitet wyznaczył dla téj Wystawy trzy nagrody pieniężne z funduszów Towarzystwa po rs. 600, 300 i 200, za kompozycye bezwarunkowo się odznaczające. Regulamin, czyli instrukcją szczegółową konkursu powyższego, kancelarya Towarzystwa wydaje lub wysyła na żądanie, bezpłatnie.

Spółka sprzedaży owoców, zawiązana przed dwoma laty w Warszawie, upadła dla braku odpowiedniego kapitału obrotowego, tudzież dla tego, że właściciele egrodów z dalszych okolic, jej pośrednictwa mało używali. Na zgromadzeniu odbytém w końcu r. 1889-o uczestnicy spółki uchwalili przedsięwzięcie zlikwidować; skłoniła ich do tego ta okoliczność, że od dnia 13 stycznia spółka była obowiązana wykupić patent I-jej gildyi, co wraz z innemi opłatami, pociągnęłoby za sobą koszt 1,500 rs.

---

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

---

Archiwum konsystorskie w Wilnie. — Archiwum lubelskie przewiezione do Wilna i wcielone do tamtejszego Archiwum akt starożytnych. — W. Czermak „O archiwach galicyjskich“. — Ks. A. Arndt. S. J. „O bibliotece pisarzy jezuiickich“. — „Zbiór dokumentów histor. z XVI-go do końca XVIII-go wieku“ E. Korwin-Piotrowskiego, złożony w bibliotece Jagiellońskiej. — Dokumenta do historyi Rumunii z bibliotek polskich, zebrane staraniem Akad. rumuńskiej. przygotowane do druku przez p. Józefa Skupiewskiego — „Ekonomista Polski“ z Tygodnikiem ekonomicznym“. Lwów 1890. Zesz. 1.

„Wileński Wiestnik“ w N-rze 230-ym z dnia 25 października 1889 r. podał wiadomość, że Archiwum konsystorskie w Wilnie, które się mieściło na strychach wileńskiego kościoła katedralnego, zostało wcielone do zbiorów tamtejszej Komisji archeograficznej. Archiwum pomienione, obliczone przez Red. Wil. Wiestnika na 400 pudów dawnych ksiąg i rękopisów, ma obejmować około 10,000 dokumentów z w. XVI-go i następnych.

Wileńskie archiwum akt starożytnych pomnożone zostało przez przewiezenie do niego całego archiwum lubelskiego obejmującego N-rów 4890, a mianowicie: 1) lubelskiego ziemskiego i grodzkiego sądów—ksiąg 1459; 2) krasnostawskiego ks. 303; 3) parczewskiego ks. 4; 4) chełmskiego ks. 596; 5) szczebrzeszyńskiego ks. 32; 6) urzędowskiego ks. 39; 7) horodelskiego ks. 156; 8) grabowieckiego ks. 595; 9) plik mieszanych różnych sądów 301; 10) kancelaryi hypotecznej N-rów 59 i 11) różnych miejskich magistratów N-rów 1276; 12) Dwie księgi przywilejów—kopii: jedna dla Lublina na pergaminie i druga dla Turobina na papierze; oprócz tego 76 listów nadawczych. Najstarszym z nich jest list Jagielly z r. 1420, nadający Turobinowi prawo magdeburskie.

„Gazeta lwowska“ w N-rze 283-im z 8-go grudnia 1889 r. ogłosiła dłuższy artykuł pióra W. Czermaka: „O archiwach galicyjskich“. Jest to objaśnienie broszury p. J. A. Linniczenki p. t. „Archiwy w Galicyi“, wydanej przed dwoma laty w Kijowie i może być pożyteczne dla badaczy stosunków rosyjsko-polskich.

Ks. Soc. Jes. prof. krakowski O. Augustyn Arndt wydrukował w czasop. lipskim „Centralblatt fuer Bibliothekswesen“ ciekawy artykuł „O bibliotece pisarzy jezuiickich“ wyd. przez Ka-

rola Sommervogel. Ks. Arndt przechodzi tu wszystkie od w. XVII na tém polu podejmowane prace (od dzieł Ribadeneiry i Allegambego z r. 1602 i 1608 począwszy aż do 2-go wydania trzytomowego dzieła in fol. „Bibliothèque des écrivains de la comp. de Jésus“ O. Augustyna Backera z r. 1867 do 1876. Ks. A. Arndt oddaje przy tej sposobności sprawiedliwość książce ks. O. Brown'a, „Biblioteka pisarzów asystencyi polskiej“ z r. 1862 i zapowiada 3-cie wydanie dzieła ks. Backera, którego druk w opracowaniu Sommervogla się rozpoczął i prawdopodobnie 10 do 12 tomów w 8-ce obejmować będzie.

Biblioteka Jagiellońska otrzymała w depozyt od p. Eligiego Korwin-Piotrowskiego, prezesa b. sądu głównego wołyńskiego, zamieszkałego w Motowidłówce, będącej własnością córki Stanisławy z Piotrowskich Malinowskiej, księgę rękopiśmienną, która jak pisze p. Wł. Wisłocki („Przewodnik bibliogr.“ Nr. 1, 1890) zawiera: 1) Dyaryusze sejmów 1552, 1563, 1573, 1587, 1596, 1606, 1623, 1628; 2) Akta i protokoły kancelaryi koronnej z lat 1715—1728, 1732—1735, 1741—1744, 1746—1757, 1760—61, 1786—1793. Na tomie 28 tego zbioru protokołów napisano: „z manuskryptu, co sesya spiswanego dla kanclerza Hiacynta Małachowskiego“.

Rumuńska akademia nauk sporządziła w ostatnich latach kopie dokumentów historycznych, dotyczących Rumunii, a znajdujących się w bibliotekach, muzeach i zbiorach polskich, czy to publicznych, czyli też prywatnych. Obecnie postanowiono dokumenty te wydać i to w tekście polskim i francuzkim. W tym celu akademia zawarła umowę kontraktową z p. Józefem Skupiewskim, magistrem prawa warszawskiej Szkoły Głównej, który przed kilku laty z redakcyi brukselskiej „Independance Belge“ wezwany był do Bukaresztu na redaktora organu ministeryum spraw zagranicznych „Etoile Romaine. P. Skupiewski ma sporządzić tłómaczenie francuzkie wspomnianych dokumentów, oraz kierować będzie całém wydawnictwem, którego druk powierzono pierwszorzędnemu zakładowi typograficznemu Socka i Tekla w Bukareszcie.

Dnia 15-go stycznia r. b. ukazał się we Lwowie pierwszy zeszyt czyli numer poważnego czasopisma naukowego pod tyt. „Ekonomista Polski“, obejmujący 8 arkuszy druku 8-o major. z treścią ściśle naukową, rozbierającą krytycznie ważniejsze zjawiska ekonomiczne Galicyi i reszty cywilizowanego świata. Jako dodatek tygodniowy do miesięcznika „Ekonomista Polski“ wychodzi co sobota „Tygodnik ekonomiczny“ objętości 1 arkusza, omawiający w sposób informacyjny ważniejsze sprawy bieżące z zakresu ruchu ekonomicznego, z działem „Ogłoszeń“, płatnych od wiersza. Cena prenumeracyjna „Ekonomisty“ z „Tygodnikiem“ we Lwowie i na prowincyi wynosi rocznie złr. 18, półrocznie złr. 9, kwartalnie złr. 4 cent.



50, miesięcznie zlr. 1 cent. 50, bez dodatku zaś „Tygodnika“ rocznie zlr. 15, półrocznie 7—50, kwartalnie 3—75, mies. 1—25. Nr. pojedynczy „Ekonomisty“ 1 zlr. 25 cent., „Tygodnika“ zaś 13 cent.—Prenumeratę przyjmuje Administracya „Ekonomisty polskiego“ we Lwowie, plac Bernardyński 7 (w drukarni Ludowej). Adres Redakcyi: Ul. Teatralna 5.—Pojawienie się poważnego, naukowego pisma peryodycznego z zakresu nauk ekonomiczno-społecznych we Lwowie było oddawna rzeczą nader pożądaną i niezbędnie potrzebną. Pomijając bowiem reporterskie, zwykle nader powierzchowne poglądy na stosunki ekonomiczne w Galicyi, które pod wrogiem i nienawistnym zwykle hasłem odzywały się w doniesieniach przeróżnych korespondentów do „Gazet“ i „Tygodników“ w języku polskim wychodzących, ogromne bogactwa przyrodzonego przez tyle lat poniewieranego kraju zasługiwały na sumienne zbadanie i ekonomiczny obrachunek w celu bezstronnej kontroli produkcyjnej pracy ludzi i opieki władz autonomicznych. Będzie to nie małą zasługą względem społeczeństwa polskiego, jeśli „Ekonomista Polski“ stanie się w najdłuższe lata poważnym organem tej pracy obywatelskiej. Komitet redakcyjny, który taki organ w Galicyi stworzyć potrafił, daje pod tym względem wszelką rękojmią, należą do niego bowiem mężowie znani na polu pracy publicznej, mianowicie: dr. Witold Lewicki, Teofil Merunowicz, Tadeusz Romanowicz, dr. Tadeusz Rutowski, Stanisław Szczepanowski, Franciszek Zima.

Nie mogąc w tej kronikarskiej wzmiance zapuszczać się w krytyczny rozbiór poważnych studyów, które znajdujemy w 1-szym zeszytzie, musimy poprzestać na zregestrowaniu chociaż tytułów rozpraw pojedynczych, bo one wskażą czytelnikom charakter czasopisma, obiecującego trwałemi pracami zbogacić naszą literaturę peryodyczną. Zeszyt I-szy „Ekonomisty Polskiego“ zawiera następujące studia: 1) Gospodarstwo skarbowe ministerstwa Taaffe-Dunajewski“ przez Stan. Szczepanowskiego, str. 1 — 38. Autor nie skąpi uznania zasługom dzielnego ministra skarbu. 2) Kłęski elementarne Galicyi“ p. dr. Tad. Rutowskiego (str. 39—93). 3) Sprawy przemysłowe w Sejnie galicyjskim“ p. Teofila Merunowicza (str. 94 — 103). 4) „Roczna emigracya polska“ p. dr. St. Kłobukowskiego (początek) (str. 104 — 111). 5) „Parcelacya w Galicyi, jako objaw społeczny“ p. Witolda Lewickiego (Cz. I-sza) (str. 112—121). 6) „Przegląd literacki“ zawiera krytyczny rozbiór dzieła Leona Paszkowskiego: „Statystyczno-ekonomiczne studia o drogach żelaznych w związku z rozwojem ekonomicznym“. (Wiedeń 1889). Krytyk, podpisany literą W., oddaje sprawiedliwość gruntownej osnowie dzieła; ale karcie w sposób zasłużony zaniedbanie autora pod względem stylu i języka <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Dla braku miejsca w tym zeszytzie musimy resztę obfitego najnowszego materiału bibliograficznego odłożyć do następnego zeszytu. *Red.*

## N e k r o l o g i a.

Dnia 17 stycznia r. b. umarł w Warszawie ś. p. **Władysław Taczanowski**, zasłużony wielce ornitolog, kustosz gabinetu zoologicznego Uniwersytetu warszawskiego. Ś. p. Wł. urodził się d. 17 marca we wsi Jabłonna pod Lublinem, 1819 r., a po ukończeniu gimnazjum w Lublinie, oddał się badaniu świata zwierzęcego i przyrody w ogólności, żarliwą pracą nagradzając brak studyów uniwersyteckich. Owoce jego badań, od r. 1842 ogłaszała najwpierw „Biblioteka Warszawska“, podówczas jedyna prawie piastunka polskich rozpraw naukowych. Tytuły tych rozpraw są: „Spis ptaków w gub. Lubelskiej“. „Tabela ruchu ptactwa w latach 1845—1848“. „Wiadomość o nietoperzach w dolinie Ojcowskiej“, „Spis zwierząt ssących w gub. Lubelskiej“ i t. d. Wszedłszy do służby rządowej w roku 1853, w rok potem został konserwatorem gabinetu ornitologicznego przy wydziale leśnictwa rządu gubernialnego w Radomiu, a jednocześnie zawiadował podobnym zbiorem w Lublinie. W roku 1855 powołano go do Warszawy na wicedyrektora gabinetów przyrodniczych. Niedługo potem, w r. 1862, kiedy otwarto Szkołę Główną, mianowano Taczanowskiego kustoszem gabinetu zoologicznego. Na tém stanowisku wytrwał nasz ornitolog długie lata z ogromnym dla gabinetu pożytkiem. Posiadając dużo ze światem naukowym stosunków i związany przyjaźnią z podróżnikami naszymi: Wagą, Kubarym, Dybowskim, Sztolcmanem i w in., pomnażał nieustannie zbiory zoologiczne rzadkimi egzemplarzami. W tymże celu, w jesieni 1866 roku odbył podróż po Europie południowo-zachodniej i Afryce, i plon naukowy przywiózł niemały. Obok wszakże klasyfikowania i opisywania gromadzonych okazów, ogłaszał drukiem w dalszym ciągu prace swoje. Wyszły więc: „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiem pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne“ (Warszawa 1860 r.). Tekst do 170 tablic ptaków polskich Konstantego Tyzenhauza (Warszawa, 1862), „Spis pajaków, zebranych w okolicach Warszawy w r. 1865“ (w wykazach Szkoły Głównej). Umieszczał też wyniki poszukiwań w rocznikach „Societatis Entomologicae Rossicae“, w „Proceedings of the Zoological Society of London“, w „Bulletins de la Société Zoologique de France“, w organie międzynarodowego Towarzystwa Ornitologicznego, wychodzącego w Wiedniu p. t. „Ornis“, a na mocy uchwały zjazdu przyrodników państwa rosyjskiego, ogłoszono drukiem dokonane przez Taczanowskiego porównanie fauny Europy środkowej z fauną Syberji południowo-wschodniej (Kijów

1872 roku). Wreszcie w r. 1882, Akademia Umiejętności w Krakowie, wydała pomnikowe, dwutomowe dzieło Taczanowskiego p. t.: „Ptaki krajowe“. Ten wynik czterdziestoletnich spostrzeżeń i poszukiwań na rozległym obszarze jest ścisłym, systematycznym i biograficznym opisem 320 gatunków ptaków krajowych, do których włączył też 20 gatunków obserwowanych na ciąg. Źródłowe to dzieło, najzupełniejsze w swoim zakresie, uwieczni w nauce imię Władysława Taczanowskiego. Żeby zaś ułatwić następcom prowadzenie dalszych poszukiwań, na podstawie obszernego dzieła swojego ułożył „Spis ptaków Królestwa Polskiego“ (VIII tom „Pamiętnika Fizyograficznego“). W ostatnich latach, obok czuwania nad zbiorami uniwersyteckimi, urządził Taczanowski gabinet zoologiczny hr. Branickich we Fraskati w Warszawie i troskliwie uzupełniał go obficie nadsyłanemi okazami fauny południowo-amerykańskiej, zakaspijskiej i wschodnio-syberyjskiej. — „Pamiętnika Fizyograficznego“, jak niemniej „Wszechwiata“, znakomity ornitolog był gorącym przyjacielem i współpracownikiem. Jeszcze w końcu grudnia r. z. skreślił we „Wszechświecie“ wspomnienie pośmiertne o Kazimierzu Wodzickim, o trzy lata młodszym od siebie koledze ornitologu, gdy śmierć zamknęła niebawem powieki jego samego, najpracowitszego u nas ornitologa.

Cześć jego pamięci!

---



# KAMIENIEC

# PODOLSKI



**KAMENECVM** Civitas Podolica opere mirande naturae in alto lapide montis instar eminentis conyuno sibi in exortu profusa  
 daque sua amena valle flumine et mansuetibus et contrapetris per circuitum munita a Constantino et Georgio Abrogato vobis e  
 Civitas Podolica ab annis circiter 300 condita, horum post decessum ad civile Poloniae Regno, in hoc primo statibus Pruthenis post  
 Polonis et Germanis ad extremum Armenis inhabitata ob camque varietatem hinc hinc in tres secessus iuris ditionis  
 partibus hinc hinc praebuit Pruthenis, verum enim ne civis et loci naturale munus recedat hinc hinc hinc hinc hinc  
 tum et novam omnium iudicio manifestam pietatem, eventusque probatum, contra perverum unobli unum nunquam puto desitit  
 praesidio potentiam Turcicam sustinere non volentes etiam aditalem secum ad elocidiam traxerunt.  
 Quam Turcae ingressi die 29 Augusti 1672

- Nodarum explicatio**
- A. Ars nova. B. Ars vetus. C. Fortalicium inanis civile.
  - D. Porta Latina. E. Porta Ruthenica. F. Bastionum et fortium
  - G. Bastionum et fortium. H. Bastionum et fortium
  - I. Bastionum et fortium. K. Bastionum et fortium
  - L. Bastionum et fortium. M. Bastionum et fortium
  - N. Bastionum et fortium. O. Bastionum et fortium
  - P. Bastionum et fortium. Q. Bastionum et fortium
  - R. Bastionum et fortium. S. Bastionum et fortium
  - T. Bastionum et fortium. U. Bastionum et fortium
  - V. Bastionum et fortium. W. Bastionum et fortium
  - X. Bastionum et fortium. Y. Bastionum et fortium
  - Z. Bastionum et fortium. AA. Bastionum et fortium
  - BB. Bastionum et fortium. CC. Bastionum et fortium
  - DD. Bastionum et fortium. EE. Bastionum et fortium
  - FF. Bastionum et fortium. GG. Bastionum et fortium
  - HH. Bastionum et fortium. II. Bastionum et fortium
  - KK. Bastionum et fortium. LL. Bastionum et fortium
  - MM. Bastionum et fortium. NN. Bastionum et fortium
  - OO. Bastionum et fortium. PP. Bastionum et fortium
  - QQ. Bastionum et fortium. RR. Bastionum et fortium
  - SS. Bastionum et fortium. TT. Bastionum et fortium
  - UU. Bastionum et fortium. VV. Bastionum et fortium
  - WW. Bastionum et fortium. XX. Bastionum et fortium
  - YY. Bastionum et fortium. ZZ. Bastionum et fortium
  - AAA. Bastionum et fortium. BBB. Bastionum et fortium
  - CCC. Bastionum et fortium. DDD. Bastionum et fortium
  - EEE. Bastionum et fortium. FFF. Bastionum et fortium
  - GGG. Bastionum et fortium. HHH. Bastionum et fortium
  - III. Bastionum et fortium. LLL. Bastionum et fortium
  - MMM. Bastionum et fortium. NNN. Bastionum et fortium
  - OOO. Bastionum et fortium. PPP. Bastionum et fortium
  - QQQ. Bastionum et fortium. RRR. Bastionum et fortium
  - SSS. Bastionum et fortium. TTT. Bastionum et fortium
  - UUU. Bastionum et fortium. VVV. Bastionum et fortium
  - WWW. Bastionum et fortium. XXX. Bastionum et fortium
  - YYY. Bastionum et fortium. ZZZ. Bastionum et fortium
  - AAA. Bastionum et fortium. BBB. Bastionum et fortium
  - CCC. Bastionum et fortium. DDD. Bastionum et fortium
  - EEE. Bastionum et fortium. FFF. Bastionum et fortium
  - GGG. Bastionum et fortium. HHH. Bastionum et fortium
  - III. Bastionum et fortium. LLL. Bastionum et fortium
  - MMM. Bastionum et fortium. NNN. Bastionum et fortium
  - OOO. Bastionum et fortium. PPP. Bastionum et fortium
  - QQQ. Bastionum et fortium. RRR. Bastionum et fortium
  - SSS. Bastionum et fortium. TTT. Bastionum et fortium
  - UUU. Bastionum et fortium. VVV. Bastionum et fortium
  - WWW. Bastionum et fortium. XXX. Bastionum et fortium
  - YYY. Bastionum et fortium. ZZZ. Bastionum et fortium

Insigne Cameracense summa pericula et tam  
 Ne in ad exortu TRZEBKIANVS OLOX  
 Annui Pruthenis in marem Signis  
 Deamans Sauro Marte vobis opus  
 Omnia o rthoc tan meas meliora foyet  
 Cameracense potest nol vinculo nulli post  
 Illi inno Cellio de Reverendissimo Dno  
 Ducato ANDREE TRZEBICKI Duci Apo  
 Gal Sede pro Episcopo Crovia DWI SYENE  
 Bro Danico et Basilico Anno 1711  
 Caput inno 1711 CC D S D Humilis  
 Inno 1711 Pruthenis S A M ad 1711